

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/303

1972



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J. CZAPSKI : **DWIE PROWOKACJE**
W. SUKIENNICKI : **"RARA AVIS" CZYLI O
LITWINACH MÓWIĄCYCH PO POLSKU**
DOKUMENTY : **MIJAJĄ LATA... -
LIKWIDACJA OSTATNIEJ AMBASADY R.P.**
**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW "KULTURY" ZA
ROK 1972**

SPIS RZECZY

Józef Czapski:	<i>Dwie prowokacje</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	9
Jolanta Dworzecka:	<i>O karierze, tęsknocie i kontrastach</i> ..	23
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Tematy do refleksji</i>	29
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	39
SĄSIEDZI		
Wiktor Sukiennicki:	<i>„Rara avis” czyli o Litwinach mó- wiących po polsku</i>	47
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	55
Borys Lewickij:	<i>Nowy szef ideologiczny w Kijowie</i> ..	60
K R A J		
Bohdan Brodziński:	<i>Gospodarka krajowa</i>	63
Józef Lewandowski:	<i>Żeby nie zapomnieć</i>	68
Norbert Żaba:	<i>Góra urodziła mysz</i>	73
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>„N. Observateur” o cudzoziemcach we Francji</i>	76
Zbigniew Byrski:	<i>Biuletyn Fundacji Kościuszkowskiej</i> ..	77
—	<i>Ośrodek Studentów Polskich we Francji</i>	78
DOKUMENTY		
—	<i>Mijają lata</i>	80
—	<i>Likwidacja ostatniej Ambasady R.P.</i> ..	95
KRONIKA KULTURALNA		
Tola Korian:	<i>„Ola f”</i>	98
—	<i>Wspomnienie o Leonie Holzerze</i>	105
—	<i>Stypendia Polonia Technica, Inc.</i>	106
KSIĄŻKI		
M. Broński:	<i>O tyranii</i>	107
Adam Kruczek:	<i>Uwagi czytelnika</i>	112
Maja Kubiak-Żytomirska:	<i>Przedziwna Antologia</i>	117
J. Kowalski:	<i>Szalom Asz</i>	119
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	120
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	127
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	128
—	<i>Kronika kanadyjska</i>	134
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	139
◆		
T. Borowicz, H. Chorążyna, St. Fischlowitz, M. Kałuski, L. A. Kosiński, B. Szubska, J. K. Wagner (i od- powiedzi Redakcji):	<i>Listy do Redakcji</i>	140
—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1972</i>	147

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień - Décembre 1972

INSTYTUT



LITERACKI

SPIS ZWYCZYJNY

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE**

WPLATY NA FUNDUSZ „KULTURY”

Wiktor T. Drymmer, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 125,00
T. Farbisz, Hindas (Szwecja), po raz drugi	F. 55,00
Zbigniew Jasiński, Bermagui South, N.S.W. (Australia), po raz drugi	F. 150,00
Janusz Kocharński, Dallas, Texas (USA)	F. 100,00
Ilsa Maybach, Heilbronn (Niemcy), po raz dziewiąty	F. 61,00
François Prause, Rawalpindi (Pakistan), po raz dziewiąty	F. 100,00
Edward Puacz, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 200,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty piąty — zamiast kwiatów w Zaduszki na znane i nieznanne groby moich najbliższych — tych co zmarli i tych pomordowanych przez NKWD i Gestapo”	F. 125,00
Prof. Henryk Skolimowski, Ann Arbor, Mich. (USA)	F. 150,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 32,50
Bezimiennie z Londynu — „pamięci moim zmarłym”	F. 120,00

DZIĘKUJEMY!

◆

**PRZYPOMINAMY NASZYM CZYTELNIKOM
O ODNOWIENIU PRENUMERATY NA ROK 1973**

Podwyższone od 1 stycznia 1973 ceny prenumeraty KULTURY znajdują się na wewnętrznej stronie okładki, przy nazwiskach przedstawicieli.

Prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH, opłacana razem z prenumeratą KULTURY została wyrównana na rok 1973 do wysokości prenumeraty we Francji i wynosi w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie oraz w Ameryce Południowej \$ 7,00 ROCZNIE, a w W. BRYTANII £ 3,00.

Prenumeratorów przekazujących pieniądze z zagranicy POCZTĄ prosimy o wpłacanie ich wprost na nasze KONTO POCZTOWE, gdyż inaczej koszty inkasa są bardzo wysokie. Należy wpłacać na:

INSTITUT LITTERAIRE
91, Avenue de Poissy
Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE
FRANCE.

Nr konta: C.C.P. PARIS 18228 38.

Ponawiamy prośbę o nadsyłanie zmian adresów bezpośrednio DO REDAKCJI przed końcem każdego miesiąca, tak aby następna wysyłka mogła być adresowana prawidłowo. Prosimy o załączanie międzynarodowego kuponu pocztowego na koszty związane ze zmianą płytki adresowej.

DZIĘKUJEMY!

Dwie prowokacje

„Znalazł go potem po śladzie i wtedy zrozumiął
skąd brało się dziwaczne zachowanie...”*

Cz. Miłosz

W ostatnim porachunku jestem wdzięczny Miłoszowi za artykuł „Duże cienie”**, który mnie tak w pierwszej chwili oburzył. Zawdzięczam mu powrót do „Cieniów w pieczarze”, książki czytanej — wróciłem do niej z niesłabnącą pasją.

Miłosz się dziwi, że nie wywołała ona na emigracji wielkiej dyskusji. Czy za trudna? Na pewno tak, książka blisko 400-stronicowa, nabita takim ładunkiem myśli zawsze z rzeczywistością dzisiejszą Polski związanej, nie dająca czytelnikowi żadnych jasnych recept czy wniosków (zadzierzgnięty w pierwszej części romans z Białą Bluzeczką urywa się szybko, zastąpiony prawie wyłącznie starciem idei). Nie kończy się ona, jak twierdzi Miłosz, „zwykłym rozłożeniem rąk” bezsilnego bohatera czy nawet autora, ale żąda od czytelnika, by dalej sam podjął tok myśli autora i sam próbował wyciągnąć wnioski.

Nigdzie dotychczas nie czytałem tak jasno opisanej próby wielkiego zamęcenia myśli w Polsce, tej długofalowej pracy w dziedzinie „zaprogramowania mózgow”, które byłoby zbyt łatwo lekceważyć wysmiewając jedynie drętwą mowę, mowę-trawę.

Jeżeli Orwell był prorokiem Nowo-Mowy, Staliński jest chyba pierwszym tak wnikliwym jej analitykiem, już na materiale konkretnym, na podstawie jej praktyki i osiągnięć w Polsce.

Artykuł Miłosza (częściowo również Salskiego) uświadomił mi raz jeszcze jak książka tej miary może być różnie odczytana.

Salski w jakże celnym artykule nazywa bohatera „szmatła-

* Cz. Miłosz, „Przypowieść”, *Kultura* nr 5/296 (1972).

** *Kultura*, nr 10/301.

wym Romanem". Więc człowiek zdolny spojrzeć z taką wnikliwą odwagą na rzeczywistość polską, konfrontując ją z nurtem myśli Kazika — obrońcy „zaprogramowanej” komunistycznej myśli — jest szmatławcem? Ależ Roman poprzez swój dialog z Kazikiem zmusza nas do zastanowienia się nad postawą życiową Polaka *hic et nunc!*

„Cienie w pieczarze” wraz z jej bohaterem są *provokacją* czytelnika. Zmuszają go aby odpowiedzi na szereg postawionych zagadnień sam w sobie odnalazł.

Roman i Kazik

Kazik, były piłsudczyk, podchorąży z kampanii wrześniowej, którego Roman w tamtych czasach ratuje od samobójstwa, jest tutaj, ponad 25 lat później, przeciwnikiem innego kalibru niż niewinna Biała Bluzeczka, która od dzieciństwa wierzyła i wierzy we wszystko co władze partyjne Polski Ludowej jej wierzyć kazały. Kazik sam skuszony — jest dzisiaj wytrawnym i niebyłe jakim kusicielem. To mały uczeń Wielkiego Inkwizytora z Dostojewskiego (ludzie szczęśliwi — głosił tamten — być mogą tylko wtedy, gdy nie żądamy od nich swobodnej miłości i swobodnego wyboru, ale gdy im wolność *odbierzemy*). Cóż innego zdaje się nam mówić Kazik nawrócony? Ten był piłsudczyk tłumaczy Romanowi jak należy dziś walczyć o Polskę i dla Polski. Wystarczy wytrzeć gumą niektóre fakty z historii najnowszej, inne doszczętnie zafałszować, ale przede wszystkim zmienić treści słów, stworzyć nowe, obowiązujące każdego Polaka, konwencje słowne, które przy każdej sposobności nieustannie powtarzane, narzucane, będą ostatecznie wpojone, a Polak poczuje się w ramach tej konwencji szczęśliwy, pod warunkiem jednak, że wszyscy tej nowej konwencji ulegną. („Jeżeli zjednoczyć i ocalić naród można tylko przez kłamstwo, trzeba kłamać”). Jeżeli każdy Polak poprzez długofalową robotę nad jego każdym słowem, gestem i odruchem ostatecznie *uwierzy*, że komunizm to rzecz normalna, czego można jeszcze pragnąć? Jeżeli zaś uwierzą w to wszyscy, to już kłamstwo przestanie być kłamstwem.

Kazik nie zapomina przy tym o sąsiadach: „Ruscy pokazali w Katyniu co i przedtem we Lwowie, do czego są zdolni... Aparat może się też stać źródłem nieporównywalnej z niczym siły, wszechogarniającej życie, a centralnie kierowanej żelazną mafią *pod jednym warunkiem*, że w społeczeństwie nie będzie żadnych sił i odruchów, które by mogły mu się przeciwstawić, że społeczeństwo będzie uległe, bo posłuszne i bezsilne”.

Potok słów kusiciela nie działałby do tego stopnia na czytelnika, gdybyśmy nie czuli, że Roman słucha go tak uważnie,

bo i on już zaczyna przeżywać słowa Kazika jak pokusy, jak drugi biegun własnych wątpliwości. Miara tej książki na tym polega, że głos przeciwnika jest nam przekazany bez cienia próby ułtwienia sobie (i nam) rozprawy z nową wiarą Kazika.

„Innej Polski nie ma i nie będzie” — mówi kusiciel, ale Roman jakby przez chwilę urzeczony czuje nagle wielkie zmęczenie i głuchy sprzeciw, zdawać mu się zaczyna, że Kazik w kółko to samo powtarzający chce nie jego, Romana, ale siebie samego przekonać. To starcie dwóch Polaków to walka nie tylko o losy Polski, a o *sens istnienia* człowieka w ogóle.

Miłosz

Wnioski Miłosza po przeczytaniu „Cieniów w pieczarze” zdały mi się całkiem nieoczekiwane.

„Z całkowitym okrucieństwem wobec siebie” (i wobec nas) pisze Miłosz, że nie stać nas Polaków na zastanowienie się nad losem człowieka w ogóle — tylko myśl utylitarna, nacjonalistyczna, jest na naszą polską miarę; wkłada on te poglądy w buty już nie tylko bohatera powieści, ale samego autora książki! Polska jest zdolna jedynie do prężnego nacjonalizmu, tylko z niego może czerpać siły, gdy kraj stał się „*nareszcie* jednolity narodowo” (moje podkreślenie). A więc troska o sens istnienia w ogóle, o losy ludzkości — „to nie dla nas, nie udawajmy”, a katolicyzm jest nam drogi jedynie, bo stanowi „gwarancję naszego skutecznego oporu”. I tyle. A więc istnieć w nas nie może nawet sama świadomość, że katolicyzm to jedna z dróg — a w Polsce główna — ku wizji świata *w innym wymiarze*, gdzie życie człowieka ma sens ponadnarodowy i absolutny, gdzie człowiek to nie „pyłu garść rwanego wiatrem”, który musi się stać nihilistą, któremu wszystko wolno, bo coś jest prawda — zawsze względna i koniunkturalna. Jaki sens w tej perspektywie może mieć to, co piszemy — tym bardziej tu, na emigracji — skoro „dostępu do tego co się w kraju dzieje nie mamy i od nas nic nie zależy”.

Aby poprzeć swoją tezę, że umysł Polaka nie jest w stanie wznieść się ponad myśl narodowo utylitarną, Miłosz wspomina Chrzyszowskiego, Askenazego (nie jedno nazwisko można by jeszcze dodać).

Askenazy „nie mówił prawdy”, pisze Miłosz, i to zdanie innym drukiem wybija. Cytuje słowa samego Askenazego powiedziane Jerzemu Stempowskiemu. Askenazy w dziełach swoich, w okresie gdy wykładał we Lwowie przed pierwszą wojną światową, kładł akcent na tradycje polskiego bohaterstwa, przemilczając czy sciszając odkrywane przez siebie właśnie materiały

świadczące o małościach, szalbierstwach i zdradach, które dokonywały się jednocześnie na tych samych ulicach i w tych samych domach Warszawy.

„Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi...
Są takie które zwierza przyjaciółom domu...”

Ale czy przemilczenia w historii Askenazego, który był nie tylko historykiem, ale „opętany Polską” pedagogiem i wychowawcą młodzieży, która zrywa się do walki o niepodległość Polski, nie można wyrozumieć i zrozumieć? Czegóż to zresztą dowodzi?! Czy Askenazy był wówczas jedynym historykiem polskim? Młodzież ówczesna równolegle czytała historyków szkoły krakowskiej. Nie wahali się oni wskazywać na nasze historyczne błędy i winy, które upadek Polski spowodowały. Ta sama młodzież w *parę dni* rozchwytała całe wydanie, okrutnej dla ludzi niechających widzieć nagiej prawdy o kraju swoim — „Legends Młodej Polski”.

W związku z tym zastanawia się Miłosz nad „zagadką” warstwy społecznej, zwanej polską inteligencją: w jakich ludziach, w jakich dziełach zachował się „wzorec inteligencji w swej nieskażonej postaci”. Tu podejrzewać zaczynam Miłosza o próbę ułatwienia sobie drugoczącego sądu nad polską inteligencją, a nie dotarcie do prawdy bardziej złożonej. Gdzie, w jakim kraju, istnieje sztywny, jednokierunkowy wzorec inteligencji? Miłosz dziwi się nawet, że po tych samych ulicach Warszawy mógł chodzić Lechoń i Stempowski. Przecie nie ja go będę pouczał o rzeczach, które zna stokrotnie lepiej ode mnie: że wzorców jest i było wiele i że wzorec taki w każdym kraju, w każdym pokoleniu przesuwają się w akcentach pod wpływem nowych postaci, nowych wpływów, nowego rozwoju historycznych wydarzeń. Otóż Miłosz lekką ręką wykreśla Jerzego Stempowskiego umieszczając go w nieokreślonej sferze „kosmopolity urodzonego na Ukrainie, który przy tym utrzymywał stosunki z czytelnikiem na lekkim fałszu oparte, fałszu 'że się tak wyrażę salonowym'!” Stempowski, który zdawał się żyć i współżyć nie z jednym ale z wielu wiekami historii i kultury, który wobec każdego rozmówcy — niezależnie z jakiej warstwy pochodził i jakiego był poziomu inteligencji — zachowywał się wcale nie z uprzejmością tylko, ale z serdeczną, ale jakże często braterską, uwagą. Fałszywie salonowy? Wiemy jakie to słowo ma wydźwięk i jak w gruncie rzeczy nic właśnie dziś nie znaczy. Pisarz, który w każdym kraju gdzie mu się żyć zdarzyło, mógł czuć się u siebie, bo korzenie jego kultury czerpały soki zewsząd, ten właśnie przedstawiciel polskiej inteligencji — polskiej w sensie tradycji nieokrojonej Rzeczypospolitej — którego krąg przyjaciół był nie

tylko szeroki ale zadziwiająco różnolity, on właśnie został wykreślony ze świata *polskiej* tradycji?

Dostojewski

W swej mowie przedśmiertnej Dostojewski twierdził, że w świecie tylko Rosjanin zdolny jest być wszechczłowiekiem (tym podpisał swe skrajne, nacjonalistyczne nastawienie). Miłosz, gdy pisze o Polakach, dochodzi do wniosku wręcz przeciwnego, Polak *nie może* być, jak to nazywał Norwid, „człowiekiem wiecznym”, a jeżeli taki by się znalazł, będzie przez polską społeczność wypluty. Bądźmy jednak konsekwentni — ta polska społeczność musiałaby wówczas „wypluć” całą rzeszę pisarzy i myślicieli, już nie sięgając dalej wstecz, a od wieszczów zaczynając poprzez Norwida, Brzozowskiego, aż do Stanisława Vincenza i iluż innych.

Czy naprawdę typ Polaka i jednocześnie, jak to nazywał Dostojewski, wszechczłowieka jest nie do połączenia? Czy Polak który „Polską opętany” chce przechować „dawnych Polaków dumę i szlachetność” musi być koniecznie dziś ograniczony do nacjonalizmu „nareszcie narodowo jednolitej” Polski? I tylko z tego nacjonalizmu siły czerpać. Cóż to za okaleczenie polskiego wzorca inteligencji z lekkiej ręki Miłosza.

Kosmopolita rodem z Ukrainy

Stempowski i Polska. O tym mówić inaczej nie można jak bardzo nieśmiało, bo Stempowski nie miał nic z ekshibicjonisty.

„Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna...”

Ten wiersz Kasprowicza mógłby tak samo wyrażać stosunek Stempowskiego do „najdroższego wyrazu Ojczyzna”.

Przypominam sobie moje spotkanie ze Stempowskim, pierwsze po wojnie, w Szwajcarii na przełomie lat 1945 i 1946, oraz drugie w Hôtel Lambert w Paryżu. Nie potrafiłbym nic powtórzyć z tego, co mi wówczas mówił. Pozostało mi jedno wspomnienie niechybne i niezapomniane: jakże był głęboko zraniony klęską Polski. W tym okresie właśnie napisał swoje arcydzieło: „Dziennik podróży do Austrii i Niemiec”.

„Słowacki” — pisał Stempowski — „który słyszał jak 'źródła po murawach dyszą' i przez całe swe emigranckie życie niósł pamięć brzegów Ikwy ('oddech jej wód ledwie słychać wśród szelestów sitowia')...” — głuchym trzeba być, by nie wyczuć w tych najpiękniejszych stronach wyznania tęsknoty za jego,

Stempowskiego, ojczyznę, za Rzeczypospolitą. Czym innym jest ten cały tekst jak nie wyrazem miłości do wielkiej, utraconej, wielonarodowej ojczyzny?

Wraca mi jeszcze żywo jedno z ostatnich wspomnień ze spotkania w Szwajcarii, w Bernie, u jego przyjaciół, którzy byli mu najbliżsi, w domu który stał się i jego domem. Pani domu, pianistka, w mojej obecności zaczęła grać „Wielką Fantazję” OP 49* Szopena. Jerzy długo słuchał, i nagle się zerwał, miał oczy pełne łez: „Słuchaj, słuchaj, jak ona czuje ten rytm... polski”.

Jerzy miał w sobie, może bardziej niż ktokolwiek z ludzi mi bliskich, całe rozległe warstwy przemilczeń i wstydlivości. „Być sobą, być sobą — *this above all* — cytuje słowa Poloniusza — można zdaje się tylko w jakiejś więzi konkretnej czy idealnej ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ojczyzny, rodzonej czy przybranej... czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa, lub zamienionych jak gniadosz na bułanka w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyć z powrotem do dawnych miejsc pochodzenia lub przestaną być sobą”.

Czy należy wykreślić tego kosmopolitę rodem z Ukrainy z wzorca inteligencji polskiej?

Zamknąć Polaka w świecie wyłącznie utylitarnego nacjonalizmu czy to nie skazanie nas, byśmy przestali być sobą? Na to trzeba by nie tylko „zetrzeć gumą” parę ostatnich faktów z historii, ale przekreślić całą naszą tradycję Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której Jerzy Stempowski był najczystszy wyrazem.

Czy nie jest to jeszcze jedna, żądająca odpowiedzi, *provokacja* już nie Stalińskiego ale Miłosa?



Wśród zapisków Simone Weil w „*Pesantur et grâce*” jest jej krótka notatka, do której zawsze powracam z tym samym uczuciem zaskoczenia:

„Nie zapominać, że w pewnych chwilach moich bólów głowy, gdy kryzys się wzmagają, pragnęłam intensywnie zadać ból komuś drugiemu uderzając go w czoło, w to samo miejsce”.

Józef CZAPSKI

* „Wielka Fantazja” otwiera marsz prawie żałobny, dociera ona w ogromnym porywie do namiętnego *agitato*, by przejść w *lento sostenuto*, powinno ono (jak uczył G.) być grane jak modlitwa, by znów poprzez żarliwe *agitato* zakończyć się marszem triumfalnym. Ta „Fantazja” jest przez muzykologów uważana za poemat narodowy Chopina”.

Taki komentarz do „Fantazji” nadesłała mi Pani Dienneke Tzaut, która przy tamtym spotkaniu nam ją odegrała.

Dziennik pisany nocą

Dragonea, 28 sierpnia 1972

Przed wieczorem, w drodze powrotnej ze spaceru, zaszedłem do winiarni w sąsiedniej wsi. Pije się w niej stojąc, na jedynym zydłu między beczką a szafką w murze siedzi karczmarz. Było tłoczno, ale zaraz po wejściu zauważyłem w kącie psa: leżał napięty i jakby gotów do skoku, z łbem dziwnie przekrzywionym do góry. Rej wodził stary chłop, gderliwy i zaczepny, któremu ze śmiechem i poklepywaniem po ramieniu wtykano do ręki napełnianą często szklankę. Ślepych, kiedy piją, poznaje się po otwieranych zawczasu ustach, z wyprzedzeniem do którego zmusza zakłócona koordynacja ruchów. Zanim zdążyłem sprawdzić moje spostrzeżenie, potwierdził je sam skrzeczącym głosem: „No i oślepiłem po raz drugi”. Po raz drugi? Ktoś obok mnie wskazał głową kąt: „Oślepił mu niedawno ze starości pies”.

Widziałem później z progu pana i psa, idących ścieżką pod górę w stronę domu. Pies stapał wolno przodem na łańcuchu, podnosił wysoko nogi i stawiał je ostrożnie na ziemi. Ilekroć zbaczał ze ścieżki, pan przyciągał go szarpnięciem do siebie, okładał kijem i puszczał się do przodu z krzykiem: „Jesteś ślepy, ścierwo, śleeeepy!”, wlokąc skulonego i skowyczącego na łańcuchu jak dziecko zepsutą zabawkę. Potem role się zmieniały: pan gubił ścieżkę, pies wysforowywał się przed niego i wpadał na krótko w taneczny rytm swoich kroków. Znikli w końcu obaj za kępą drzew, lecz dość długo jeszcze słyszałem skowyt i okrzyk: *Sei cieco, carogna, cieeeeco!*

1 września

Co jakiś czas, począwszy od roku 1956, przedrukowuje się na Zachodzie w oryginale rosyjskim *Opowieść niezgaszonego księżycy* Pilniaka. Świeży przedruk w Anglii jest fotokopią tekstu, ogłoszonego w maju 1926 roku na łamach *Nowego Mira*. W słowie do czytelnika Pilniak ostrzegał, że zmyślonej historii medycznego uśmiercenia *komandarma* Gawriłowa nie należy łączyć z rzeczywistą śmiercią nowego komisarza wojny, Frunzego, pod nożem operacyjnym 31 października 1925 roku. Nowelę zadedykował Woronskiemu, obrońcy pisarskich „poputczyków” przed atakami RAPP. W następnym numerze miesięcznika Woronskij odmówił „z oburzeniem” przyjęcia dedykacji, wytykając noweli „złośliwe oszczerstwo pod adresem naszej partii”, a redakcja przyznała się do „jaskrawego i ciężkiego błędu”. W numerze ze stycznia 1927 roku sam autor uznał swój utwór za „szkodliwy” i „łatwy do wykorzystania przez kontrrewolucjonistów”.

Nie wiadomo jak było naprawdę z Frunzem, Pilniak podchwycił po prostu krążącą w Moskwie uporczywie pogłoskę o operacji wrzodu żołądka na rozkaz Stalina, wbrew woli zainteresowanego i diagnozie lekarzy. Na zdrowy rozum Stalin nie miał powodu pozbywać się Frunzego właśnie w momencie, gdy za jego pośrednictwem udało mu się wydrzeć Trockiemu resztki kontroli nad wojskiem. Ale za „mordem chirurgicznym” przemawia jakoby fakt, że nowy komisarz wojny był związany z Zinowiewem i Kamieniewem. Pilniak wykreślił się chwilowo sianem. W okresie pisania głośnej *Wołgi* (pod bezpośrednim nadzorem Jeżowa) jęknął pewnego dnia w rozmowie z Victorem Serge: „Nie ma w tym kraju ani jednego dorosłego i myślącego człowieka, który by nie drżał ze strachu że mogą go ni stąd ni zowąd rozstrzelać”. Rozstrzelano go dopiero w roku 1938 lub 39. Wcześniej od niego przepadł bez śladu Woronskij.

Bohater *Opowieści niezgaszonego księżycy*, na wiadomość, że partia tak gorliwie zadbała o jego drogocenne zdrowie, prosi o posłuchanie u Pierwszego (z triumwiratu) w nadziei zażegnania operacji. Pierwszy jest niewzruszony: „Towarzyszu *komandarmie*, pamiętasz jakżeśmy się zastanawiali czy posłać cztery tysiące ludzi na murowaną śmierć? Wydałeś rozkaz postania ich. I dobrze zrobiłeś. Za trzy tygodnie będziesz zdrów jak ryba. Daruj, wydałem już odpowiednie polecenia. Szkoda czasu na dyskusję, towarzyszu Gawriłow”. Tuż przed operacją Gawriłow wspomina Tołstoja, który jak nikt inny umiał mądrze pisać „na temat krwi”. Pilniakowski Tołstoj, w osiem lat po rewolucji,

to moralista piętnujący nasz świat „oparty na zabijaniu”. Z jego ducha powstała ta literacka wersja przedbiegów do Wielkiego Terroru.

3 września

L. wciąż zajęta odcyfrowywaniem i przepisywaniem listów Labrioli do Crocego, dziś zajrzałem jej przez ramię i trafiłem na takie zdanie w liście z roku 1887: „Problem polega na tym: posiadać *religię* bez Boga; co, jeśli graniczy z absurdem, nie jest przez to mniej prawdziwe”.

„Posiadać *religię* bez Boga” chciał wybitny włoski marksista, korespondent Engelsa, w cztery lata po śmierci Marksa. Podkreślenie jest jego. Ma więc rację Madariaga, że Marks był dla swoich wyznawców czymś w rodzaju naukowego proroka biblijnego bez Boga (a raczej z Historią podstawioną na miejsce Boga)? „Co, jeśli graniczy z absurdem, nie jest przez to mniej prawdziwe”. „Prawdziwe” okazało się o tyle: większość proroctw się nie spełniła, a mimo to swoista marksistowska świadomość religijna przetrwała masę czasu, aż do chwili gdy pod naciskiem oczywistości nie pozostało jej nic innego jak wybór między aktem „renegactwa” i aktem kapitulacji. „Renegactwa”, łagodzonego na ogół złudzeniami „rewizjonistycznej” herezji. Kapitulacji przed jedyną postacią wszelkich religii zinstytucjonalizowanych, z Bogiem czy bez Boga: przed sztywnymi i arbitralnymi strukturami władzy nad człowiekiem. Człowiek (słyszymy) pragnie pewności i nigdy nie przestanie do niej tęsknić. Ale religijność autentyczna, jak autentyczna wolność, jest nieustanną indagacją, więcej: nieustannym wątpliwym, żywej duszy. Pewność istnieje tylko w karnych szeregach, służebna i zwodnicza pewność martwych dusz.

4 września

Przyczynek do Historii podstawionej na miejsce Boga. Czytam — podziwiając, jak zawsze w takich wypadkach, Orwella — artykuł doskonałego dziennikarza wyspecjalizowanego w sprawach Dalekiego Wschodu: „W roku 1959 zadałem w Pekinie pytanie Kuo Mo-yo, absolutnemu przywódcy kultury w Chinach, dlaczego w chińskich podręcznikach szkolnych nie wspomina się wojny, w której Stany Zjednoczone rozbiły Japonię i zmusiły ją do wycofania się z Chin i z Azji; co gorsza, dlaczego zapewnia się w tych podręcznikach że Chiny zostały wyzwolone przez bohaterskie wojska Związku Sowieckiego, który w rzeczywistości wy-

powiedział Japonii wojnę na kilka dni przed jej klęską. Kuo Mo-yo odparł spokojnie, że wojny prowadzone przez kapitalistów są antyhistoryczne i jako takie nie zasługują nawet na wzmiankę. Po roku 1959 również bohaterские wojska sowieckie znikły z chińskich podręczników szkolnych: Chiny uwolnili od Japonii *palu*, żołnierze ósmej armii Mao. Wolno zapytać, czy po wizycie premiera Tanaka w Pekinie młodzież szkolna w Chinach dowiędzie się w ogóle ze swych książek o wojnie chińsko-japońskiej”.

Odwiedził nas F., opowiadał o szale okultyzmu w Mediolanie. Był bardzo przejęty: że w niedorozwiniętym Neapolu jest siedem tysięcy magów, chiromantów, astrologów, to rozumiałe; jak jednak wytłumaczyć ten obłęd w zamerykanizowanym i supertechologicznym Mediolanie, skąd taki popyt na senniki, horoskopy w gazetach, traktaty parapsychologiczne, czemu do wróżbitów, spirytystów, wyroczni, producentów lubczyków i innych szarlatanów biegają nie jak dawniej służące i panienki sklepowe, lecz kapitanowie przemysłu, politycy, inżynierowie, wykwalifikowani robotnicy, adwokaci i urzędnicy, ba prałaci Świętego Kościoła Rzymskiego, co się u diabła (!) dzieje, czyżby magia miała zastąpić tradycyjną spowiedź i nowoczesny seans psychoanalityczny, czyżby mania dowierzania kartom i gwiazdom była następstwem utraty zaufania do religii i nauki?

Bez słowa, żeby pocieszyć F. (choć gorzka to dla niego pociecha), wstałem od stołu i przyniosłem z mojego archiwum czerwcowy numer amerykańskiego *Time*. Na okładce facet — albo facetka, bo widać tylko oczy — w czarnym kapturze w czerwone prążki, duży żółty tytuł *The Occult Revival*, mniejszy żółty podtytuł *Satan Returns*. Z szczegółowej ankiety w numerze wynika bezspornie, że w gorączce okultyzmu i demonologii Ameryka pozostawiła daleko w tyle zamerykanizowany Mediolan, że to nasz Neapol jest dzisiaj miastem prawdziwie rozwiniętym (a raczej, jak molierowski pan Jourdain, był nim od wieków sam o tym nie wiedząc). Skromna różnica: w Neapolu biegają się i biega do chiromanty lub astrologa, kiedy rzeczywiście brak lepszego wyjścia, a imienia Szatana nie wzywa się nadaremnie; w Ameryce, kraju ludzi łatwowiernych i prostolinijnych, widzi się w kartach, gwiazdach i zlotach czarownic jedyne wyjście, a imię Szatana otacza neonowa poświata *glamour*. Wolumin nazwany krótko i dobitnie *The Exorcist* przekroczył ostatnio w Stanach milion egzemplarzy. Nie wykluczone, że Nixon i jego doktor diabelski, Kissinger, zasięgają w ważniejszych kwestiach rady u Egzorcysty (nazwiskiem Gallup! — wtrącił ubawiony F.). Tak oto wykładałem, ale F. kręcił sceptycznie głową. Pewną minimalną satysfakcję dała mu jedynie konkluzja ankiety w *Time*:

że „odzycie okultyzmu” i „powrót Szatana” są dowodem równoczesnego kryzysu religii i racjonalistycznej wiary w naukę.

Mówiąc serio, całe zjawisko ma dwa aspekty. Jeden godny pochwały: w prymitywnej formie biegania do pokątnych „pośredników magicznych” parapsychologia Junga bierze zasłużony odwet na psychoanalizie Freuda. Drugi niepokojący: o ile dobrze pamiętam, Daniel Defoe pisał w *Journal of the Plague Year* że rozpleniwanie się szarlatanerii towarzyszy nieodłącznie początkowym stadiom dżumy. Jeśli przeważą aspekt drugi, ten zapis w moim dzienniku straci półzartobliwy charakter drobiazgu z Księgi Dziwów Natury Ludzkiej, a nabierze groźnego charakteru kartki z Dziennika Lat Dżumy.

9 września

A więc znaleziono nareszcie określenie dla ustroju panującego w Polsce i na Węgrzech, „dwóch najbardziej zaawansowanych krajów bloku sowieckiego”. Jest to „paternalizm”, jak można sądzić z rozprawki zachodniego „politologa” wyższa forma ewolucyjna „socjalizmu despotycznego”. Recepta odznacza się cudowną klarownością. Kadar i Gierek nie są „socjalistycznymi despotami”, lecz w miarę dobrodusznymi a w miarę surowymi Ojcami. Gdy chodzi o błahostki, pozwalają dzieciom na rozmaite psoty i wisusowską przekorę, przysmakują nawet pobłażliwie oko na pokazywanie języka i podobne wybryki złego wychowania oraz wrodzonej knąbrności. W dwóch kardynalnych punktach jednak marszczą brwi i przybierają miny marsowe, sięgając odruchowo po pasek albo też kiwając w geście pogroźki palcem. Jakież to błahostki, które się odtąd dzieciom puszcza płazem? Opozycjonistom inteligentnym wolno paplać bez hamulców po kawiarniach, pod warunkiem że ich grymaszenie utrzyma się w ramach „protestu werbalnego”. Reszcie ludności (zwłaszcza robotnikom) wolno ulegać „mitowi konsumizmu”, pod warunkiem nie mieszanienia się do polityki. A jakież to punkty kardynalne, które na odległość pachną złozeniem skóry? Nie wolno ruszać „wzniesionych w Polsce i na Węgrzech fundamentów socjalizmu”, tudzież wywoływać „nieodpowiedzialną demagogią demokratyczną” upiórów przeszłości, czyli feudalizmu i nacjonalizmu. I nie wolno, rzecz jasna, kwestionować kierowniczej roli Związku Sowieckiego.

Autorowi rozprawki, socjaliście zachodniemu, dosyć się ten „paternalizm” podoba, nie szczędzi obu Ojcom komplementów („skrzyżowanie taktu z rozsądkiem”), a dzieciom życzliwych przestróg i upomnień („definitywne pogrzebanie snów o autonomii wobec ZSSR powinno Polakom i Węgrom wpoić elemen-

tarny respekt dla granic tolerancji sowieckiej"). Niestety, pobyt w Polsce i na Węgrzech uprzytomnił mu także „przykre produkty uboczne paternalizmu”, choć zdaje się je uważać za nieuchronny koszt postępu. Ich lista jest bogata: atmosfera powszechnego zniechęcenia, klimat fałszu i kłamstwa, skłonność do serwilizmu, poczucie alienacji w stosunku do Państwa. Wiadomo, edukacja dzieci nie należy do zadań dziecinnie prostych.

Że nie należy, autor rozprawki mógłby się przekonać czytając stenogram przemycyony z Czechosłowacji, gdzie odbywa się właśnie gwałtowna reedukacja nieznośnych bachorów po przykładowym wygarbowaniu im skóry, w sierpniu 1968 roku przez Ojca nad Ojcami. Towarzysz Antonin Kapek, sekretarz praskiego komitetu partyjnego, odpowiada na pytania studentów praskiego Instytutu Technicznego. Pytanie: „Towarzyszu Kapek! W sprawie tymczasowego stacjonowania wojsk sowieckich; czy nie będą przypadkiem zakwaterowane w naszych nowych blokach mieszkalnych? (śmiechy na sali)”. Odpowiedź: „Coś wam powiem. Zróbmy tak. Pokażemy wam jakie mają kwatery, jak żyją i co robią. A są tam oficerowie, którzy przeszli może wojnę. Myślę, że w mieszkaniu znacznie lepiej. Ci towarzysze są bardzo skromni, musicie pamiętać że żyją w niezbyt przyjemnych warunkach, daleko od swych rodzin no i w ogóle (śmiechy). Powiecie zapewne, że w takim razie niech wracają do domu (gromkie wybuchy śmiechu). Łatwo wam się śmiać, dużo ludzi myśli tak jak wy. Nas o to głowa nie boli. Wojska sowieckie na ziemi czechosłowackiej nie ograniczą naszej suwerenności, przeciwnie — stanowią gwarancję niezależnego i suwerennego rozwoju naszego kraju (pomruki na sali)”. Pytanie: „Towarzyszu Kapek! Twierdzicie, że było heroizmem ze strony Związku Sowieckiego wyzwolenie Czechosłowacji, i że wojska sowieckie wkroczyły tu na nasze wezwanie. Jak się zapatrujecie na prośbę o przysłanie wojsk amerykańskich, skierowaną przez rząd południowo-wietnamski do Stanów Zjednoczonych? (pomruki na sali)”. Odpowiedź: „Na to pytanie będą wam musieli odpowiedzieć wasi wykładowcy marksizmu-leninizmu... Powiem tylko, że jeśli nie widzicie różnicy między pomocą internacjonalistyczną i wojną imperialistyczną, kiepsko się to dla was w przyszłości skończy”. Pytanie: „Czemu nie ogłoszono nazwisk towarzyszy, którzy zwrócili się do Związku Sowieckiego z prośbą o pomoc internacjonalistyczną?”. Odpowiedź: „No tak, wielu z was nie wierzy, że tysiącami apelowano o pomoc do Związku Sowieckiego i innych krajów socjalistycznych. Co by się stało na świecie, w naszym społeczeństwie i w naszej partii, gdybyśmy podali do wiadomości konkretne nazwiska? Nie mam co do tego złudzeń i mówię wam szczerze: sierpień 1968 roku nie był w Czechosłowacji chlubną kartą. Dodam jednak,

i jest to moje osobiste przeświadczenie, że ryzyko Związku Sowieckiego było w roku 1968 grubo większe i śmielsze, niż w roku 1945”.

Ząbkujący „paternalizm” husakowski odsłania niebezpieczeństwo, wspólne wszystkim lokalnym odmianom tego świeżego wynalazku ustrojowego „socjalizmu”: Ojcowie zanedbują na niewinność i naiwność dzieci.

Neapol, 14 września

Zasypiałem już w pustym mieszkaniu, okna zostawiłem otwarte. Wytrącił mnie z drzemki natarczywy chrobot. Na parapecie dwa ogromne szczury badały wejście do pokoju, trzeci — mniej wyraźny w świetle księżyca — przycupnął na murze z przeciwka. Wystarczyła nasza dłuższa nieobecność, by „podziemny Neapol” przypomniiał o swoim istnieniu. W mieście spotyka się szczury jesienią, w dnie ulewne, gdy na promenadzie nadmorskiej wygrzebują się spomiędzy głazów wzdłuż brzegu i przez ulicę przeskakują do *Villa Comunale*, ogrodu miejskiego. Jak wtedy nie myśleć o początku powieści Camusa?

Statystyki miejskie, nie wiem jakim sposobem robione, szacują zaszczurzenie „podziemnego Neapolu” na siedem do ośmiu milionów sztuk. Miasto rośło niepowstrzymanie z budulca czerpanego na miejscu. Mieszkamy na gigantycznej gąbce, pełnej ukrytych wykopów, grot, lochów, wyrąbanych w kamieniu chodników, zapadni. Nie posiadamy ich mapy topograficznej, pamiętamy jedynie że *topo* znaczy po włosku „szczur”. Dokładnie naniezione na mapę są natomiast ścieki kanalizacyjne, wyborne (zdaniem znawców) dzieło Burbonów. Prócz właściwego celu, służą masowym szczurzym dyslokacjom i ludzkiej kontrabandzie z portu do śródmieścia. Od czasu do czasu rozlegają się tam chyba strzały konkurencyjnych band przemytniczych, a dudnienie ich echa miesza się z piskiem uciekających szczurów. Od czasu do czasu, po przewlekłych deszczach, pęka ulica w górnych kondygnacjach naszego pięknego panoramicznego miasta i pochłania przechodnia lub automobilistę. Poszukiwania zwłok są zazwyczaj bezowocne. Nad całością niewidzialnego spektaklu czuwa, albo i nie czuwa, Wulkan. To jest miasto, które turyści oglądają na widokówkach z podpisem: „Zobaczyć Neapol i umrzeć”.

Rzym, 15 września

Tyle razy przyrzekałem sobie, że noga moja nie postoi w tak zwanym „rzymskim saloniku intelektualnym”, a przecież dzisiaj

dałem się naciągnąć. Obiad na osiem osób. Gospodarze wrócili właśnie z podróży do Ameryki, opaleni i rozszczębotani. Pani domu, zbzikowana na punkcie psychoanalizy (jej mąż jest historykiem sztuki), zaprezentowała przy kawie główne trofeum: studium psychoanalizy bostońskiego Waltera Langera *The Mind of Adolf Hitler*, które dopiero za tydzień ukaże się na półkach księgarskich. Książka, pokreślona i upstrzona na marginesach wykrzyknikami, wędrowała z rąk do rąk przy wtórze szczebotu objaśniającego szczęśliwych posiadaczy. Ten jakiś Langer otrzymał wiosną 43 roku pilne zamówienie od szefa kontrwywiadu amerykańskiego, Donovana: prezydent Roosevelt życzy sobie poznać „umysł Adolfa Hitlera”. Jesienią kopiasty manuskrypt był gotów. Langer spreparował go — czy to nie cud? — wyłącznie na podstawie pokatnych informacji, zmusznie przesiewanych plotek, szepcanych na ucho świadectw, wyławianych z kontekstu *Mein Kampf* aluzji, obserwacji na dystans. A wyszło tak, jak gdyby od wiosny do jesieni pacjent leżał u niego nagusienki i skory do wyznań na łóżeczku psychoanalitycznym! Otóż prezydentowi Rooseveltowi przedłożono następujące rewelacje o umyśle wodza Trzeciej Rzeszy. W dziedzinie przesładowań Hitlera nadmierny lęk o własne genitalia: żeby się broń Boże we wstydliwym miejscu nie pokaleczyć. Jest wielce prawdopodobne, że jako dziecko też przyłapał rodziców na spełnianiu obowiązków małżeńskich: istnym szokiem była dlań uległość, z jaką młoda i słodka mama poddawała się dzikim żądom starszego od niej i brutalnego taty. Już wtedy zapewne nabrał wstrętu do płci nadobnej (stąd podkreślanie przy byle okazji, że jego jedyną oblubienicą jest Trzecia Rzesza), i w ogólności do seksu (stąd nienawiść do Żydów, których miał za kwintesencję wszelkich płciowych obrzydliwości). Kto wie, czy i do tej kategorii nie wpada zaliczyć wegetariańskiej pogardy dla mięsa, skoro w pewien subtelny sposób mięso utożsamia się w naszej podświadomości z ciałem. Równocześnie jednak stosunek Hitlera do seksu układał się na ambiwalentnej płaszczyźnie *Hass-Liebe*. Ten psychopata o krok zaledwie od schizofrenii, cierpiąc na ostre i długie ataki wyczerpania płciowego, jeśli nie wręcz impotencji, kazał sobie zastrzykiwać tarte jądra bycze w roztworze cukru winogronowego. Nie miał ciągót homoseksualnych, jego perwersja była skrajną formą masochizmu: mężczyzna osiąga w niej orgazm, lub co najmniej zbliża się do niego, zmusiwszy kobietę do oddania moczu i kału na własne, rażone niemocą ciało. Wdzięcznym i odrobinę kokieteryjnym ruchem pani domu wyłożyła na stół kartę atutową, coś w rodzaju deseru dla zasłuchanych gości: posłowie do książki Langer, pióra historyka amerykańskiego Roberta Waite. Hipotezy psychoanalizy zostały w całej rozciągłości

ści potwierdzone przez lekarzy sowieckich, którzy podczas sekcji zwłok Hitlera znaleźli w woreczku jądrowym tylko prawe jądro; lewego nie znaleziono ani w woreczku, ani przyczepionego do kanału spermatoidalnego, ani w strefie miednicowej. Czy to nie olśniewające? Jedna wszelako rzecz zasnuwała słońce czy pani domu mgiełką smutku i zawodu. Gdy po ukończeniu swego dzieła rozochocony Langer oświadczył Donovanowi, że czuje się na siłach opracować dla Roosevelta analogiczne studium pod tytułem *The Mind of Joe Stalin*, szef kontrwywiadu amerykańskiego skoczył jak oparzony: „Na Boga, niech pan o tym nawet nie wspomina, prezydent byłby przerażony!”. Dlaczego, dlaczego? Dlatego — mruknął mój sąsiad przy stole, małomówny malarz rzymski — że kontrwywiad amerykański zaopatrzył już uprzednio Roosevelta w szczegółowy raport o dwóch zdrowych i solidnych jądrach w woreczku Stalina. Ale pani domu i jej mężowie nie trafił ten argument do przekonania, byli oboje niepokieszeni.

Maisons-Laffitte, 22 września

Surrealizm albo zemsta snów: z tym wrażeniem krążyłem parę godzin po salach wystawy surrealistów. Jak kiedy się budzi- my i zachwycająco żywe przed chwilą obrazy senne rozłazą nam się błyskawicznie niby tandetna i zbutwiała tkanina w palcach, tak u ich malarskich eksploratorów wyłania się drwiąco z Wielkiej Przygody spłowieła i mniej czy bardziej efekciarska dekoracyjność. Szelest zwiędłych liści, które niedawno należały do wegetacji nadzmysłowej; błysk świecidełek, które na dnie oceanu wydawały się niezmiernym skarbem...

Najobronniejszą stosunkowo ręką wychodzą z próby czasu surrealistyczny podróżnicy dokoła własnego pokoju. Działa tu „fantastyczna fermentacja materii”, obsesja Schulza z *Traktatu o manekinach*: „stare mieszkania, przesycone emanacjami wielu żywotów i zdarzeń — zużyte atmosfery, bogate w specyficzne ingrediencje marzeń ludzkich — rumowiska, obfitujące w humus wspomnień, tęsknot, jałowej nudy”. Ubogi łup? Być może, ale trwalszy od rezultatów zuchwałej wyprawy po senne runo.

24 września

Nie będę się upierał że *The Clockwork Orange* jest dobrym filmem, do Dziesiątej Muzy odnoszę się lekko, do kina chodzę dla rozrywki. Co wyjaśnwszy, nie mogę zaprzeczyć że film Kubricka był dla mnie przeżyciem: oglądałem go ogłuszony, z lodo-

watą pustką w sercu, przymykając niekiedy oczy. Na pozór nie powinno tak być, ostatecznie dość codziennie słyszę odgłosów gwałtu bądź czytam o nich w gazetach, zdaję sobie sprawę że wśród koneserów sztuki nowoczesnej nie ma większego komple-mentu niż: *C'est une chose très violente*, kilka dni temu wyciąłem z *Corriere* liścik do redakcji tej treści: „Jestem nauczycielem szkoły średniej, wczoraj zrobiłem straszne odkrycie. Darownie usiłowałem zainteresować moich uczniów końcem Imperium Rzymskiego i jego przyczynami. Ich uwaga obudziła się dopiero wówczas, gdy zacząłem mówić o Atylli. Im plastyczniej opisywałem jego rzezie i łupiestwa, tym otwarciej ich pałający wzrok wyrażał admirację i ciekawość. Podejrzewam, że fascynacja potworami opanowuje dusze naszej młodzieży”.

Wiem zatem od dawna to co odkrył teraz poczciwy profesor gimnazjum mediolańskiego, lecz inna rzecz wiedzieć, a inna zobaczyć współczesną twarz gwałtu. Pokazał ją Kubrick, mniejsza w jakim sosie „filozoficznym”. Twarz gwałtu abstrakcyjnego, bezinteresownego, czystego, gwałtu dla samego gwałtu, w oderwaniu od jakichkolwiek celów, chciałoby się powiedzieć: gwałtu uprawianego wyłącznie z ambicją jego „artystycznego” udoskonalenia. Takie zjawiska nie rodzą się z niczego, śmieszne jest uważać je za przelotną wysypkę czy modę. Więc kwestia korzeni. Niegdyś sądziłem, że okropności wojny (epoka pieców, absolutna deprecjacja życia ludzkiego) zatruły krew świata — nawet jego młodocianych mieszkańców, dla których wojna jest powiastką o żelaznym wilku — przykładem pogruchotanych i wdeptanych w ziemię Kamiennych Tablic. Podtrzymuję częściowo tę interpretację, myślę jednak że do krwi współczesnego świata przeniknęła ostatnio dodatkowa toksyna: przecucie jego kruchości. Czterdziestoparoletni uczony włoski Roberto Vacca, specjalista w dziedzinie elektroniki, wydał przed rokiem książkę zatytułowaną *Il Medioevo prossimo venturo*. Wizja Średniowiecza jako „najbliższej przyszłości” ma w niej charakter scenariusza apokaliptycznego o niezwykle wiarygodności. Rzecz dzieje się zimą w Ameryce jutra. Koincydencja korków samochodowych na drogach i paraliżu linii kolejowych uniemożliwia personelowi zamiennemu wielkiego lotniska dojechanie na czas do pracy. Pierwsze uszkodzone ogniwo powoduje reakcję łańcuchową, proces rozpruwania się sieci naprężonej do granic wytrzymałości. Kontrolerzy z poprzedniej zmiany, zmęczeniu i nerwowo wykończeniu, prowokują zderzenie dwóch ogromnych samolotów. Samoloty spadają na linię wysokiego napięcia. Powstaje *black out*, tym razem radykalny i długi. Ponieważ pada śnieg i ulice są zablokowane, piętrzą się monstrualnie zatory samochodów. W biurach i domach ludzie rozpalają ogniska, wybuchają pożary, do których

nie może dotrzeć straż ogniowa. Sieć telefoniczna „wysiada” pod ciężarem pięćdziesięciu milionów oszalałych abonentów. Rozpoczynają się marsze w śniegu, padają po drodze pierwsze trupy. Pozbawieni zapasów żywnościowych, błędni przechodnie wdzierają się hordami do supermarketów i magazynów, grabią co popadnie, chwytają za miliony sztuk dozwolonej w Ameryce broni palnej. Wkracza wojsko, ale pada natychmiast ofiarą powszechnego paraliżu. Rośnie z dnia na dzień liczba zmarłych z głodu i mrozu. Kiedy po miesiącu udaje się z trudem przywrócić względną normalność, setki tysięcy poniechanych w miastach i wsiach trupów stają się wylęgarnią epidemii, w niczym nie ustępujących czternastowiecznym plagom w Europie. Dalej Vacca snuje implikacje polityczne, które mogą sobie w moim dzienniku darować. I proponuje, w obliczu niewesołej perspektywy bliskiego Średniowiecza, zakładanie już obecnie małych wspólnot klasztor-nych, zdolnych przechować naszą kulturę i wiedzę do lepszych dni nowego Renesansu...

Fantazja fantazją, ironia ironią, istota jego książki tkwi w pod-tytule: Degradacja Systemów Kolosalnych. Trzeba się znać na technikaliach zagadnienia, żeby węszyć tę Degradację w powie-trzu? Żeby czuć jak wokół nas puchnie świat kruchych Systemów Kolosalnych, nie na miarę ułomnego człowieka, pogłębiając otępienie moralne i popychając do kultuwacji gwałtu abstrak-cyjnego?

28 września

Mój rozmówca, prosto z Moskwy, miał sposobność poznać „krąg Sacharowa”. Raczej sektę, niż krąg. Po Akademika przyjeżdża co rano limuzyna Akademii, zawozi go do pracy, która jest w praktyce beczynnym odbębnianiem dnia w pustym labo-ratorium: odkąd się politycznie „zaawanturował”, a zwłaszcza odkąd w 68 roku zwrócił wysoką nagrodę państwową, nie do-puszcza go się do *tainstwiennych naucznych dzieł*. Sacharow oze-nił się właśnie po raz drugi, dwaj synowie z pierwszego małżeń-stwa wyrzekli się ojca z pobudek politycznych. Jego nowa żona, niezmordowana „siłaczka” Ruchu Demokratycznego, jest córką starej bolszewiczki, przykutej do łóżka po piętnastu latach wię-zień i łagrów. Ojciec sowieckiej bomby wodorowej uchodzi dzi-siaj za najlepszego znawcę prawodawstwa sowieckiego, wieczory spędza nad kodeksami, przepisami, rozporządzeniami, udziela po-rad prawnych *diemokratam* w opałach. Żona, z zawodu lekarka, zajmuje się rodzinami uwięzionych i zesłanych. Składki na *sacharowskij MOPR* pochodzą z czterech źródeł: połowa pensji oboj-

ga małżonków i emerytury starej bolszewiczki; ciche wpłaty kolegów Akademika, którzy przyjmują nagrody i gratyfikacje rządowe; opłaty, choćby groszowe, za porady prawne u samozwańczego Adwokata; dobrowolne opodatkowanie zespołów remontu mieszkań (popularna forma zarobkowania wśród młodych członków sekty).

4 października

Wizycie Gierka zawdzięczam, że w ramach polskiej inwazji Paryża, na Polach Elizejskich udekorowanych biało-czerwonymi sztandarami, spotkałem moją koleżkę z UW. Nie widzieliśmy się od tamtych przedpotopowych lat uniwersyteckich, nie próbowaliśmy się odszukać listownie, prawdę mówiąc wątpiłem czy ocalał. Jest nauczycielem. Przegadaliśmy całe popołudnie w kawiarni. Nasiąknął już swoim zawodem, bo właściwie przepływał mnie i pouczał: cierpliwie, rzeczowo, rozważnie, obracając bez przerwy w palcach ostro zatemperowany ołówek. W końcu, jakby sprawdzivszy zakres moich wiadomości i aktualny stan mojej inteligencji, napisał nim na papierowej serwetce: „Przeczytał artykuł *chłop potęgą jest* w czerwcowym numerze *Przekroju*”. Po czym zamilkł. Odsiedzieliśmy w milczeniu jeszcze kwadrans, śpieszył się na kolację do dalekiej rodziny swojej żony.

W Laffitte odgrzebałem ten artykuł i mam go teraz przed sobą. Jest rzeczywiście pouczający. Przedstawia (z okazji Święta Ludowego) „Jana Stacha, rolnika ze Znamierowic w powiecie nowosądeckim, który samotnie zbudował most ponad głębokim wąwozem; na pytanie, dlaczego podjął się budowy tego kamiennego kolosa, odpowiedział: trzeba się było wyrwać do świata”. Nie było drogi od jego zagrody, tylko przez pole sąsiada Prusaka, a Prusaczka (żona Prusaka) zagroziła ją, gdy Stach wioził pomidory ze swego pola do spółdzielni. Co robić? „Najpierw próbował odwozić jarzyny i owoce do spółdzielni w Siennej, po drugiej stronie jeziora, łódką. Ale łódź nie jego, za transport trzeba było płacić. A jak nie, to trzeba było wszystko przenosić na plecach przez wąwóz, głęboki 15 metrów, o ścianach stromych, prawie pionowych. Brał więc Jan Stach na plecy po 50 a nawet 70 kilogramów owoców i niósł do przystanku PKS. Żyć przecież trzeba, sprzedawać produkty do miasta”. Po rozum do głowy, chłop potęgą jest i basta... Wziął się do budowy mostu, budował go sam jeden cztery bite latka, taskał na grzbiecie kamienie, większe ciągnął na saniach krowami po mokrym do brzegu krawędzi, stamtąd opuszczał łańcuchami na dno wąwozu. No i wybudował. „Sąsiedzi po czterech latach zgłosili pomoc, czyn spo-

łączny, że będą robić przy moście, ale Jan Stach wtedy już nie chciał i teraz też żadnej pomocy nie chce”. Przyjechała komisja z miasta, obejrzała, ostukała, stwierdziła że „most stoi zgodnie z wymogami sztuki budowlanej”. Powiatowa Rada Narodowa przyznała Stachowi dziesięć tysięcy złotych nagrody. Nie wziął. „Okaze się, że ten most już nie jego, że państwo zapłaci i wszyscy będą mogli jeździć”. Natomiast zgodził się zostać kawalerem Orderu Bryły, „nowego odznaczenia, które przyznawane jest szczególnie zasłużonym dla nauki i techniki ludziom czynu, o wielkim kapitale myśli i woli, o wysoko ocenianej osobowości”. Znalazł się w dobrym towarzystwie, jako że poprzednio nadano Order Bryły profesorom Waleremu Goetlowi, Edwardowi Lipińskiemu, Szczepanowi Pieniążkowi i Janowi Szczepańskiemu, konstruktorowi komputerów Jackowi Karpińskiemu, oraz odkrywcy miedzi Janowi Wyżykowskiemu. Artykuł w *Przekroju* zamyka kłamra patetyczno-liryczna: „Siedzi przede mną prosty chłop — człowiek pracy i energii ogromnej, który góry przenosił i ustawiał z olbrzymich głazów most, jak legendarni tytani... Oby było jak najwięcej takich Janów Stachów, zmieniających naszą wieś na jeszcze piękniejszą, bardziej cywilizowaną, otwartą ku światu”. Historyjka rozgrywa się A.D. 1972, w Polsce nazywanej się „socjalistyczną”, przy biciu w bębny i kotły „społeczne”, na bankiecie dla kawalerów Orderu Bryły trącają się kielichami budowniczy mostu i konstruktor komputerów.

W kraju, w związku z ukazaniem się *Listopadowego wieczoru* Kijowskiego, rozgorzał na nowo nieśmiertelny inteligencki spór między „romantykami” i „realistami”. Jaki obóz w szerokich rzeszach wiernego ludu polskiego reprezentuje Jan Stach, nie omieszkął zaznaczyć autor artykułu o nim: „Nie żadne romantyczne względy zdecydowały o podjęciu tego gigantycznego trudu, tylko po prostu konieczność ekonomiczna”. Skoro wroga „romantyzmu” i rzecznika „prostej konieczności ekonomicznej” ignorowali przez cztery lata „marksściści”, dziś powinni im go jak przywłaszczony bezprawnie sztandar odebrać szermierze politycznego „realizmu”.

11 października

W moim dzienniku, pod datą 9 stycznia, wynotowałem z tomu korespondencji Orwella jego list do Eliota, jako dyrektora wydawnictwa Faber, dołączony do manuskryptu *Folwarku Zwierzęcego*. Książeczka została już odrzucona przez paru wydawców, Orwell próbował szczęścia u Fabera, uprzedzając jednak z góry że nie przełknie żadnych zmian i poprawek: do szewskiej pasji

doprowadzała go szczególnie „kretyńska sugestia” poszukania dla bolszewików jakichś znaczniejszych niż świnie zwierząt.

Bernard Crick odnalazł przedmowę Orwella do *Folwarku Zwierzęcego*, esej o wolności, cenzurze i „sowietomanii” intelektualistów angielskich (przede wszystkim lewicowych). *Folwarkowi Zwierzęcemu* wyszło z pewnością na zdrowie pominięcie tej eksplozywnej przedmowy (której detonatorem była właśnie owa „kretyńska sugestia”), ale dzięki odkryciu Cricka eseistyka Orwella wzbogaciła się o tekst znakomity.

W komentarzu Cricka cenne są dwa przypomnienia. Jedno to ówczesny stan ducha Orwella, który najdobitniej doszedł do głosu w słynnym felietonie w *Tribune* z 1 września 1944 roku. Orwell zwracał się do angielskich intelektualistów lewicowych, udających że nie dostrzegają Powstania Warszawskiego: „Pamiętajcie, że płaci się zawsze za nieuczciwość i za tchórzostwo. Niech wam się nie wydaje, że możecie latami okadzać reżym sowiecki, a potem jak gdyby nic wrócić do umysłowej przyzwoitości. Kurwa będzie zawsze kurwą. Nie ma dziś na świecie rzeczy ważniejszej od przyjaźni i współpracy anglo-rosyjskiej, ale umacnia ją tylko przemawianie bez ogródek”. Przypomnienie drugie dotyczy Eliota, jak najdalszego od bałamucenia się lewicowością. Jego odpowiedź na propozycję wydania *Folwarku Zwierzęcego* była niedoścignionym popisem anglo-jezuityzmu: nazywał książeczkę arcydziełem, czymś bez precedensu od czasów Swifta; lecz jednocześnie nie wydawało mu się, by „słuszny był taki punkt widzenia dla oceny obecnej sytuacji politycznej”.

O tekście Orwella daje pojęcie uwaga: „Niebezpieczeństwem jest umysł gramofonowy, niezależnie od tego jaką się nań nakłada płytę”. Wierzył w „antyczną wolność” Milтона, w „tradycję bez której nie istniałaby zapewne nasza kultura”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

O karierze, tęsknocie i kontrastach

W Bostonie mają już śnieg. Tutaj w Virginii jest ciągle jeszcze ciepło. Zieleń, błękit, bardzo mało czerwieni. Liście na kampusie opadają powoli, leniwie, kusi mnie żeby napisać leniwie jak wszystko na południu. Kontrast po Bostonie ogromny. Inny klimat, inni ludzie, obyczaje, normy towarzyskie. Jesteśmy najlepszym stanem w związku — mówi do mnie sprzedawca, a ja dopiero po sekundzie orientuję się, że on ciągle jeszcze myśli o konfederacji stanów południa. Historia tego konfliktu jest tutaj żywa, może zanadto żywa. Przybysza z daleka to śmieszny.

Kobiety hodują tutaj łagodne, raczej ustępliwe. Tylko jedna na całym uniwersytecie doszła do jakiejś takiej pozycji i to zdaje się że głównie drogą aktywnego *social life*. Proszę nie czytać źle między wierszami, moralność jest tutaj bardzo modna, *social life* obejmuje po prostu niekończące się *party*. Ani marihuana ani LSD. Wkłada się nieco lepsze ubranie, prezentuje pogodną twarz i sprzedaje niegroźne ploteczki. *Women Liberation* jest równie niepopularne jak polityczne propozycje McGovern'a. I jedno i drugie traktuje się jako zagrażające południowym ideałom i południowemu stylowi życia.

Czuje się tutaj trochę tak, jak wówczas kiedy przyjeżdżałam z Warszawy na krótkie wizyty do wydawnictwa w Krakowie. Oni mieli doskonałą reputację, ja miałam niezłe książki, ale poza tym nie było żadnych szans na intymność. Obchodziłam naokoło Rynek i wracałam z ulgą do agresywnej, przekornej, niczego nie szanującej Warszawy. Oni dalej pielęgnowali swoją dobrą opinię i galicyjskie ideały. Charlottesville bardzo mi przypomina Kraków. Zmniejszony, syty, nie znający groźby zniszczenia, raczej pewny siebie. Są snobistyczni ale w innym stylu niż snobizm Nowej Anglii. Boston jest tak skoncentrowany na sobie, że

nie przejmuję się zaledwie przybyszami z daleka. Virginia jest zagrożona przemianami zachodzącymi w Ameryce i na wszystko co nowe reaguje emocjonalnie. Tych, którzy sobą coś reprezentują stara się albo zasymilować albo odrzucić. Jak w każdej sytuacji zagrożenia nie ma tu miejsca na tolerancję. Pytanie: co robić z przybyszem, który zachowuje się prowokacyjnie? Długo będę pamiętała odprężenie na twarzy *chairman'a* po naszej pierwszej rozmowie. Starszy, siwiejący pan o nieskazitelnych manierach, który na mój widok tak wyraźnie odetchnął z ulgą, że to było niemal wzruszające. Kobieta, która zamierza pisać rozprawę doktorską na temat subwersji musiała mu się kojarzyć z typem agresywnej bojowniczką, coś jak Angela Davis z innego obozu. Nawet jeśli był skłonny kupić moje pomysły mógł słusznie przypuszczać, że wprowadzę mu ferment na wydziale, a tego nikt nie lubi. Trzy lata temu nie przyjmowali tu kobiet wcale. Cicha, spokojna enklawa czysto męskiego intelektu w murach budowanych jeszcze przez Tomasza Jeffersona. A teraz? Strach pomyśleć.

Zaprezentowałam mu kobiecy, złudnie łagodny wygląd plus mieszaninę warszawskiej arogancji z bostońskim *cool*. Świetnie go to ustawiło. Mała rada dla nowoprzybyłych, którzy chcą odpowiednio zalergizować amerykańskich snobów: nie sprzedawajcie się za tanio. Im wynioślejsi się ich traktuje tym lepiej reagują. To trochę tak jak w pokerze, albo żeby użyć przykładu z nauk politycznych, w *game theory*. Nie ujawniać wszystkich danych od razu, raz na jakiś czas zrobić nieprzewidziany ruch. Stają się wtedy niepewni a my zyskujemy reputację trudnych do rozgryzienia. To nie byłaby dobra reputacja, gdyby nie dodatkowy czynnik w postaci amerykańskich ideałów i amerykańskiej tradycji. Ta tradycja nie pozwala im zostawić wartościowego przybysza bez szans, to nie byłoby zgodne z duchem protestantyzmu. W ten sposób oni mają konflikt moralny — doskonała rozrywka dla ludzi, którzy już mają problem statusu z głowy — a my idziemy miękko w górę.

W ciągu tego długiego roku kiedy nie pisałam nic do *Kultury* otrzymywałam ku memu zdziwieniu wiele listów i wycinków z polonijnych gazet. Czerwonym ołówkiem podkreślone było to, co miało mnie ewentualnie sprowokować do dyskusji. Sens tych podkreśleń był niedwuznaczny i bez względu na imię nadawcy można by go podsumować mniej więcej tak: skoro nie piszę, znaczy, że mi się nie udało. Skoro nie piszę, znaczy że przegrałam.

Trochę mnie to bawiło, trochę wzruszało — tyle pamięci, kto by się spodziewał — byłam jednak zbyt zajęta, żeby mnie

można było łatwo sprowokować. Odpowiedź zresztą nie jest prosta, chyba że dałoby się ją prostaczkom. Standarty powodzenia są bardzo różne. Można ocenić czyjś dwuletni pobyt z punktu widzenia statusu i można sięgnąć po głębszy, psychologiczny aspekt zagadnienia i zapytać, co właściwie ten ktoś chciał osiągnąć. Kryteria sukcesu są równie skomplikowane jak kryteria szczęścia, to co jednym wystarcza, drugich zostawia głodnych. Kiedy pisałam w Rzymie, że daję sobie rok czasu na dojście do szeregu autentycznej *competition*, miałam rację. Po roku dostałam amerykański dyplom w Bostonie i zostałam przyjęta na robienie doktoratu do jednej z najbardziej snobistycznych szkół w tym kraju. To nie jest źle, i kiedy profesor W. powiedział w Bostonie: pani jest jedną z niewielu nowoprzybyłych, którzy szybko znaleźli sobie miejsce, miał w pewnym sensie rację.

Przez rok nie mówiłam po polsku bo nie miałam żadnych kontaktów, czytałam *Kulturę*, kiedy mi ją wyrozumiały red. Giedroyc przysyłał i miałam wyraźną, jasną świadomość, że idę naprzód.

Jednym z dobrych wskaźników sukcesu jest klimat małego rozdrażnienia wokoło. Rodowici, przeciętni — przeciętni, podkreślam — Amerykanie, nie lubią za dużego tempa i dają to na ogół odczuć całkiem wyraźnie. Kobiety nie robią tutaj doktoratów masowo, poprzestając chętnie na dwóch samochodach, dwójgu dzieciach i jednym mężu. Problem jednak w tym, że ja nie jestem Amerykanką i kryteria sukcesu, które zadawałają ich nie zadawałają mnie. W tym miejscu mała dygresja dla tych, którzy mogą to zdanie zrozumieć opacznie. Problem asymilacji jest bardzo dwuznaczny i tak jak ja go rozumiem polega głównie na intensywnym sprzedawaniu odrębności. W tym kraju znormalizowanych Campbell Soup i Green Stamps indywidualność się liczy. Poszłabym nawet dalej i zaryzykowałabym twierdzenie, że jedyną drogą do pełnego wdarcia się w to społeczeństwo jest bezustanne podkreślanie swojej odrębności. Inność robi wrażenie, utożsamianie się niszczy. Tym, co kładzie większość Polaków jest to, że chcą wejść do środka za wszelką cenę i bez żadnych zastrzeżeń przejmując ideały amerykańskiej *middle class*, ideały konformizmu. To nieporozumienie. Zawsze będą inni, a ponieważ nie są wystarczająco odrębni nigdy nie zostaną w pełni zaakceptowani. Paradoks ale prawdziwy.

Kiedy jeden z profesorów z UVA Department of Foreign Affairs mówi mi: *you are intimidating everybody, do you know it?*, uśmiecham się udając zdziwienie, ale wiem o co chodzi. Ja ich po prostu celowo obciążam psychicznymi kosztami mojej odrębności, kosztami doświadczeń, których nie mieli i mieć nie będą, które dla nich byłyby czystą egzotyką ale dla mnie były

częścią mojego życia, ale przede wszystkim, głównie płacą za fakt, że z pisarki staję się naukowcem, a to nie jest moja prawdziwa skóra.

Rozprawa o subwersji będzie na pewno interesująca, wojna psychologiczna jako jeden z aspektów konfrontacji między Wschodem a Zachodem długo jeszcze będzie tematem wysoce aktualnym. Gdyby CIA nie było instytucją z coraz większymi tendencjami do przejmowania mało atrakcyjnych cech amerykańskiej biurokracji, powinna mi pisanie tej rozprawy sfinansować. Zbyt wielu doktorantów pisze dysertacje nie mające żadnego zastosowania w rzeczywistości, a o ile wiem żaden z nich nie odważyłby się na poruszenie tematu, który mnie interesuje.

Bardzo ciężko jest należycie funkcjonować demokracji w starciu z przeciwnikiem, którego ideały, o ile w ogóle istnieją, są całkowicie podporządkowane pragnieniu władzy, osiągnięciu władzy i utrzymaniu władzy. Jeszcze ciężiej jest dla wielu pisać na ten temat i przyznać się publicznie do faktu, że nie można jednocześnie pielęgnować ideałów nie będąc zdecydowanym na robienie brudnej roboty. Dla amerykańskich naukowców jest to problem, którego istnienie uświadamiają sobie, ale którego rozwiązanie albo nawet próby rozwiązania wprowadzają ich w przykre zażenowanie. Mój *chairman* staje się wyraźnie nieswój i mieni się na twarzy kiedy ja zbyt otwarcie poruszam temat wojny psychologicznej i subwersji. Odzyskuje równowagę kiedy zaczynamy mówić o tradycjach amerykańskiej demokracji i czterestu punktach Wilsona. Prowokować go zbyt często to tak jak przekonywać czystej rasy protestanta żeby był bardziej pomyślowy w łóżku. Nawet gdyby zrozumiał o co chodzi i tak by nie potrafił. Rozsądniej jest nie poruszać tematu wcale.

W tytule użyłam słowa: tęsknota. To bardzo sentymentalne słowo i bardzo nadużywane, zwłaszcza przez pisarzy na emigracji. Tęskni się za krajem, tęskni się za rodziną, każdy ma jakiś własny, bardzo osobisty punkt odniesienia, do którego przykłada to niewymieralne, nieprzetłumaczalne słowo. Kiedy opuszczałam Warszawę mówili mi: zobaczysz, zobaczysz, jak będziesz tęskniła. Było to trochę tak, jak informować pacjenta że ma początki raka, mimo że ból się jeszcze nie pojawił. Oczekiwałam tego bólu, byłam ciekawa jakiego rodzaju doznanie to będzie.

Na początku pobytu w Rzymie była to tylko drobna irytacja na ich chaotyczny, żywiołowy ruch, koszmarne powolne urzędy i niekończącą się ilość kolumn na różnego rodzaju publicznych placach. Nie podobało mi się to, że byli hałaśliwi i nie potrafili, czy nie chcieli, zostawić nikogo samego. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu przywykłam. Kiedy po roku opuszczałam Rzym czu-

łam się tak, jakbym wydierała korzenie z gruntu. Może dlatego, że opuszczałam Europę i to było jakieś bardziej definitywne rozstanie niż z Warszawą. Poza tym Warszawa była brzydka, wystarczyło pojechać nie dalej niż do Pragi czeskiej, żeby się o tym przekonać, podczas gdy Rzym był pełen niekończącego się oroku. Jeszcze dzisiaj myślę o *via del Gianicolo* z sentymentem z jakim myślę o Konstancinie.

Ale najwidoczniej to jeszcze nie była ta prawdziwa miłość. Gdyby mi ktoś powiedział, że będę tęskniła za amerykańskim miastem, ruszyłabym ramionami. Ja? Nonsens. A jednak. Miasta mają atmosferę i osobowość jak ludzie. Z jednymi można się utożsamiać błyskawicznie, w innych wypadkach to nie wychodzi przez całe lata. Boston jest nonszalanki, pewny siebie, nieobliczalny. Boston nie daje łatwo szansy, ale kiedy ją daje, jest to szansa prawdziwa. Jest to miasto bardzo amerykańskie i nieamerykańskie jednocześnie. Nie można tam pisać rozprawy o subwersji, bo nie przyznają na to dotacji, ale można tam żyć. Wybór między Virginią a Bostonem to wybór między bezpieczeństwem a sentymentem. W Bostonie byłam pisarką, która studiuje *Foreign Affairs*, w Virginii jest *Ph. D. candidate*. To zasadnicza różnica, to określa.

Więc może tęsknota nie jest niczym innym niż szukaniem siebie, może naprawdę tęsknimy za czymś, co stanowi o nas jako o osobowości, o nas jako o pragnieniu dotarcia do tego, co nadaje usprawiedliwiający sens szamotaniu się przez życie?

Virginia może być pięknym miejscem pobytu dla pisarki. Cudowne pejzaże, cisza, łagodność w ludziach i w przyrodzie. Virginia może być miejscem tortury dla kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że nie wszedł jeszcze w tę najważniejszą fazę walki. Pisanie po angielsku. Ilu ludziom to się udało, ilu ludzi to położyło.

Kiedy Arthur mówi do mnie w najlepszej wierze: to będzie nowy rozdział do twojej następnej książki, nienawidzę go. Nienawidzę go za to, że się tutaj urodził, że to jest jego język, że nie musiał nic przełamywać żeby się znaleźć tu gdzie jest, że wszystko lub prawie wszystko zostało mu dane i że jego koszty własne są takie niskie. Mogłabym go zniszczyć albo utrwać w dwóch albo trzech rozdziałach. Były to portret mężczyzny, który idzie z komplikacji w komplikację z instynktem, jaki dobrego pływaka broni przed utonięciem. Dodatkowo broni go pozycja i pewne reguły gry, które WASPOwcy wzajemnie szanują.

Przede mną broni go angielski. Arthur jest cudownie szczerzy, rzadką szczerością inteligentnego mężczyzny, któremu na niewielu rzeczach zależy i który z nawyku szanuje pozory. Słuchając go czuję się jak włamywacz, który patrzy na otwarty, pełny sejf i ma

kajdanki na rękach. Każdy ruch będzie niecelowy i każdy ruch będzie bolał. Więc może naprawdę tęsknimy za czymś co nas najpełniej oddziela i odróżnia od innych? Miłość obezwładnia, czyni człowieka słabym, podatnym na impulsy, niezdolnym do walki, dezintegruje osobowość. Nienawiść scala, daje chłodny umysł, dobre pomysły, kompletną odporność na to co myślą inni. Mój stosunek do angielskiego można by teraz ująć w niemal czystą formułę *hate-love relationship*. Ta formuła jest podatna na działanie czasu. Na szczęście.

Kiedy jeszcze byłam w kraju ktoś w warszawskiej *Kulturze* napisał z okazji jakiejś kolejnej literackiej ucieczki, że miejsce polskiego pisarza jest nad Wisłą. To nieprawda. Pisarz naprawdę szuka i odnajduje tylko siebie. Język jest jego narzędziem, niczym więcej. Jeśli nie może go opanować, jeśli to narzędzie stawia mu opór, wówczas pisarz jest zdany na pastwę tęsknoty i bezradnej, niszczącej miłości. Na te wszystkie przeraźliwie smutne fazy przypominania sobie twarzy z dzieciństwa, dialogów z młodości i kłesk wieku dojrzałego. Jeśli jednak potrafi przełamać tę bardzo trudną, ciężką do zgięcia barierę, wówczas nie ma naprawdę znaczenia gdzie mieszka.

Nie wierzę w pisarzy dwujęzycznych. Nie wierzę w pisarzy emigracyjnych (z małymi wyjątkami, które tylko potwierdzają regułę) bo sprzedają doświadczenia, które są dostępne dla małego kręgu czytelników a ich język po paru latach zaczyna bardzo wyraźnie zdradzać ślady oddzielenia od źródła. Staje się anachroniczny, niemodny, niesprawny, staje się niemal jak stempel na paszporcie, stwierdzający niezbitcie kiedy kto opuścił kraj.

Fascynują mnie doświadczenia pisarzy, których osobowość potrafiła uratować przed ślepym zamknięciem w tęsknocie. Nie podnieca mnie specjalnie data publikacji mego doktoratu, chociaż byłoby mi bardzo przyjemnie gdyby CIA albo Rand Corporation skorzystała z pewnych moich sugestii. Tak naprawdę interesuje mnie tylko data publikacji mojej pierwszej angielskiej książki, bo to będzie sprawdzenie moich planów i moich zamierzeń. Dałam sobie rok czasu w Rzymie; tym razem będę ostrożniejsza bo stawka jest znacznie wyższa. To jest stawka o mnie. Więc kiedy pytają mnie w listach dlaczego milczę, dlaczego nie biorę udziału w pseudopolemikach i uszczypliwościach, od których roi się polonijna prasa, odpowiedź może być tylko jedna: jestem zajęta. Bawię się w *gambling*, ostry *gambling*. To jest niebezpieczne i wymaga koncentracji.

Jolanta DWORZECKA

Archiwum polityczne

Tematy do refleksji

Nie wypracowaliśmy norm moralno-etycznych w odniesieniu do współczesnej technologii. Nie wiemy co wolno a czego nie wolno. Ogólnie przyjęto pogląd, że broni atomowych wolno użyć tylko we własnej obronie, w odpowiedzi na niesprokowany nuklearny atak.

Ale czy wolno używać tzw. bomb personalnych, czy wolno ogałacać z liści olbrzymie przestrzenie dżungli, wywoływać sztuczne deszcze i sztuczne powodzie? Czy wolno używać bomb ze stężonej benzyny lub bomb, których odłamki w ciele ofiary są nie do wykrycia nawet promieniami Roentgena? Czy wolno — bez względu na racje polityczne — poddawać mały kraj bombardowaniu lotniczemu o nasileniu nieznanym dotąd w historii wojen?

Powyzsze problemy będą rozstrząsane przez wiele lat po ukończeniu wojny w Wietnamie. Odrzucam teorię maoistów, trockistów, komunistów i pacyfistów i staram się dotrzeć do jądra problemu — tak jak go widzi i odczuwa przeciętny Amerykanin nieogłupiony żadną propagandą.

Zagadnienie nie jest proste i łatwe, ponieważ jest bez precedensu. Zwolennicy wojny w Wietnamie mają za sobą logikę formalną. Sojusznika — zgodnie z literą układu — należy bronić. Fakt, że rząd Sajgoński w opinii wielu jest dyktaturą wojskową w niczym nie zmienia powyższego stanu rzeczy. Nikt nie musi zawierać sojuszków z dyktatorami lecz jeżeli je zawrze winien ich dotrzymać. Traktaty i układy posiadają moc obowiązującą bez względu na ustrój polityczny kontrahentów.

Ludzie nie kwestionują zobowiązań — natomiast znaczny procent Amerykanów kwestionuje metody jakimi owe zobowiązania są realizowane. *Establishment* przecenił „moralną nośność” społeczeństwa amerykańskiego w tej sprawie.

Jeżeli chodzi o mój prywatny pogląd, to ująłbym go następująco. Wojna totalna, która mobilizuje wszystkie bronie i środki

technologiczne w dyspozycji rządu, jest moralnie usprawiedliwiona tylko w obronie na śmierć i życie własnego kraju.

Lecz problematyka moralna tylko o tyle stanowi punkt naszych zainteresowań, o ile wpływa na polityczne postawy ludzi. Wydaje się nie ulegać wątpliwości, że w odczuciu wielu Amerykanów zastosowanie całej współczesnej niszczycielskiej technologii w stosunku do Wietnamu jest moralnie nieusprawiedliwione. Wietnam nie zagraża Stanom Zjednoczonym i nie jest zdolny do odwetowych bombardowań miast amerykańskich.

Wojna w Wietnamie jest fragmentem polityki *containment*. Każdy Amerykanin wie, że polityka *containment* zbankrutowała nie w Wietnamie tylko na Kubie.

Kryzys kubański Chruszczow-Kennedy — do dziś przedstawia się jako triumf Ameryki. Uniknięto wojny światowej lecz to w niczym nie zmienia faktu, że na Kubie amerykańska polityka *containment* poniosła klęskę. Na Kubie, odległej o kilkadziesiąt mil od brzegów Ameryki, kwitnie i bezpiecznie prosperuje rząd komunistyczny — natomiast zwalcza się totalną wojną komunizm w Wietnamie odległym o tysiące mil od Stanów Zjednoczonych.

W jednym z poprzednich artykułów wysunąłem przypuszczenie, że prezydent Nixon powiadomił poufnie Moskwę o zamiarze zaminowania portów północnego Wietnamu. Chodziło w tym wypadku nie tylko o wizytę prezydenta w stolicy sowieckiej. Gdyby Rosjanie w odpowiedzi na blokadę amerykańską nie tylko odminowali porty, lecz przesunęli kilka czy kilkanaście jednostek swojej floty wojennej, których celem byłoby niedopuszczenie do ponownego zaminowania portów wietnamskich — wówczas doszłoby do potencjalnej konfrontacji. Politycy w Waszyngtonie musieli zdawać sobie sprawę, że tego typu konfrontacji nie „sprzedaliby” społeczeństwu amerykańskiemu. Podniosłaby się burza protestów a dziesiątki tysięcy krytyków wietnamskiej polityki Nixona krzyczałoby pełnym głosem, że eskalacja wojny w Wietnamie prowadzi prostą drogą do wojny z Sowietami.

Z drugiej strony brak jakiegokolwiek reakcji Sowietów na zaminowanie portów północno-wietnamskich rzucił głęboki cień na wiarygodność polityki sowieckiej w południowo-wschodniej Azji. Komunistom północno-wietnamskim tłumaczy się od dziesiątków lat, że Sowiety są najpotężniejszym super-mocarstwem świata. Lecz w chwili kryzysu sowieckich mężów stanu nie stać na to by uderzyć pięścią w stół i powiedzieć Amerykanom: Stop! Co warte są wszystkie slogany o walce z imperializmem?

Dzieją się dziwne rzeczy i owa dziwność współczesnej polityki wyływa z kilku źródeł. Na marginesie warto może odnotować, że do współczesnych dziwów należy również upadek dyplomacji dawnego stylu. W czasie wizyty prezydenta Nixona w Moskwie, ambasador amerykański w stolicy Związku Sowieckiego nie ukrywał przed dziennikarzami, że nie ma pojęcia co się dzieje. Politykę zagraniczną w stosunku do obu super-mocarstw komunistycznych prowadzi osobiście prezydent Nixon poprzez zaufanego doradcę dr. Kissingera z bezceremonialnym pominięciem

konwencjonalnego aparatu dyplomatycznego. Kissinger przygotował wizytę Nixona w Pekinie i w Moskwie — przeprowadza poufne rozmowy z komunistami wietnamskimi w Hanoi i w Paryżu — a niedawno znów był w Moskwie, przed spotkaniem w cztery oczy Nixona z Gromyką.

Istnieją więc dwa różne systemy dyplomatyczne — nadzwyczajny dla spraw między super-mocarstwami i konwencjonalny dla spraw drugiej kategorii. Trzy super-mocarstwa — to jest Ameryka, Sowiety i Chiny posiadają w różnych wydaniach ustroj „prezydencki” z silną jednoosobową władzą na czele co niezmiernie ułatwia dyplomację à la Kissinger.

Nim przejdziemy do analizy innych elementów „dziwności” obecnej sytuacji — chciałbym podkreślić ogromny wzrost znaczenia opinii publicznej w każdym równaniu politycznym. Prezydent Nixon wycofał z Wietnamu wojska lądowe pod naciskiem opinii społecznej.

Okupacja sowiecka Pragi w roku 1968 odbyła się niemal bezkrwawo nie tylko dlatego, że Czechosłowacy z premedytacją zrezygnowali z oporu. Stalin na miejscu Breżniewa byłby polecił NKWD zaaranżować nocną strzelaninę i podpalenie kilku czołgów sowieckich co „usprawiedliwiłoby” krwawe represje, masowe aresztowania i zgnicenie siłą „powstania” czechosłowackiego. W ten sposób Sowiety zlikwidowałyby biologicznie cały aktyw „wiosny praskiej”.

Breżniew widziałby również chętnie Dubczeka i towarzyszy na szubienicy, ponieważ likwidacja poprzez szubienicę jest metodą totalną i niezawodną. Lecz prowokacji na tę miarę nie strawiłaby opinia publiczna w wolnym świecie ani — przypuszczać należy — opinia w orbicie sowieckiej.

„Dziwność” obecnego okresu podkreśla również fakt, że „zimna wojna” upadła pozostawiając próżnię. Obecne odprężenie polega na tym, że Zachód jednostronnie się odprężył, podczas gdy blok sowiecki nie zmienił się na jotę.

Politycznie sytuacja wygląda dziwnie ponieważ super-mocarstwa nie mogą znaleźć międzynarodowego systemu, który by stanowił instytucjonalną formę równowagi sił. Dawniej *balance of power* polegała na systemie sojuszów. NATO i Pakt Warszawski są dodatkami do odnośnych super-mocarstw — co nie zmienia faktu, że Sowiety, Chiny i Ameryka przyjęły postawę izolacjonistyczną we wzajemnych stosunkach. Nawet jeżeli Japonii przyznalibyśmy status super-mocarstwa — choć nie posiada dotąd broni atomowych — koncert super-mocarstw nie jest po prostu koncertem.

Istota martwego punktu — jeżeli wolno się tak wyrazić — polega na tym, że super-mocarstwa nie mogą się z sobą sprzymierzać i tym samym nie są zdolne do wytworzenia globalnego systemu równowagi.

Powyższa niemożność powoduje, że Waszyngton stara się być „dobrze” z Moskwą i z Pekinem a Moskwa stara się być „dobrze” z Waszyngtonem i z Tokio. Na szczyblu super-mocarstwowym

wszyscy z wszystkimi starają się być „dobrze”, by nie dopuścić do porozumienia, które zburzyłoby obecną sytuację i przechyliło wagę na korzyść jednej strony.

Gdyby dwa komunistyczne super-mocarstwa były z sobą w ścisłym sojuszu a Stany Zjednoczone i Japonia były również związane ścisłym sojuszem — mielibyśmy na szczeblu polityki globalnej sytuację jasno określoną, choć groźną.

Można przyjąć tezę i bronić jej logicznymi argumentami, że wszystko co się dzieje na arenie polityki super-mocarstwowej jest funkcją rozłamów w świecie komunistycznym, tzn. rozejścia się Chin z Sowietami.

Jeżeli przyjąć, że tak w Moskwie jak i w Pekinie ocenia się, że w dającej przewidzieć się przyszłości nie dojdzie do sojuszu sowiecko-chińskiego — oczywistym nakazem dla Moskwy jest torpedowanie zbliżenia chińsko-amerykańskiego a oczywistym nakazem polityki pekińskiej jest torpedowanie zbliżenia sowiecko-amerykańskiego. W obu wypadkach nie chodzi o Amerykę tylko o stosunek pomiędzy obu komunistycznymi super-mocarstwami. Na to by torpedować stosunki chińsko-amerykańskie Moskwa musi się starać o poprawę swoich własnych stosunków z Waszyngtonem. Analogiczna recepta obowiązuje w Pekinie. Chiny muszą kultywować powiązania z Ameryką, by przeciwdziałać zbliżeniu sowiecko-amerykańskiemu.

Jeżeli powyżej przedstawiona analiza jest słuszna, podróżę prez. Nixona do Pekinu i Moskwy oraz wielka polityka „odprężenia” w Europie — są nie tyle rezultatem dyplomatycznego geniuszu dr. Kissingera, ile pochodną funkcją waśni sowiecko-chińskiej.

Sojusz amerykańsko-chiński — gdyby kiedyś do niego dojdź miało — Kosygin określił słowem „koszmar”.

A co dla nas na Zachodzie byłoby koszmarem? Odpowiedź na to pytanie nie nasuwa trudności. Dla świata zachodniego koszmarem byłaby restauracja sojuszu sowiecko-chińskiego. Choć ów sojusz wydaje się dziś mało prawdopodobny — obiektywnie należy stwierdzić, że nikt inny tylko Sowiety są potencjalnym sojusznikiem Chin. Z cesarsko-kapitalistyczną Japonią czy z imperialistyczno-kapitalistycznymi Stanami Zjednoczonymi Chiny mogą nawiązać stosunki dyplomatyczne i handlowo-gospodarcze lecz z żadną z tych potęg Pekin nie zawrze sojuszu. Normalizacja stosunków dyplomatycznych i gospodarczych jest zgodna z lenińską zasadą pokojowej koegzystencji państw o różnych ustrojach. Gdyby Sowiety podjęły wojnę przeciwko Chinom — Pekin przyjąłby pomoc materiałową od Ameryki lecz i wówczas nie zawarłby ze Stanami Zjednoczonymi sojuszu.

W dniu 3 października br. chiński wiceminister Spraw Zagranicznych Cziao Kuan-hua — wygłosił w ONZ programowe polityczne przemówienie. Owo przemówienie sprawiło zawód tym obserwatorom politycznym, którzy liczyli, że „odwilż” amerykańsko-chińska znajdzie odzwierciedlenie w linii polityczno-ideologicznej Pekinu. Tymczasem Cziao w równych proporcjach rzucił

gromy potępienia zarówno na imperialistów amerykańskich jak i soc-imperialistów sowieckich. Chiny, wedle słów wiceministra, są championem i rzecznikiem „Trzeciego Świata”, który walczy o wolność i samostanowienie przeciwko zaborczym imperialistom.

Jeżeli w analizie politycznej można użyć tego typu określenia — to powiedziałbym, że Chiny są bardziej szczerze komunistyczne niż Sowiety. W Chinach nie ma ani cerkwi, ani samizdatów ani Sołżenicynów. Wiele różnorodnych przyczyn — których wyliczenie przekracza zakres tego artykułu — spowodowało, że komunizm w wersji Mao Tse-tunga stał się w Chinach niewątpliwym sukcesem. Z politycznego punktu widzenia najbardziej charakterystyczną różnicą jest fakt, że komunizm Chin zjednoczył a Rosję podzielił. Integracja narodowościowa poprzez komunizm w Sowietach całkowicie zawiodła. Ruchy narodowe są silniejsze niż kiedykolwiek w przeszłości. To samo dotyczy państw satellickich. Patrząc na skromne postępy osiągnięte w EWG należy stwierdzić, że kapitalizm wykazuje większą zdolność do integrowania narodów niż rzekomo internacjonalny komunizm.

Przyjmuje się jako pewnik, że jeżeli kiedyś miałyby dojdź do wyrównania stosunków pomiędzy Sowietami a Chinami to owo wyrównanie musiałyby się wyrazić większą lub mniejszą kapitulacją Chin. Do tej pory nikt nie wysunął odwrotnej możliwości.

Nie brak specjalistów, którzy twierdzą, że Chiny w okresie następnego półwiecza staną się nie super-mocarstwem lecz super-super-mocarstwem. Gdyby tak się stało, ideologiczny autorytet Pekinu wzrósłby proporcjonalnie. Wówczas nie Moskwa lecz Pekin stałby się Rzymem komunizmu. W takiej sytuacji wyrównanie stosunków pomiędzy Chinami a Rosją musiałyby się odbyć na warunkach chińskich.

Nie ulega wątpliwości, że w obu komunistycznych super-mocarstwach ideolodzy zdają sobie sprawę, że obecny rozłam paraliżuje światowy ruch komunistyczny. Tak Rosjanie jak i Chińczycy wiedzą doskonale, że tylko zjednoczony ruch komunistyczny stanowiłby globalną siłę. Nie jedno stanowi istotę sporu — tylko warunki na jakich ową jedność można by osiągnąć.

„Odprężając” nasze stosunki tak z Chinami jak i z Rosją pozwalamy obu komunistycznym gigantom zyskiwać na czasie. Lecz w gruncie rzeczy odprężenie działa w znacznie większym stopniu na korzyść Rosji niż Chin. Ameryka jest bliżej z Sowietami niż z Chinami i współpraca na osi Waszyngton-Moskwa jest wysoko zaawansowana.

Nie jestem przeciwnikiem żadnej negocjacji i dlatego nie jestem również przeciwnikiem proponowanej Konferencji Europejskiej Współpracy i Bezpieczeństwa. Wydaje mi się natomiast, że ta konferencja nie powinna przeistoczyć się w jeszcze jedną zmarnowaną okazję. Zmarnowanych okazji, które charakteryzują politykę amerykańską w stosunku do Sowietów — było stanowczo zbyt wiele.

Fundamentem proponowanej konferencji jest zgodna opinia partnerów w stosunku do *status quo* w Europie. Uznanie sfer wpływów i imperialistycznych zdobyczy stanowi nową formę legitymizmu.

Wizyta prezydenta Nixona w Warszawie ubiegłego lata — choć opiewana w prasie emigracyjnej jako triumf Polski zawsze wiernej — była w gruncie rzeczy potwierdzeniem zasady legitymizmu. Prezydent USA swą obecnością w stolicy Polski podkreślił legalizm obecnego reżymu i legitymizm Moskwy, od którego ów reżym jest uzależniony.

Legitymizm w XIX wieku stanowił obronę praw dynastycznych. Legitymizm w drugiej połowie XX wieku stanowi obronę praw super-mocarstw.

Można bronić małych i średnich państw przed agresją, można bronić słusznych granic przed agresją — lecz obrona *status quo* tylko dlatego, że jest *status quo*, nie pokrywa się z sensem. W polityce nie istnieje *status quo*. Brakuje mi jeszcze kilku lat do siedemdziesiątki a jednak w okresie mojego życia *status quo* w Europie zmieniło się kilkakrotnie. Nie ma żadnych podstaw do twierdzenia, że obecny *status quo* będzie trwalszy niż uprzednie schematy europejskie.

Pytanie nie dotyczy zmienności *status quo* tylko kwestii na czyją korzyść się zmieni?

Status quo europejski, który nie opiera się na równowadze sił — lecz przeciwnie, zbudowany jest na znacznej przewadze jednego z mocarstw, nie może trwać. Przewaga wcześniej lub później zostaje zainkasowana — co oczywiście pociąga za sobą zmianę *status quo*. To są żelazne prawa *power politics*, od których nie ma wyjątku.

Rosja jest w złej sytuacji zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej. W Sowietach urodzaj był fatalny a Ameryka sprzedała Rosjanom 10 milionów ton zboża nie żądając niczego w zamian. Chiny przełamały polityczną blokadę sowiecką i unormowały swe stosunki z Ameryką, z Japonią i z EWG. Znaczenie i wpływ Chin na arenie światowej stale wzrasta — oczywiście kosztem Sowietów.

Nacisk Sowietów na Waszyngton i państwa europejskie w sprawie upragnionej przez Moskwę Konferencji Współpracy i Bezpieczeństwa jest dowodem słabości i poczucia zagrożenia ze strony Chin. Sowietom jest spieszo „uporządkować” kontynent europejski by mieć wolną rękę na Dalekim Wschodzie.

W nawiasach należy odnotować, że prasa brytyjska doniosła w dniu 25 października br., że Pekin w oficjalnym komunikacie ocenił bardzo pozytywnie konferencje na szczycie 9-ciu państw EWG. Natomiast prasa sowiecka potępiła konferencję jako przejaw groźnego pan-europeizmu, który jest nie do pogodzenia z polityką „odprężenia”.

Powyższa wiadomość potwierdza przypuszczenie wyrażone w moim poprzednim artykule, że anty-kapitulacyjna EWG może liczyć na poparcie Chin.

Od wielu lat Stany Zjednoczone i Zachodnia Europa nie miały takich możliwości jak obecnie — wynegocjowania od Sowietów prawdziwych ustępstw.

W artykule zamieszczonym w *Kulturze* (Nr 9/300) omówiłem na podstawie źródłowych danych wzajemny układ sił militarnych NATO i Paktu Warszawskiego. Lecz na konferencji należałoby wysunąć nie tylko propozycje dotyczące sił zbrojnych lecz również propozycje polityczne.

Byłoby nierealne żądać od Sowietów, by przywróciły wolność państwom satelickim. Byłoby natomiast realne domagać się, by rząd sowiecki zastosował się do „Deklaracji Zasad”, podpisanej w Moskwie przez Nixona i Breżniewa w maju br. Cytowana deklaracja zasad w artykule 11-tym anuluje „doktrynę Breżniewa” (patrz: *Kultura*, Nr 7/298-8/299, str. 136).

Wysunięte na konferencji europejskiej żądanie, by Sowiety publicznie zobowiązały się nie interferować politycznie lub zbrojnie w wewnętrzne sprawy państw wschodnio-europejskich — nie byłoby bezczelnością tylko uprzejmą prośbą o potwierdzenie przez Moskwę już uprzednio powziętego zobowiązania.

Państwa zachodnio-europejskie wraz z Ameryką powinny również żądać od Sowietów by jako stały członek Rady Bezpieczeństwa OZN — przestrzegaly postanowień Deklaracji Praw Człowieka. Należałoby podkreślić, że nikt nie ma prawa mieszać się w sprawy ustroju państwowego Związku Sowieckiego czy jakiegokolwiek innego państwa. Jednak zbrodnie przeciwko ludzkości popełniane przez organy państwowe czy przez tajne organizacje polityczne — winny być sprawą i troską wszystkich państw bez względu na ustrój. Zamykanie pisarzy opozycyjnych w szpitalach dla umysłowo chorych jest taką samą zbrodnią przeciwko ludzkości jak wysyłanie przesyłek pocztowych z bombami do politycznie niewygodnych osób.

Tzw. realisci powiedzą, że gdy wysunie się tego typu żądania — delegacja sowiecka opuści salę obrad i konferencja europejska zostanie zerwana.

Gdyby nawet tak się stało — poszkodowanymi nie będziemy my, tylko Sowiety. Poza tym można uznać za pewne, że Moskwa nie zerwie konferencji na której przede wszystkim zależy Sowietom a nie Zachodowi.

Zimna wojna skończyła się lecz równocześnie Rosja przestała być dla ludzi Zachodu „zagadką owiniętą w tajemnicę”. Obserwujemy proces, który można by nazwać progresywną i powszechną kompromitacją Sowietów.

We wczesnych okresach „zimnej wojny” przeciętny człowiek nie dowierzał propagandzie a lewicowi intelektualiści sympatyzowali z Sowietami. „Zimną wojnę” uważano za polowanie na czarownice, organizowane przez reakcjonistów.

Dziś sytuacja wygląda zgoła inaczej. Intelektualiści odeszli od komunizmu i postawy pro-sowieckiej, w czym nie małą rolę odegrali uczeni i pisarze, którzy po pogromach w Sowietach, w Czechosłowacji i w Polsce zjawili się na Zachodzie.

Wreszcie punkt niezmierniej wagi. Sowiety straciły poparcie Żydów. Antagonizowanie opinii żydowskiej jest jednym z największych błędów jakie polityk może popełnić. Bez Żydów można ufundować partię faszystowską, ale ruch lewicowy z definicji nie może być antysemicki. Powiewanie czerwonym sztandarem i uprawianie antysemityzmu jest absurdem, na który nawet ojczyzna absurdu — tj. Sowiety — na dłuższą metę nie będą ameryki sobie pozwolić.

O Polakach w Związku Sowieckim, którzy chcieli wrócić do Kraju czy wyjechać na Zachód — głucho. Natomiast Żydzi w Sowietach stanowią dziś problem międzynarodowy. W dniu w którym piszę te słowa odbyła się jedna z licznych demonstracji pod ambasadą sowiecką. Brali w niej udział nie tylko Żydzi lecz i Anglicy i nie-Żydówka lecz rodowita Angielka doręczyła protestacyjny memoriał przedstawicielowi ambasady sowieckiej.

Cytuję powyższe szczegóły ponieważ Żydzi wywierają znaczny wpływ na opinię publiczną na Zachodzie z Ameryką włącznie. Pogląd na Rosję uległ zdumiewającemu przeobrażeniu. Pro-sowieckość jest równoznaczna z antysemityzmem, a antysemityzm zawsze był i jest nadal symbolem, czarnej, barbarzyńskiej reakcji.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że dziś ludzie Zachodu nie mają — jak dawniej — złudzeń w sprawie Sowietów i program twardych negocjacji z Moskwą miałyby zapewnić poparcie społeczeństw zachodnio-europejskich. Niestety zawodowi politycy europejscy reprezentują w znacznym procencie pogląd, że skoro Ameryka nie czuje się zagrożona, nie ma powodu by EWG czuła się zagrożona. EWG sąsiaduje bezpośrednio z imperium sowieckim i dla zachodnich Europejczyków Rosja jest czymś innym i czymś więcej niż dla Ameryki.

Nie rozumiemy również, że stosunek Ameryki do Europy uległ zmianie. Dziś Ameryka bardziej jest zainteresowana Pacyfikiem niż Atlantykem — przywiązuje większą wagę do stosunków z Japonią niż z Francją, a Chiny przedstawiają dla Waszyngtonu bardziej interesujący problem niż Anglia.

Ameryka wolno lecz systematycznie oddala się od Europy — co obywateli EWG nie martwi, ponieważ nie pragną kurateli amerykańskiej i domagają się statusu równorzędnego partnera.

Wśród narodów wysoko uprzemysłowionych panuje silne zakorzeniony pogląd, że bezpieczeństwo to jest kapitał. Rosnąca produkcja przemysłowa, kwitnący handel, zapasy złota i dewiz — oto niewzruszone fundamenty potęgi. Kapitałiści uważają, że kapitalizm jest lekarstwem na wszystko. Żadne nieszczęście nie może spaść na ojczyznę wielkich koncernów przemysłowych i gigantycznych przedsiębiorstw, ponieważ Pan Bóg jest po stronie kapitału. Czyż Napoleon „bóg wojny tysiącem dział zbrojny” nie poniósł sromotnej klęski z rąk narodu, który określał pogardliwie „narodem sklepikarzy”?

Teoria była prosta. Zakładano, że jeżeli dojdzie do wojny — kapitał i rozbudowany przemysł umożliwią szybkie uzbrojenie. Już w czasie drugiej wojny światowej powyższa teoria przyniosła

katastrofalne wyniki. Atlantyk przez kilka lat był sceną rzezi, ponieważ Anglia nie posiadała dostatecznej floty podwodnej by dać ochronę konwojom morskim, zatapianym masowo i bezkarnie przez niemieckie okręty podwodne. Jak obecnie ujawniono Anglia, nie tylko liczyła się z możliwością inwazji lecz przygotowywała i trenowała armię podziemną, która miała działać na terenach Wysp Brytyjskich po zajęciu ich przez Niemców.

Ameryka w chwili Pearl Harbour miała wprawdzie tylko 600 bojowych pilotów lecz Stany Zjednoczone od Japonii oddziela Pacyfik a od Niemiec Atlantyk.

Na szczęście nie doszło do inwazji Anglii i „naród sklepikarzy” w oparciu o swój potężny przemysł dozbroił się i jeszcze raz wraz z aliantami wygrał wojnę.

Wydawałoby się, że potencjalna wojna nuklearna zniweczyła tradycyjną teorię o dozbrojeniu. Państwo niedostatecznie uzbrojone ryzykuje dziś utratę swego potencjału przemysłowego dosłownie w pierwszych dniach wojny. W ten sprawie nikt nie ma wątpliwości. Wysłunięto więc inną teorię. Nuklearny kataklizm byłby czymś tak koszmarnym, że nikt nie odważy się wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Poza tym bronie nuklearne posiadają same wady: 1) są niezmiernie kosztowne, 2) przedstawiają kapitałową inwestycję, która nie przynosi żadnych zysków, 3) starzej się tracąc swoją wartość i użyteczność, 4) reprezentują setki milionów funtów czy dolarów wyrzucanych za okno ponieważ do wojny nuklearnej nigdy nie dojdzie.

A jednak...

Lecz w tym miejscu konieczny jest mały margines. Na ogół intelektualści lewicowi są przeciwnikami zbrojeń atomowych. Ja również byłbym przeciwnikiem nie tylko zbrojeń atomowych lecz i kosztownych elektronicznych systemów alarmowych w bankach i w fabrykach, gdyby nie było na tej ziemi zawodowych rabusiów i bandytów.

Niektórzy Czytelnicy dopatrują się sprzeczności w moim ewolucyjnym poglądzie na Rosję i równoczesnym nieubłaganym stosunku do Sowietów. Sprzeczności nie ma żadnej bo postęp, ewolucja czy rewolucja w Rosji są zależne od osłabienia władzy sowieckiej. Każdy sukces polityki sowieckiej nie tylko bezpośrednio zagraża Zachodniej Europie lecz również oddala perspektywy jakichkolwiek przemian wewnątrz Rosji.

Lecz wróćmy do tematu. W maju br., w czasie wizyty prezydenta Nixona w Moskwie, niemal codziennie podpisywano jakiś układ czy deklarację. Łatwo było przeoczyć krótkie doniesienie, że przywódcy sowieccy uważają, że ograniczenia zbrojeń atomowych (SALT) wiąże nie tylko Stany Zjednoczone lecz również i ich sojuszników, tj. NATO. Jak wiemy SALT dotyczy ilościowego a nie jakościowego ograniczenia zbrojeń atomowych. Istniejące typy broni atomowych można — w zgodzie z literą układu — ulepszać w nieskończoność.

Wyżej zacytowana interpretacja sowiecka stanowi poważne zagrożenie dla Europy Zachodniej, ponieważ odstraszak atomo-

wy brytyjski i francuski są miniaturkami w porównaniu z nuklearną potęgą Sowietów. Zamrożenie owego odstraszaaka w jego obecnej, początkowej postaci przekreślałoby wszelkie nadzieje przekształcenia EWG w samodzielną jednostkę polityczno-gospodarczą.

Brytyjski minister obrony Lord Carrington w swym przemówieniu w dniu 13 października br. rozpatrywał możliwość powstania w przyszłości europejskich broni nuklearnych. Pewni dziennikarze wysunęli pogląd — w mojej opinii błędny — że zgoda Wielkiej Brytanii na włączenie swych nuklearnych sił zbrojnych do wspólnego odstraszaaka atomowego EWG była jednym z warunków przyjęcia Wielkiej Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

Problem jest niewątpliwie skomplikowany. Sowiety na konferencji europejskiej będą uporczywie głosiły, że NATO w sprawie zbrojeń atomowych związane jest postanowieniami układu SALT. Reprezentanci Europy Zachodniej winni odrzucić interpretację sowiecką jako bezpodstawną. Amerykanie nie mogą na mocy jednostronnej decyzji podpisywać układu, który wydatnie osłabiałby NATO i wiązał ręce EWG.

Dругa komplikacja dotyczy Niemiec. Na cynglu europejskiego odstraszaaka atomowego nie mógłby spoczywać palec Niemiec. Bronie nuklearne EWG są tylko do pomyślenia jako zespołowa produkcja i arsenał brytyjsko-francuski. Lecz to wszystko jest muzyką przyszłości, ponieważ Francja podobnie jak i Anglia uważa że ich potencjały atomowe służyć będą wyłącznie do obrony terytoriów ich własnych krajów. Musiałby powstać ponadnarodowy rząd EWG, na rzecz którego Francja i Anglia mogłaby scedować prerogatywę finalnej decyzji w sprawie użycia potencjałów atomowych w obronie całej Europy Zachodniej.

EWG posiada technologiczny *know how* i środki finansowe, by przekształcić się w potęgę światową. Lecz czy „ojczyzna ojczyzn” zdoła przewyciężyć nacjonalizmy ojczyzn i zdobędzie się na wybieralny parlament i ponadnarodowy rząd — pozostaje sprawą dowolnych domysłów.

Chciałbym zakończyć niniejszy artykuł następującą uwagą. Wystarczy spojrzeć na mapę i porównać wielokrotnie publikowane dane cyfrowe potencjałów wojennych Sowietów i NATO by zdać sobie sprawę, że Europa Zachodnia jest zagrożona. Tego faktu nie zmienia żadne „odprężenie” ani żadna konferencja. Jeżeli EWG pragnie być niezależne zarówno od Ameryki jak i od Sowietów — musi nie tyle prześcignąć Amerykę, ile doścignąć Sowiety ponieważ w epoce nuklearno-technologicznej teoria dozbrojenia w czasie wojny utraciła w Europie Zachodniej całkowicie swą zastosowalność.

Potrzebna nam jest zachodnio-europejska *Realpolitik* a nie *Ostpolitik*. Ta ostatnia bowiem toruje drogę do ustępstw ze strony Zachodu a nie do pożądaných przemian w bloku wchodnim. Jeżeli Paryż, Londyn i Bonn nie zechcą przeciwstawić się twardo hegemonicznym zamierzeniom Sowietów — trudno ocze-

kiwać, że Praga czy Warszawa podejmą próby usamodzielnienia się od Moskwy.

Juliusz MIEROSZEWSKI

P.S. Niezawsze przewidywania publicystów sprawdzają się. Lecz jeżeli tak się zdarzy, warto ów fakt odnotować. W moim artykule (*Kultura* Nr 9/300) wyraziłem przypuszczenie, że rozmowy na temat „zbalansowanej redukcji sił zbrojnych” — tzw. MBFR — ograniczą się do newralgicznego środkowego odcinka frontu. Wyraziłem również opinię, że największym zagrożeniem dla tych rozmów jest bilateralizm a w szczególności nacisk Waszyngtonu w niepożądanym kierunku.

Niestety moje przewidywania sprawdziły się w stu procentach. *The Guardian* z 21 października br., doniósł, że Stany Zjednoczone usiłują przekonać Norwegię, Turcję i Włochy, że MBFR ich nie dotyczy, ponieważ ewentualne redukcje sił zbrojnych obejmą tylko Europę Środkową. Waszyngton nalega, by Norwegia i Turcja w ogóle nie brały udziału w tych rozmowach, ponieważ ich obecność i postulaty mogą utrudnić osiągnięcie porozumienia z Sowietami.

Zbędne dodawać, że tak Norwegia jak i Turcja posiadają wspólną granicę z Sowietami i rozmowy pomiędzy NATO a państwami Paktu Warszawskiego winny w pierwszym rzędzie dotyczyć obu tych krajów. Lecz Amerykanom wyraźnie nie zależy na umocnieniu północnego i południowego odcinka frontu NATO — tylko zależy im na „odprężeniu” na środkowym odcinku frontu, co umożliwiłoby wycofanie lub znaczną redukcję wojsk amerykańskich w Europie.

J. M.

Widziane z Brukseli

GORZKIE ZBOŻE

opowieść dramatyczna w sześciu rozdziałach, z dwoma mottami, dwoma Jamesami Bondami i jednym morałem.

Motto nr 1: „Rolnictwo sowieckie odniosło nowe wielkie zwycięstwo. W Kazachstanie zebrano w tym roku ponad 27 milionów ton zboża, o 3 miliony więcej niż przewidywał plan na rok 1975, ostatni rok pięciolatki... Godna podkreślenia jest dalekowzroczność polityki rolnej państwa... Sukces Kazachstanu jest tym bardziej znamieny, że od-

niesiony został w jubileuszowym roku 50-lecia ZSSR... Zwycięstwo Kazachstanu jest przejawem wyższości socjalistycznego systemu kołchozowo-sowchozowego oraz nowego typu stosunków między państwem socjalistycznym a kołchozami i narodowościami ZSSR...". Towarzysz M. Maksimow, komentator agencji „Nowosti”, 20 października 1972 r.

Motto nr 2: „Całe napięcie sowieckiego bilansu zbożowego ujawniło się w czasie ubiegłego weekend'u, kiedy minister Rolnictwa Mackiewicz potwierdził, iż rolnictwo sowieckie przeszło przez najgorszy rok bieżącego stulecia. Wszyscy obserwatorzy są zgodni, że triumwirat Breżniewa znalazł się w obliczu najpoważniejszego kryzysu żywnościowego od chwili dojścia do władzy...". Pan M. Simons, komentator pisma *Financial Times* z 6 listopada 1972 r.

Dnia 29 czerwca 1972 roku do hotelu „Madison” w Waszyngtonie zjechały dwie delegacje z ZSSR. Pierwsza była witana oficjalnie i serdecznie. To p. Mikołaj Patoliczew przybył aby podpisać umowę o zakupie w USA zboża za 750 milionów dolarów w ciągu trzech lat i o amerykańskim kredycie na ten cel w wysokości 500 milionów dolarów. Podano *refreshment'y*, i po krótkim wypoczynku p. Patoliczew i towarzyszące mu osoby udali się na proszony *diner*.

Rozdział pierwszy czyli kto to jest p. Biełousow

Nikt nie zwrócił uwagi na drugą delegację, choć zatrzymała się ona w tym samym hotelu i też — ale już na koszt własny — udała się na *diner*. Przewodniczył jej niejaki Biełousow, także Mikołaj, i także w sprawie zboża. Choć w Moskwie p. Biełousow jest dyrektorem przedsiębiorstwa „Exportchleb”, to tym razem, jak się później okazało, przyjechał aby chleb importować. Jak już po wszystkim oświadczył pewien fachman: „Biełousow znał amerykański rynek zbożowy lepiej od wszystkich miejscowych ekspertów”. Ten spóźniony refleks kosztował podatników amerykańskich bardzo dużo dolarów. A oto dlaczego.

Podczas gdy p. Patoliczew odbywał oficjalne ceregiele aby sfinalizować dawno załatwioną już transakcję, ścisłał dłońe i pozował fotografom, p. Biełousow przeważnie telefonował... Pierwszy dzwonek odezwał się w stylowym francuskim pałacyku w Minneapolis, gdzie ma swoją siedzibę Cargill Inc. Drugi dzwonek — w drapaczu chmur w Manhatanie, gdzie mieszczą się biura Continental Inc. Trzeci — w argentyńskiej firmie Bunge Corp., czwarty w Cook Inc., piąty — w oddziale francuskiej Dreyfuss Comp. Pięć wymienionych firm stanowiło śmietankę a zarazem dyktaturę amerykańskiego rynku zbożowego. Nie trzeba dodawać, że żaden z rozmówców p. Biełousowa nie wiedział nic, albo w każdym razie nic konkretnego, o konkurentach. P. Biełousow nie musiał nawet prosić o dyskrecję. Handel zbożem należy w USA do najbardziej utajonych, przedsiębiorstwa zbożowe nie są notowane na giełdzie, konkurencja jest niestęcha-

nie ostra, sukces zależy nieraz od drugorzędnych pozornie detali, więc niewiele wiadomo o wielkości i rodzaju planowanych transakcji.

Od razu po telefonach rozpoczęły się rokowania. 1 lipca zjawił się w „Madison Hotel” p. Saunders, dyrektor handlowy Cargill'a. Rosjanie interesowali się przede wszystkim kukurydzą i jęczmieniem, natomiast obojętnie zbywali wszelkie aluzje do pszenicy. P. Saunders zaprosił p. Biełousowa na obiad, po czym zapowiedziawszy ofertę na kukurydżę i jęczmień, pojechał do domu. „Zadzwońmy do pana” — powiedzieli Rosjanie.

Następnego dnia, a była to niedziela, przysłała kolej na panów z Continental. Ci mieli od razu przewagę, bo dysponowali niejakim Grigorim Ziw'em, specjalistą amerykańskim, ale Rosjaninem z pochodzenia. Goście odbyli mały spacer po Waszyngtonie, a przypadkiem spotkali niejakiego Clarence Palmy, od niedawna wiceprezesa Continental. Od niedawna, albowiem jeszcze 8 czerwca Palmy był doradcą... ministra rolnictwa USA, i w tym charakterze przewodniczył nawet delegacji amerykańskiej na rokowania w sprawie... kredytów zbożowych dla ZSSR. Ponieważ Palmy i Ziw to starzy znajomi, więc ten pierwszy ochoczo pomagał temu drugiemu w oprowadzaniu panów Biełousowa, Kalitenko i Goldobenko. P. Palmy skorzystał również z okazji aby pokazać gościom piękny dom, jaki niedawno zakupił, korzystając z poręczenia, czysty przypadek... p. Fribourga, prezesa Continental.

Po pracowicie spędzonej niedzieli całe towarzystwo przeniosło się w poniedziałek 3 lipca do Nowego Jorku. Do Hiltona. Tam poszło szybko i w dwa dni później podpisany został największy jednorazowy kontrakt w historii światowego handlu zbożowego. ZSSR zakupił poprzez Continental cztery miliony ton pszenicy i 4,5 miliona ton paszy. P. Fribourg z p. Biełousowem opili to jak trzeba, wódką zbożową, i obiecali sobie dotrzymać słodkiej tajemnicy jak tylko długo się da.

Kiedy więc 6 i 7 lipca do Hiltona przybyli, kolejno naturalnie, panowie z firm Dreyfuss i Bunge, uprzejmościom nie było końca, a Rosjanie udawali, że o innych kontrahentach nawet nie myśleli. To samo dotyczyło p. Saunders'a z Cargill. 10 lipca przybył on do Hiltona, aby zgodnie ze wstępną wymianą idei, złożyć ofertę na sprzedaż kukurydzy i jęczmienia. Jakież było jego zdumienie, kiedy po wstępnej wymianie uścisków, Rosjanie zapytali wprost: „Panie, a pszenica po ile?”.

Następnego ranka, a jest już 11 lipca, kolejnych kilka wódek uczciło skromny milionik ton pszenicy sprzedany przez p. Saunders'a p. Biełousowowi. Ale to nie był koniec. Tego samego dnia p. B. zakupił kolejny milion u Continentala, jeszcze 750.000 u Dreyfussa i 500.000 u Cook'a. 12 lipca Rosjanie wyskoczyli do Kanady, tam nabyli milion ton pszenicy, po czym wrócili do Nowego Jorku. 19 lipca Cook dorzucił jeszcze 100.000, a pewien nowoprzybyły, szwajcarski Garnac — 200.000. Skromnie to, ale zawsze.

Rozdział drugi — czyli co to jest buszel i ile to kosztuje

21 lipca zmęczeni Rosjanie wrócili do Moskwy. W ciągu kilku dni zakupili za gotówkę 7,5 miliona ton pszenicy i to w takiej tajemnicy, że poza Biełousowem nikt nie wiedział dokładnie, a nawet w przybliżeniu o jakie i jak wielkie transakcje chodzi. Procedura była tak dyskretna, że kiedy Biełousow dumnie meldował partii i rządowi, iż pozbawił imperialistyczne USA jednej szóstej ich rocznego zbioru pszenicy, amerykański minister rolnictwa p. Butz (wymawiać — Bac), tłumaczył już lekko podnieconym farmerom, że Rosjanie kupują głównie kukurudzę i nie trzeba się tym przejmować.

Z tej kukurydżowej obsesji nie potrafiły p. Butza wyprowadzić wstępne galopy przedsiębiorstw zbożowych w sprawie tzw. subwencji pszenicznej. Handel zbożem jest w USA nieco skomplikowany. Cena światowa pszenicy jest bowiem często niższa od cen jakie, z uwagi na wysokie koszty produkcji w USA, płacić trzeba farmerom. Otóż w takim wypadku, w imię pozbycia się kosztownych i kłopotliwych nadwyżek, rząd pokrywa kilkucentową na ogół różnicę i wypłaca ją przedsiębiorstwom skupującym w USA zboże dla zagranicznych klientów.

Tak też było i tym razem. W chwili przyjazdu Biełousowa kupcy zbożowi otrzymali zezwolenie na sprzedaż pszenicy po 1,63 dol. za buszel (w jednej tonie jest 36,74 buszla). Ponieważ jednak transakcje zawierane były w największej tajemnicy na ogromnym obszarze Stanów Zjednoczonych, więc też amerykańskim agentom p. Biełousowa udało się kupić duże ilości zboża od niezorientowanych farmerów po cenie nawet niższej od światowej, a w każdym razie niższej od spodziewanej dotacji.

Kiedy więc Rosjanie niespodziewanie powrócili do Nowego Jorku mogli spokojnie podjąć przerwany na chwilę proceder. Z Hiltona poszły nowe dyskretnie wici i już 1 sierpnia zjawili się stary znajomy z Cargill'u aby sprzedać kolejny milion, potem Dreyfuss — następne 1,5 miliona ton, a p. Cook dorzucił tylko 300.000. Streszczając — w ciągu trzech sierpniowych dni, Rosjanie zakupili dalszych prawie cztery miliony ton amerykańskiej pszenicy, co dawało razem ok. 11 milionów ton i stanowiło już nie jedną szóstą, a jedną czwartą plonu wsiółku pocziwego farmera z USA. I wszystko po 1,63 za buszel.

Rozdział trzeci czyli kto to jest p. Smith

I tak by to trwało gdyby nie niejaki Smith. Ujawnił się on jeszcze w połowie lipca kiedy to pewien tajemniczy głos o czystym angielskim akcencie odezwał się w telefonie redakcji poważnego pisma branżowego *Baking News* w Kansas City. „Panowie, odstępuję wam gratis prawdziwą bombę: Rosjanie w tajemnicy skupują ogromne ilości pszenicy. Na początek pięć

milionów ton, farmerów robią na szaro”. Redaktor Sosland, człowiek poważny, popukał się w czoło, powiedział „wariat” i odłożył słuchawkę. Smith nie dawał jednak za wygraną, dzwonił codziennie z nowym alarmem, aż przedstawił się jako korespondent *Financial Times* z Londynu. Wtedy p. Sosland postanowił sprawdzić. Zadzwonił do Londynu, gdzie jednak o korespondencie nazwiskiem Smith nikt nie słyszał.

Ale w *Times*'ie znali za to niejakiego Wojwosky'ego, który przedstawiał się jako ekspert zbożowy z NRD. Otóż ten Wojwosky, bardzo, jak mówił, zainteresowany rosyjskimi zakupami zboża, przekazywał, także bezinteresownie, *Times*'owi takie same informacje co p. Smith w USA. Uprzedził nawet, że *Baking News* z Kansas City już wie o tych zakupach, i że byłby wstyd gdyby *Times* dał się wyprzedzić przez byle piśmko z amerykańskiej prowincji.

Wtedy Sosland sprawdził gdzie trzeba. Wszystko się zgadzało. Rosjanie rzeczywiście byli z powrotem w Nowym Jorku, a zakupy osiągnęły naprawdę niebywałe rozmiary.

2 sierpnia bomba podłożona przez Smitha-Wojwosky'ego nareszcie wybuchła. *Baking News* wrzasnął: „Rosjanie kupują, farmerzy płacą”. W ciągu jednego dnia cena buszla wzrosła o 8 centów, w ciągu tygodnia przekroczyła 2 dolary. Wtedy obudziło się Ministerstwo Rolnictwa w Waszyngtonie. 2 dolary za buszel oznacza bowiem, że dopłata sięga 40 centów, a to dużo, za dużo. Rząd USA nie jest bowiem aż tak bogaty. Departament Rolnictwa ogłosił wobec tego, że dosyć tego dobrego, że idzie ostatni tydzień subwencji. Ten tydzień był nie tylko ostatni, ale i czarny. Jak można się było bowiem spodziewać, to właśnie w ciągu tego tygodnia, kiedy dopłaty wynosiły 47 centów, kupcy zbożowi kupili dla Rosjan (albo powiedzieli, że kupili) ogromne wprost ilości buszli. Drobiazg, rzeczywiście, buszli tych było... 282 miliony, a dopłata do nich wyniosła, jak łatwo obliczyć, ni mniej ni więcej tylko... 128 milionów dolarów. Kombinacja prosta. Tylko pośrednicy wiedzieli o rosyjskim apetycie. Skupywali więc po cichu, nie wzbudzając paniki, po niskiej cenie. Kiedy oficjalna cena poszła bardzo w górę, zgłosili się po subwencję. Reszta jest znana.

Rozdział czwarty czyli ze Lwowa do Waszyngtonu

Najdziwniejsze zaś, że rosyjska żądza amerykańskiej pszenicy wcale nie zaskoczyła Departamentu Rolnictwa w Waszyngtonie. Jeszcze bowiem przed wizytą p. Biełousowa, attaché rolny ambasady USA w Moskwie nadesłał poważne opracowanie dające zbliżoną do rzeczywistości prognozę katastrofalnych zbiorów w ZSSR. Wynikało z niej, że deficyt zbożowy w ZSSR wyniesie w 1972 roku około 30 milionów ton, że jest to „rok stulecia”, i że katastrofa klimatyczna spotęgowana jest przez biurokratyczną niemożność sprostania sytuacjom kryzysowym.

Nawet dla p. Butz'a powinno być jasne, że:

Po pierwsze, a jest to wniosek ekonomiczny, w warunkach i tak stale napiętego bilansu żywnościowego, tak ogromny deficyt grozi poważnym pogorszeniem zaopatrzenia rynkowego, wzrostem cen żywności, stordedowaniem hodowli, i planu gospodarczego w ogóle.

I po drugie, a jest to wniosek polityczny, że Kreml zrobi wszystko aby uniknąć katastrofy, bo kryzys gospodarczy (patrz Chruszczow w roku 1964) mógłby zakończyć się zmianą ekipy, a Breżniew tego bardzo nie lubi. Że więc, Rosjanie muszą gdzieś to zboże znaleźć i że aby je kupić od zaraz skłonni będą zapłacić wysoką cenę w dewizach zachodnich i w zasadach politycznych.

Ale, z przyczyn nam obcych i niezrozumiałych, amerykańskie Ministerstwo Rolnictwa uznało dokument za tajny i ukryło go boko w kasie pancernej.

W efekcie, niewielka grupa sowieckich specjalistów potrafiła w największej tajemnicy zakupić jedną czwartą rocznej produkcji amerykańskiej pszenicy, rozbijając system dotacji państwowych dla farmerów. Podatnik amerykański musi teraz podwójnie płacić za to, że Breżniew zasiał na Ukrainie a zebrał w Ohio. Po pierwsze dlatego, że rząd USA dopłacił do zakupów sowieckich miliony dolarów; po drugie dlatego, że w związku ze zmniejszeniem zapasów, ceny pszenicy, mąki i wyrobów pójdą oczywiście w górę. 30 największych koncernów piekarniczych już zgłosiło wnioski w tej sprawie.

Zgodnie z teorią naukową popularną ongiś w sferach kucupieckich ul. Gródeckiej we Lwowie, przedtem Rosjanie mieli doświadczenie, a Amerykanie mieli pszenicę, teraz zaś Amerykanie mają doświadczenie a Rosjanie mają ich mąkę.

Rozdział piąty czyli jak FBI traci czas

Ponieważ jednak FBI nie zna kupców z ul. Grodeckiej we Lwowie, ani nie ma ich poczucia humoru, więc zainteresowała się pewnymi okolicznościami zbożowej „bonanzy”. Szesć równoległych ekip śledczych bada kulisy operacji, w wyniku której podatnik amerykański płaci tak drogo za chleb na rosyjskim stole. Postępowanie nie jest proste, wszyscy są nieco zaambasowani. Ministerstwo Rolnictwa ma trudności z wytłumaczeniem dlaczego utajniło raport o katastrofie przodującego systemu kołchozowo-sowchozowego. Nie może także w przekonywujący sposób uzasadnić jak to się stało, że akurat na kilka tygodni przed otwarciem tajnych negocjacji zbożowych, dwóch wysokich urzędników tego ministerstwa, znających potrzeby ZSSR, choćby z tytułu udziału w międzyrządowych rokowaniach w Moskwie, zrezygnowało z tak pięknie zapowiadającej się kariery państwowej i przeniosło się do... towarzystw zbożowych, dziwnym trafem, tych właśnie, które potem zawarły gigantyczne transakcje z Rosjanami. Niedyskretna FBI interesuje się także przebiegiem

„czarnego sierpniowego tygodnia”, kiedy Ministerstwo Rolnictwa zablokowało dotacje, ale dało czas na zawarcie reszty transakcji w rekordowych, jak się okazało wielkościach i przy takichże stratach państwa.

Otóż, wydaje mi się, że FBI traci swój cenny czas. To nie jest zajęcie dla policji, tu chodzi o politykę. Rząd USA po prostu uznał, że sojusznik jest w biedzie i że Rosji trzeba pomóc.

Rozdział szósty czyli p. Hammer i „Donna Zarate”

Po pierwsze, Ameryce nie byłby w tej chwili na rękę kryzys w ZSSR. Breżniew dał tyle dowodów dobrej woli i lojalnej współpracy z USA, że byłoby lekkomyślnością ze strony Nixona utrudnianie mu życia. Wystarczy wspomnieć potulne i radykalne wyjście z Egiptu, pośrednictwo (połączone z łagodną perswazją) w kontaktach z Wietnamem, spokój w rewolucji światowej...

Po drugie — po śmierci Jałty, w wyniku usamodzielnienia się Chin i Japonii, w obliczu bezcelnego bogacenia się i emancypowania Wspólnego Rynku, należy ponownie zewrzeć szeregi super-wielkich. W związku z tym nie trzeba się dziwić, że w Waszyngtonie i w Moskwie w podobnych słowach mówi się o EWG i o Japonii. Miłość kwitnie. Gromyko został nawet, jako pierwszy polityk wschodni od czasu Chruszczowa zaproszony na nocleg do Camp David, buduaru prezydenta USA. W szczytowym punkcie kampanii wyborczej prasa sowiecka wyraźnie ujawniła swe uczucia i ostro zaatakowała... Mac Governę. Nie mogło mu to ani zaszkodzić ani pomóc, a pozwoliło wskazać na kandydata Moskwy. Wyciszono nawet Angelę Davies. Prasa sowiecka opublikowała naturalnie jej zachwyty nad przykładowym rozwiązaniem przez ZSSR tzw. kwestii narodowej i co by dali Murzyni, gdyby ich tak traktowano w USA jak w ZSSR, ale oceniono jej zapowiedź „szybkiego zwycięstwa komunizmu w USA” (bo gdzie by wtedy ZSSR kupował zboże).

Po trzecie — warto czasem zapłacić za dobry argument wyborczy. Głosy „międzynarodowego syjonizmu” coś przecież znaczą w USA, a to właśnie w okresie „po-zbożowym” Rosjanie zaczęli wypuszczać żydowskich zakładników w nieco większych ilościach i bez haraczu.

Po czwarte wreszcie, co znaczy tych głupich kilka milionów, kiedy chodzi już o dziesiątki miliardów. „Syberia cię wzywa”, to najnowszy slogan, przy którym amerykańscy *businessman*'i dostają dreszczy pożądania. Nowa „gorączka złota” pcha Amerykanów po skarby Syberii. Idzie epoka „Easternu”, powrócą *saloon*'y, tylko szeryfowie będą z KGB.

P. Armand Hammer, który jako młody człowiek znał Lenina i w latach dwudziestych zakładał podwaliny pod handel sowiecko-amerykański, powrócił teraz do Moskwy jako milioner i prezes Occidental Petroleum. Szykuje taki interes z następcami Lenina, że opłaciło mu się ofiarować muzeum w Ermitażu „Por-

tret Donny Antonii Zarate" niejakiego Goyi. „Ermitaż nie posiada żadnego Goyi. To być nie może”, powiedział p. Hammer i dodał, że właśnie go kupił za pół darmo, bo tylko za milion dolarów. Pytam was, czy to co się opłaca p. Hammerowi i warte jest skromnego podarku wartości miliona dolarów, nie opłaca się rządowi USA i nie jest warte prezentu o nieco większej wartości?

Nic więc dziwnego, że kiedy 7 listopada w Moskwie i Waszyngtonie strzelały korki od szampana i grzmiały odbijane butelki „stolicznej”, nie wiadomo było, czy to Breżniew święci wybór Nixona, czy też Nixon obchodzi rocznicę wielkiej socjalistycznej rewolucji październikowej.

Jeden morał

Albowiem, moi panowie, socjalizm bogaci.
Zwłaszcza kapitalistów.

BRUKSELCZYK

Pisane 13 listopada 1972 r.

CONTRA

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
BOOK STORE & PUBLISHING

630 MANTHATTAN AVENUE
BROOKLYN, N.Y. 11222

- Przedstawicielstwo: Instytutu Literackiego w Paryżu, Polskiej Fundacji Kulturalnej i Oficyny Malarzy i Poetów.
- Dostarcza drogą pocztową wszystkie książki wymienionych wydawnictw. — Przyjmuje wpłaty prenumerat na miesięcznik *Kultura*, tygodnik *Wiadomości* i *Tydzień Polski*.
- Wysyła odwrotną pocztą zamówione listownie książki.
- Katalogi wysyłane są bezpłatnie.

Sąsiedzi

“Rara avis” czyli o Litwinach mówiących po polsku

Czesławowi Miłoszowi

Czy Jagiełło z Jadwigą rozmawiali po polsku? Czy po polsku mówił Jagiełło z Sońką Holszańską, matką jego synów i założycielką Jagiellońskiej dynastii? Jeśli ktoś wie, chętnie bym się dowiedział.

Po kilkudziesięciu latach spędzonych w Krakowie, Jagiełło oraz przybyli z nim Litwini niewątpliwie umieli mówić po polsku, ale jeszcze nie byli Litwinami mówiącymi po polsku. Ta kategoria pojawiła się dopiero później, gdzieś w XVII wieku. Sygnalizował to Janusz (nie ten z *Potopu*, ale starszy od niego przywódca rokoszu z 1607 r.) Radziwiłł, pisząc do brata Krzysztofa, litewskiego hetmana polnego, w roku 1615:

„Aczem sam Litwinem się urodził i Litwinem umrzeć mi przyjdzie, jednak idioma polskiego zażywać w ojczyźnie naszej musimy”.

Było to skutkiem stopniowego zaniku używania łaciny zarówno w życiu publicznym jak prywatnym. Od połowy XVI w. uchwały sejmowe przestały być redagowane po łacinie i wkrótce język polski stał się oficjalnym językiem Rzplitej Obojga Narodów, toteż znajomość jego stała się konieczna przy udziale w życiu publicznym w zakresie szerszym niż lokalny. Jednym z ostatnich dokumentów Rzplitej w języku litewskim było sprawozdanie delegatów Wielkiego Księstwa, wysłanych na rokowania z Chmielnickim w Białej Cerkwi. Napisał je prawdopodobnie podsędek braclawski Michał Kosakowski. W owym czasie język polski rozprzestrzenił się szeroko w całej Europie Wschodniej; był w użyciu zarówno w grecko-prawosławnej Akademii Mohylańskiej w Wijowie jak i na dworze cara Fiodora i regentki Zofii

w Moskwie. „Kancelaria władców Krymu często posługiwała się naszym językiem nawet w korespondencji dyplomatycznej”, stwierdza Paweł Jasienica. Na Litwie zakorzenił się tak głęboko, że w końcu stał się w wielu wypadkach jedynym znanym i na co dzień używanym. Kościuszko czy Mickiewicz mogli, prawdopodobnie, rozmówić się po rusku (białorusku), lecz nie po litewsku.

Ale, ktoś powie, to byli przecież Polacy a nie Litwini. Sądzę, że gdyby byli oni proszeni o oświadczenie się w tej sprawie, nie rozumieliby o co właściwie chodzi. W ich przeświadczeniu pojęcia „Polak” i „Litwin” nie wykluczały się nawzajem. W odezwach do W. Księstwa Kościuszko używał alternatywnie terminów Polska i Litwa. Mickiewicz Litwę nazwał swoją ojczyzną, ale w jego rozumieniu Litwin i Mazur byli braćmi o wspólnym nazwisku — Polacy.

Stało się tak dzięki brzemiennej w skutki polityczne błędowi semantycznemu twórców Rzplitej Obojga Narodów. Tworząc ją nie pomyśleli o stworzeniu przymiotnika odpowiadającego całości. Złożoną z Korony i Wielkiego Księstwa Rzplitej tworzyły dwa narody: polski i litewski, nie było jednak pojęcia je obejmującego, tak jak pojęcie „British” obejmuje Anglików, Walijczyków i Szkotów. W praktyce — wbrew zasadom logiki — zaczęto używać nazwy części dla określania całości, tworząc dla części wydziedziczonej z nazwy nowe słowo: „Koroniarze”. Za czyją stało się to sprawą, niesposób dziś ustalić. Andrzej Lubieniecki na początku XVII wieku pisał, że Litwini, naród „bardzo niegłośny i niesławny”, „w cudzych ziemiach bywając, pospolicie się Polakami zowią”. Następnie, wbrew oficjalnej nazwie, Rzplitej Obojga Narodów zaczęto potocznie nazywać Rzplitą Polską i nazwa ta uzyskała prawo obywatelstwa. W ten sposób wszyscy obywatele Rzplitej stali się Polakami, choć część ich — połowa — była Litwinami. Terminologia ta była tak powszechna, że po rozbiorach użyli jej autorzy Traktatu Wiedeńskiego w art. 1 § 2 Układu Generalnego, nazywając wszystkich mieszkańców terytoriów byłej Rzplitej, pozostałych poza granicami Królestwa Kongresowego, Polakami i postulując dla nich przedstawicielstwo i instytucje narodowe.

W sposób paradoksalny polityka rosyjska po rozbiorach przyczyniała się do dalszej „polonizacji” ziem b. W. Księstwa. Uważając za Rosjan wszystkich prawosławnych i unitów, skłonna była przez pewien czas uważać za Polaków wszystkich wyznawców „polskiej wiary” — rzymskiego katolicyzmu. Sprzyjało to dalszemu rozprzestrzenianiu się języka polskiego w katolickiej Litwie, nawet na Żmudzi, która za czasów Rzplitej miała charakter czysto litewski. Z biografii przyszłego prezydenta Repu-

bliki Litewskiej Antonasa Smetony dowiadujemy się, że gdy w latach 1889-94 był on w szkołach w Wiłkomierzu i Poładze, na stacjach uczniowskich mówiono wyłącznie po polsku (A. Merckelis, *Antanas Smetona*, N.Y., 1964, str. 19 i 24). Masakra w Krożach w 1893 roku jest zaliczana do martyrologii polskiej również przez książki wydawane w dzisiejszej Warszawie (L. Bazyłow, *Dzieje Rosji*, 1970, str. 260 i 369). A były to już czasy litewskiego odrodzenia narodowego i wkrótce wielu mówiących tylko po polsku Litwinów zaczęło z dużym wysiłkiem uczyć się zupełnie im dotąd nieznanego języka litewskiego. Działo się tak m.in. pod wpływem demokratycznego *Varpas'u*, gdzie w 1892 roku zakwestionowano tezę, iż „i mówiąc po polsku można być dobrym Litwinem” i podkreślono konieczność powrotu „do uprawy własnej roli piśmienniczej”, od wieków leżącej odłogiem (M. Romer, *Litwa*, str. 176).

Wraz z odradzaniem się litewskiego języka literackiego rozpoczęła się jego rywalizacja z dotąd dominującym polskim, przybierając formy szczególnie drastyczne w kościołach. Zgorzniętym Litwinom mówiący po polsku zaczęli kwestionować autentyczność litewskiego ruchu odrodzeniowego, traktując go jako perfidną intrygę rosyjskiego rządu. Uważając się za prawdziwych Litwinów, odmawiali oni prawa do tej nazwy elementom „warcholskim” i stworzyli dla nich nową nazwę „litwomaków”. Nie było to jednak słuszne, gdyż ruch odrodzeniowy nie ograniczał się do Litwinów, lecz objął również szereg innych dotąd uspio-nych narodowości.

Zgodnie z tradycją dawnej Rzplitej, Polacy ustosunkowywali się początkowo pozytywnie do ruchów narodowościowych i udzielali im poparcia. Miało to miejsce również na emigracji w Ameryce, gdzie w 1894 roku Sejm Związku Narodowego Polskiego w Cleveland wprowadził przedstawiciela Litwinów Dra Kodisa do „Rządu Centralnego” i zdecydował, że organ Związku *Zgoda* umieszczać będzie również artykuły w języku litewskim. Pisząc w *Przeglądzie Wszehpolskim* w 1895 roku o tym fakcie „nader pomyślnym”, Roman Dmowski wypowiadał zdanie, że:

„1. Nie ma dwóch patriotyzmów polskiego i litewskiego, ale jest jeden wspólny, jak jest jedna, wspólna wszystkim ojczyzna.

2. Postęp cywilizacyjny ludu litewskiego leży w interesie całej Polski, a zatem obrona języka i popieranie rozwoju literatury litewskiej jest jednym z artykułów patriotyzmu polskiego. Język litewski, jako jeden z naszych języków narodowych, zasługuje na pielegnowanie na równi z polskim” (*Pisma*, t. III, str. 41).

Dalsze wypadki w Ameryce rozwinęły się niestety jak w starym kraju. Rywalizacja w kościołach i, w szczególności, sprzeciw przeciwko objęciu „polskiego” kościoła w Plymouth w Pen-

sylwanii przez księdza-Litwina Aleksandra Burbę, doprowadziły do zerwania współpracy. Radykalnej zmianie uległy również poglądy Dmowskiego. W rozpoczętej w 1902 roku serii artykułów, wydawanych następnie kilkakrotnie jako *Myśli nowoczesnego Polaka*, odrzucił on tradycje dawnej wielonarodowej ojczyzny na rzecz „nowoczesnego patriotyzmu czyli nacjonalizmu”. Będąc biologiem z wykształcenia, Dmowski pod wpływem Darwina uznał, że narody z „rdzennej ludności” złożone są „żywymi organizmami społecznymi” prowadzącymi pomiędzy sobą nieustanną walkę o byt i narodową ekspansję. „Walka jest podstawą życia” — pisał — zaś wszelkie ustępstwa na rzecz „Rusinów, Litwinów, Żydów itd.” uważał za „zagradzanie sobie drogi do niepodległości”. „Naród polski z rdzennie polskiej ludności złożony” winien był z nimi walczyć tak samo jak z Prusakami czy Moskalami.

Oryginalne i sugestywnie napisane dzieło Dmowskiego czytane było nie tylko przez „nowoczesnych Polaków”. Wynikało z niego, że przynależność każdej jednostki ludzkiej („komórki”) do tego lub innego „organizmu narodowego” jest predeterminowane przez jej urodzenie. Nie ma ona prawa do narodowego samookreślenia, nie może też być przynależna do dwóch różnych „organizmów”. Jeśli usiłuje opuścić swój „rdzenny” „organizm” i przystać do obcego, działa wbrew naturze, popełnia karygodną zbrodnię zdrady. Teorię taką w pełni zaakceptowali „nowocześni Litwini” i usiłowali stosować ją w praktyce. Przed pierwszą wojną światową mogli używać tylko perswazji. W wydanej w 1904 roku po polsku broszurze pt. *Głos Litwinów do młodej generacji szlachty, panów i magnatów na Litwie*, książdz Al. Dąbrowski (Dombrauskas, ps. A. Jaksztas) zwracał się do tych mówiących tylko po polsku Litwinów, by porzucili drogę „narodowej zdrady” i powrócili do swego „narodowego organizmu”. W okresie okupacji niemieckiej w latach 1915-18, Litwini, stosując tę teorię, kwestionowali wiarygodność spisów ludności, w których miejscowa ludność masowo podawała jako macierzysty język polski i wobec tego była określana jako Polacy. Ponieważ Niemcy wówczas mieli intencję, czy w każdym razie ludzili możliwość, podziału okupowanych ziem W. Księstwa (z tym że Litwinów w Kowieńszczyźnie i Suwalszczyźnie mieli zabrać sobie, a resztę zamieszkałą przez Polaków przyłączyć do mającej powstać Polski) kategoria Litwinów mówiących po polsku wystawiona była na ciężką próbę. Wobec ewentualności podziału Litwy historycznej lub jej całkowitego odcięcia od Polski i oddania Niemcom, stanęli przed dylematem wyrzeczenia się albo litewskości albo polskości. Niektórzy, jak Michał Romer, uważali podział za rozwiązanie najgorsze z każdego punktu widzenia. Inni, wciąż gorąco broniąc zasady odtworzenia możliwie nieokrojonego W. Księstwa

i jego mniej lub więcej ścisłego związku z Polską, ostatecznie się godzili na podział jako na zło nieuniknione w konkretnych warunkach politycznych. Ciągłe się uważając za najbardziej autentycznych Litwinów, odmawiali oni prawa do tej nazwy tym, co wyrzekali się tradycji W. Księstwa i szli na współpracę z Niemcami, nazywając ich *Lietuvisami*. (Terminologii takiej używali m.in. profesor Ludwik Janowski w wojennych wydawnictwach szwajcarskich oraz późniejszy profesor i minister Władysław Zawadzki w opracowaniach pisanych w Wilnie pod okupacją).

Po klęsce Niemiec, mówiący po polsku Litwini cieszyli się co najmniej sympatią Naczelnika Państwa Polskiego, Józefa Piłsudskiego. Przy jego poparciu, zamierzali oni, w porozumieniu z grupą Litwinów mówiących po litewsku, dokonać w 1919 roku zamachu stanu przeciwko rządzącym w Kownie *Lietuvisom*. Gdy Litwini mówiący po litewsku odmówili w ostatniej chwili udziału, poparcie zostało wycofane i przygotowany przewrót do skutku nie doszedł.

Na jesieni 1920 roku miała miejsce inna próba odtworzenia historycznej Litwy przez Litwinów mówiących po polsku. Warunki polityczne umożliwiły wówczas powstanie w Wilnie tzw. Litwy Środkowej, mówiącej po polsku i znajdującej się pomiędzy mówiącą po litewsku Litwą kowieńską i mówiącą po białorusku Mińszczyzną. Ewentualne połączenie tych trzech Litw odtworzyłoby w nowoczesnych warunkach dawną wielojęzyczną i wielonarodowościową Litwę historyczną. Nieprzejednane stanowisko Kowna a jeszcze bardziej zawarcie Traktatu Ryskiego, który oddał Mińsk pod faktyczną władzę Rosji, przekreśliły te plany.

Podział pomiędzy trzy państwa ziem W. Księstwa był dla Litwinów mówiących po polsku równoznaczny z żywiołowym kataklizmem. Tragiczny dla nich dylemat z dziedziny teorii przesunął się na płaszczyznę praktyki. Znaleźli się w rzeczywistościach politycznych, gdzie pojęcia „Polak” czy „Litwin” nabrały odmiennej od uświęconej przez dotychczasową tradycję treści i stały się trudne czy nawet niemożliwe do łączenia. W Mińszczyźnie zresztą zarządzane na początku 1935 r. rozszerzenie sowieckiej strefy pogranicznej do 70 km. w głąb, miało za skutek przesiedlenie na wschód, przeważnie do Azji, wszystkich kto publicznie mówił po polsku. Na Kowieńszczyźnie „nowocześni Litwini” uzyskali możliwość stosowania skuteczniejszych od perswazji środków przy wcielaniu w życie teorii, że mówiący po polsku i uważający się za Polaków Litwini dopuszczali się narodowej zdrady. Nie były może one tak drastyczne jak w Mińszczyźnie, ale na ogół skuteczne i w Kownie, gdzie przed pierwszą wojną światową nie było łatwo rozmówić się po litewsku, przed drugą wojną po polsku mówili tylko ludzie starsi (i to przeważnie w domu)

oraz nie mające nic do zyskania ani do stracenia niziny społecznej: „zielonogórskie żuliki i dziewczęta uliczne”, jak mi ktoś powiedział w roku 1939. Kategoria Litwinów mówiących po polsku zanikła prawie całkowicie. Większość przestała mówić, a mniejszość, która trwała przy codziennie szykanowanym języku, przestała uważać się za Litwinów. Do raczej rzadkich wyjątków należał Michał Romer. Opuścił on Polskę w kwietniu 1920 roku, wstąpił na służbę państwową litewską, osiągając stanowiska sędziego Najwyższego Sądu Kasacyjnego, rektora uniwersytetu i wiceprezesa Rady Państwa, lecz nie przestając czuć się jednocześnie Polakiem i Litwinem. W prowadzonym dzienniku, znajdującym się obecnie w centralnej Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk w Wilnie, odnotował pod datą 23 kwietnia 1922, że nie weźmie udziału w zwoływanym 25 kwietnia wiecu publicznym w Kownie, mającym zaprotestować przeciwko wcieleniu Wilna do Polski, gdyż

„jako Polakowi jest mi osobiście przykro słuchać napaści na Polskę i Polaków, zwłaszcza w bezkrytycznej formie roznamietnienia wiecowego, pomimo że nawet sam w sporze Litwy z Polską o Wilno stoję kategorycznie na stanowisku państwowym litewskim”.

Mówiący po polsku Litwini wyginęli również na ziemiach b. W. Księstwa po pierwszej wojnie wcielonych do państwa polskiego. W okresie gdy los tych ziem był wciąż niezdecydowany i groziło im pozostanie poza Polską w zasięgu *de facto* niemieckim czy rosyjskim, patriotyzm i pro-polskie uczucia ich mieszkańców uległy szczególnemu napięciu. „Przed wszystkim chcemy być razem z Polską. Taki jest głos solidarny Polaków z Litwy”, pisał z Wilna wiosną 1916 Inflantczyk Waław Studnicki. W sześć lat później, w okresie zatargu o likwidację Litwy Środkowej pomiędzy Naczelnikiem Państwa i rządem warszawskim a większością delegacji Wileńskiego Sejmu, był on o krok od wejścia na drogę dość paradoksalnego rokосу i organizował w Wilnie anty-rządowy „Związek Obrony Woli Ludności Przynależności Wilna do Polski”. Przynależności do Polski bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń domagały się również liczne masowe wiece i petycje ludności. Ponieważ Litwini przeciwni byli łączności z Polską, nasilenie uczuć anty-litewskich rosło i wielu mówiących po polsku Litwinów odzegnoywało się od litewskości, stając się nie tylko obywatelami polskimi lecz Polakami *tout court*. Wielu z ich przywódców, jak Władysław Zawadzki, Witold Staniewicz, Aleksander Meysztowicz i inni, objęło za przykładem Józefa Piłsudskiego najbardziej reprezentacyjne stanowiska w narodowym państwie polskim. Tylko nieliczni oparli się powszechnej koniunkturze „wszechpolskich” nastrojów. Brat Wi-

tolda Abramowicza, który wraz z Oszmiańczykiem Lucjanem Żeligowskim organizował Litwę Środkową, Ludwik, w okresie okupacji niemieckiej był w Warszawie czynnym „aktywistą” zmierzającym do odbudowy państwa polskiego, ale związanego z Litwą. Gdy rzeczywistość polityczna uniemożliwiła zrealizowanie tych zamierzeń, Ludwik Abramowicz nie znalazł dla siebie miejsca w oficjalnym życiu publicznym Polski, ulegającej coraz bardziej nacjonalistycznym koncepcjom „nowoczesnych Polaków”. Pozostając demokratą i patriotą „starej daty”, Polakiem i Litwinem jednocześnie, bolał nad dekadencją dawnej stolicy rozległego Kraju, zdegradowanej do roli prowincjonalnego miasta wojewódzkiego, i przewidywał nader niepomysłne dla wszystkich skutki. Redagowany przez niego przez lata *Przegląd Wileński* stał się rezerwatem dawnych mówiących po polsku Litwinów, pragnących przywrócenia niepodzielności Kraju i zachowania jego odrębności przy utrzymaniu łączności z Polską. Utrzymywany na dość wysokim poziomie, *Przegląd Wileński* nie miał dużego rozgłosu i, jak dziś przypuszcza Czesław Miłosz, większość mieszkańców obecnej Polski nigdy nic nie słyszała o mówiących po polsku Litwinach.

A jednak nie był to głos wołający na zupełnej puszczy. Gdy katastrofa wrześniowa pociągnęła za sobą upadek niepodległej republiki litewskiej i przekreśliła rozwiązanie „podziałowe”, okazało się, że mówiący po polsku Litwini byli liczniejsi niż to się w dwudziestolecie wydawało.

„Ze wrogość rozpetana pomiędzy Kownem a Wilnem była zjawiskiem sztucznym i narzuconym, mieliśmy dowód w tym ciężkim okresie, kiedy tysiące uchodźców z polskiej części Litwy ratowały się przed sowieckim potopem, przekraczając polsko-litewską granicę. Byli oni przyjmowani tak serdecznie i tak po bratersku, jak gdyby w ogóle nie istniały te 20 lat wrogiej nawzajem propagandy i wzajemnych szykan. Wszystkie urazy i zale poszły w zapomnienie; sprawa była ważniejsza: brat potrzebował pomocy. Nie powinniśmy nigdy o tym zapomnieć” —

czytamy w drukowanej w Szkocji w 1948 roku przez Ruch Chrześcijańsko-Społeczny „R.C.S.” broszurze J. Wężyka pt. *Wielka Litwa*. Ukrywający się pod tym pseudonimem autor (wrócił do kraju) był w swoim czasie studentem Wydziału Sztuk Pięknych USB, dalekim od polityki i, jak tysiące innych, ulegającym koniunkturalnym nastrojom. W broszurze swej pisze:

„...kiedy Sejm Wileński w roku 1922 uchwalił jednogłośnie przyłączenie do Polski całej tzw. Litwy Środkowej, nie było wśród nas nikogo, kto by nie powitał tej uchwały z najszczerzym entuzjazmem. Najwyższą ambicją Wilna było zostać miastem wojewódzkim. Idea federacyjna wydawała się wymierzona przeciw Polsce, wydawała się zdradą” (str. 28).

Przeżycia i przemyslenia po-wrześnieowe zmusiły go do rewi-

zji tego stanowiska. „Mam przekonanie, pisze, że dojrzeliliśmy dziś do innego zrozumienia naszej wspólnej racji stanu” i w swej broszurze deklaruje się jako mówiący po polsku Litwin i zwolennik Wielkiej Litwy — „trzyjęzycznej jak Szwajcaria”. Wyzwolony z nacjonalistycznych ograniczeń, hołduje idei federalnej i snuje następujące rozważania, które, być może, warto powtórzyć jako dość niespodziewany głos „szarego człowieka”:

„Z punktu widzenia polskiego nie jest stratą ustąpienie Litwie jak największej ilości ziem tradycyjnie i historycznie litewskich, etnicznie zaś mieszanych z przewagą elementu polskiego. To nie jest pomniejszenie polskiego stanu posiadania, odwrotnie — to możliwość jego dalszego rozprzestrzenienia się. Politycznie nawet, gdyby nie od razu doszło do federacji, jest nieskończenie lepiej mieć na północy większego i przyjaznego sąsiada, niż małą Litwę Kowieńską, wskutek rażącej dysproporcji sił zamykającą się na wszystkie spusty przed Polską i szukającą oparcia u jej nieprzyjaciół. Francja nic nie straciła na tym, że u jej boku powstała francusko-flamandzka Belgia. Wielka Litwa będzie dla Polski sojusznikiem zawsze przyjaznym i pewnym, niezależnie od tego w jaką formę ułoży się polityczne współzycie i współzależność obu krajów” (str. 28).

„Nasz stosunek do Polski będziemy układać razem ze współobywatelami mówiącymi po litewsku i po białorusku. Można z góry powiedzieć, że Unia będzie nie do przyjęcia. Natomiast związek federalny może i powinien odpowiadać wszystkim zainteresowanym stronom, zwłaszcza, gdy do wspólnej Rzeczypospolitej Federalnej, oprócz Litwy i Polski jako równorzędnych członków, dojdą na tych samych zasadach i prawach również Ukraina (z wydzieloną dwujęzyczną Rusią Halicką). Słowacja i Czechy, a w dalszym ciągu jej rozwoju również Węgry i Rumunia, względnie z wydzielonym pomiędzy nimi Siedmiogrodem (str. 29).

Pisząc to autor nie zamykał oczu na aktualną rzeczywistość. Broszurę swą rozpoczął od następującego ZAŁOŻENIA:

„1) Wszystkie dalsze rozważania są nierealną mrzonką, jeżeli Rosja Sowiecka zachowuje swoją obecną potęgę. Wierzmy jednak, że prędzej czy później, od zewnątrz czy od środka, w wyniku nowej wojny, czy też własnych procesów destrukcyjnych, jutro czy też za 20 lat — Rosja przestanie być mocarstwem. Jeżeli wówczas, w wyniku nowej sytuacji w Środkowej Europie zapytają nas: 'Macieź-li wy jakąś własną koncepcję urzędzenia i uporządkowania waszych krajów?' — powinniśmy taką koncepcję już mieć upowszechnioną, przedyskutowaną, dojrzałą...”

Jak dotąd, założenie to się nie spełniło. Ale gdyby, w myśl zasady *Deus mirabilis, fortuna variabilis*, miało się kiedyś spełnić, dobrze by było gdybyśmy wtedy mieli istotnie jakąś swoją koncepcję „upowszechnioną, przedyskutowaną, dojrzałą”.

Wiktor SUKIENNICKI

Stanford, Kalifornia, październik 1972.

W sowieckiej prasie

Głodu w Związku Sowieckim w roku przyszłym nie będzie! Tę radosną wiadomość podali w przeddzień 55-tej rocznicy Wielkiego Października jednocześnie: minister Gospodarki Rolnej — Mackiewicz (w *Ekonomiczeskiej Gazecie*), przewodniczący Akademii Gospodarki Wiejskiej — Łobanow (w *Komsomolskiej Prawdzie*) i członek Politbiura — Mazurow na jubileuszowym posiedzeniu. Do niedawna pisma, które były na trwogę, wzywały „do walki za urodzaj” i „do szacunku dla zboża” — ale podkreślały również kolejne sukcesy na „froncie walki o zboże”. Miliony ton zebranych w Kazachstanie, miliony w Ałtaju — optymistyczne tytuły powinny były zaspokoić konsumentów stojących w ogonkach po chleb, po kartofle...

W dziennikach można było wyczytać i inne pocieszające wiadomości. „Wybitny traktorzysta”, A. Gitałow, członek Najwyższej Rady, od stóp do głów obwieszony medalami, ogłosił w *Prawdzie Ukrainy* artykuł, w którym oświadczył swoim ziomkom: „Bywałem w wielu krajach za granicą, w tej liczbie i w Ameryce... Chleb, tak jak ser, krają tam w cienkie kromki. Jeśli zostało ze śniadania czy obiadu pół kromki, to i to skrzętnie zachowują. Drogi tam jest chleb, nie dla każdego dostępny”. Dla każdego czytelnika jest jasne: jeśli my żyjemy źle, to Amerykanie i im podobni cudzoziemcy — w ogóle umierają z głodu.

Widocznie zaoszczędziwszy zboże nie dojadają — Amerykanie i inni, sprzedali w bieżącym roku Związkowi Sowieckiemu już około 30 milionów ton zboża. Sowieccy czytelnicy jeszcze do tej pory tego nie wiedzą. Min. Mackiewicz zapewnił ich po prostu, że rząd poweźmie wszystkie odpowiednie decyzje. Zagłodzeni amerykańscy dziennikarze piszą jednak o handlowej transakcji. *Literaturnaja Gazieta* natychmiast dała im po palcach.

W *New York Herald Tribune* William F. Buckley, jr. oświadczył, że Związek Sowiecki przeżywa kryzys i pokonywuje go jedynie przy pomocy amerykańskiego zboża. Odpowiedź na ten artykuł *Literaturnaja Gazieta* zamieściła w rubryce „Ha! Ha!”. Co widocznie musi oznaczać, że sama już myśl o tym, że pierwszy w świecie kraj socjalizmu mógłby w 55-tym roku rewolucji zakupywać zboże, żeby wykarmić ludność — nie może wywołać nic innego prócz śmiechu: Ha! Ha!

„Naród sowiecki — to nowa historyczna wspólnota ludzi”. Ta dźwięczna a jednocześnie wewnętrznie pusta (dlatego też i dźwięczna!) formuła powtarza się codziennie we wszystkich

pismach sowieckich, co godzinę we wszystkich radiostacjach. Jak zwykle w latach jubileuszowych szamańskie powtarzania jednych i tych samych, szczegółowo wypracowanych a potem już zmieniających się, formuł dochodzi stopniowo, w momentach kulminacyjnych — do paroksyzmu. Próbowalem przedrzeć się przez gąszcz powtarzających się sloganów i formuł, żeby zrozumieć co oznacza to nowe określenie, wymyślone w przedniu obchodu 50-ciolecia stworzenia ZSSR, to jest zjednoczenia wszystkich narodów sowieckich pod ferułą moskiewską. W wielkim i ciężkim jak cegła artykule dwóch czołowych historyków sowieckich: M. Kima i W. Szerstobitowa (*Waprosy Istorii*, Nr 10), wyłuskałem takie oto racjonalne ziarenko: „Językiem rosyjskim mówi 183,7 milionów ludzi, a więc więcej niż 75 % całej ludności. Jest to język międzynarodowej wspólnoty”. Historycy wielkodusznie podkreślają, że „na równych prawach funkcjonują w ZSSR i języki narodowe”. Można by tu zauważyć: „mogłyby i nie funkcjonować, a oto funkcjonują — dzięki leninowskiej narodowej polityce”. „Jeśli kapitalizm” — mówi się w artykule — „rozdziela i wywłaszcza narody, to socjalizm tworzy nowe, wyższe formy ludzkiej wspólnoty”.

Historycy sowieccy kończą artykuł optymistycznym akcentem: „Rozwój narodu sowieckiego jest gwarancją stworzenia w przyszłości nowej wartościowej wspólnoty ludzi, ogarniającej wszystkie narody świata, które wstąpiły na drogę socjalizmu i komunizmu”. Niewykluczone że po pewnym czasie wszystkie „narody wstępujące (!) na drogę socjalizmu i komunizmu” będą mogły wejść (będą wprowadzone?) do nowej historycznej wspólnoty ludzi.

Dopóki to jednak nie nastąpiło „jakościowo nowa wspólnota ludzi” żyje swoim radosnym życiem. Miesięcznik *Oktjabr* zamieścił (Nry 9, 10) nową antysemitką powieść. W literaturze rosyjskiej — w okresie kiedy Rosja była jedynie tylko „więzieniem narodów” a nie nową społecznością — antysemityzm nigdy nie cieszył się szeroką popularnością. Najbardziej znanym z pisarzy-antysemitów był Wsiewołod Kriestowski, oślawiony między innymi swoimi antypolskimi powieściami redaktor *Warszawskowo Wiestnika* w latach 90-tych ub. stulecia.

Inteligencja rosyjska wstydziła się antysemityzmu. Przestała się go wstydzić inteligencja sowiecka (jeśli w tym określeniu nie ma wewnętrznej sprzeczności). W ostatnich latach do sowieckiej literatury antysemityzm wszedł z podniesioną głową. Iwan Szewcow jest uważany za jego czołowego przedstawiciela. Nieznany poprzednio Jurij Kolesnikow popełnił kolejny opus, którego nie powstydziliby się i streicherowski *Stürmer*. Powieść nosi wiele obiecujący tytuł: „Ziemia obiecana”. W odnośniku czytamy, że jest to jedynie dziennikarski wariant. W opracowanej i niewątpliwie poprawionej i uzupełnionej formie ma on

wyść pod jeszcze bardziej efektownym tytułem: „Kurtyna się podnosi”.

Jak tylko „kurtyna się podnosi”, jak tylko przeczytamy kilka pierwszych stron, od razu przekonywujemy się, że nazwisko Juria Kolesnikowa nie pozostanie w literaturze — nawet w literaturze antysemitkiej. Powieść jest nudna i bezbarwna. Dzieło grafomana, pracowicie wykonywującego zamówienie społeczne. W powieści spotykamy cypryjskiego rabina, który prowadzi dom publiczny i karczmę, a również okazuje się agentem jakiegoś „actions-komitetu”, który skupuje dla Żydów palestyńskich, za pieniądze amerykańskich syjonistów czeską broń u rumuńskich prostytutek. Cały sens książki polega na tym, że dzieje się to wszystko w końcu lat 30-tych, kiedy nieszczęsny bessarabski Żyd, Chaim Woldyter, zdecydował — z naiwności i głupoty — wyjechać do Palestyny. I tam dopiero wszystko zrozumiał. Pod koniec książki ucieka do faszystowskiej Rumunii, aby tylko nie pozostawać razem z Żydami.

Historia nieszczęsnego Chaima to leitmotiv powieści, który powinien odróżniać opus Kolesnikowa od utworów jego towarzyszy po piórze: Kiczki, Iwanowa i innych.

Główna myśl — jeśli tak można się wyrazić — jest elementarnej prosta: syjoniści (to znaczy wszyscy Żydzi z wyjątkiem Chaima) i faszyci — to jest jedno i to samo. Nie podobni, nie bliscy, ale po prostu jednakowi. Z książki Kolesnikowa dowiadujemy się wielu rzeczy: na przykład, że Eichmann był agentem jakiejś żydowskiej służby bezpieczeństwa (w powieści znajduje się scena aresztowania Eichmanna przez Żydów w Palestynie, w 1939 roku) — Eichmann nie ukrywając mówi: „Gdybym był Żydem, byłbym syjonistą”; że Hitler i Mussolini zaopatrywali palestyńskich Żydów w broń, i wielu innych ciekawych rzeczy. Ale to wszystko dzieje się w roku 1939, oprócz tego mamy w książce również aktualne aluzje. Na przykład takie zdania: „Finansowi magnaci z naszej krwi są najwyższymi sędziami losów innych narodów, a zatem pozostając w krajach wygnania mogą nam udzielić nieocenionej pomocy w naszej pracy”. A kilka stron dalej: „Ludzie typu Rotschilda w Europie, czy Morgenthaua w Ameryce to nie jednostki i nie dziesiątki. We wszystkich krajach świata są ich setki i tysiące. Oni są właścicielami większej części światowej rezerwy złota. Do nich należą największe banki, zakłady, fabryki i firmy handlowe... Za ich pośrednictwem mamy realną możliwość w sposób decydujący wpływać na politykę rządów poszczególnych krajów i kierować ją w dogodnym dla nas kierunku...” Itd., itp. Wszystko to już było w protokołach Mędrców Syjonu ale wreszcie stało się dostępne dla całego sowieckiego narodu.

Powieść Jurija Kolesnikowa ma związek z zagadnieniami wchodzącymi w strukturę „okrzepnięcia przyjaźni narodów”. Tej

przyjaźni przeskadzają — jak wszystkim wiadomo (ulubione określenie Kolesnikowa) — nacjonalistyczne przesady.

W ramach walki z nimi *Prawda* ogłosiła artykuł bardzo ostro krytykujący członków partii biorących udział w obrzędach religijnych. „We współczesnych warunkach — czytamy w *Prawdzie* — istnieje wzajemny związek pomiędzy religią a nacjonalistycznymi przesadami. Wiadomo (obecnie — to mówi *Prawda!*), że w wielu wypadkach cerkiew i sekty twierdzą, że odgrywają rolę obrońców narodowych wartości. Często spotykamy się z próbami przedstawiania uczuć religijnych jako cechy narodowej, a nieobchodzenia świąt religijnych jako uchylania się od pozostawionego przez przodków obowiązku”. Ależ to naturalnie kłamstwo — twierdzi *Prawda*.

Artykuł w *Prawdzie* to dokument poważny i uzasadniony, ale możliwe że nie wszystkich przekona.

Natomiast artykuł opublikowany w *Literатурnej Gazecie* (Nr 35) daje pożywkę wątpliwościom jeśli idzie o siłę przekonującą artykułu w *Prawdzie* oraz innych artykułów prasowych. Artykuł Olgi Czajkowskiej „Cyrk wokół Golgoty” poświęcony jest pracy rozpowszechnianej przez „samizdat”. Już sam fakt polemiki z wydawnictwem samizdatowskim świadczy o jego oddziaływaniu i rozpowszechnieniu. Praca, którą próbuje zde-maskować *Literатурna Gazeta*, jest przypisywana znanemu ukraińskiemu historykowi literatury, akademikowi Aleksandrowi Bieleckiemu, który zmarł kilka lat temu. Wydawnictwo samizdatowskie udowadnia z pomocą historycznych źródeł autentyczność istnienia Chrystusa i jego zmartwychwstania.

Prawda, Michał Bułgakow w „Mistrzu i Małgorzacie”, przeszło 30 lat temu zamknął spór z moskiewskimi ateistami posyłając im diabła, który im po prostu oświadczył: „Weźcie pod uwagę, że Chrystus istniał... po prostu istniał i nic więcej”. W powieści Bułhakowa ateista uwierzył w to dopiero wtedy, kiedy ucięto mu głowę. Ale pozostało jeszcze wielu niewierzących. Olga Czajkowska przyznając, że: „niektóre antyreligijne (sowieckie) prace są nieudolne i nie mają odbiorcy”, kwestionuje fakt istnienia Chrystusa. To jest ma się rozumieć jej sprawa i nie warto byłoby o tym wspominać, gdyby się tylko do tego ograniczała. Ale Olga Czajkowska zadaje pytanie rzeczywiście bardzo ciekawe. Przyznaje, że: „Jakichś czytelników — choć mało licznych — autor rękopisu jednak znalazł i przekonał!” Nie będziemy się kłócić co do ilości czytelników rękopisu. Jeśli rzeczywiście było ich tak mało, to czyż warto było pisać o tym w piśmie, które ukazuje się w nakładzie 1.200.000 egzemplarzy?

Czytelnicy rękopisu istnieją i uwierzyli argumentom autora. Mało tego „do rodziny Bieleckich zwracają się ludzie ufnie prosząc o dodatkowe wyjaśnienia i uzupełnienia sensacji”. Cóż to są za ludzie? — zapytuje Olga Czajkowska. I odpowiada: „Jest to współczesny, niedokształcony (albo nieokrzesany — jak wolicie) pseudo-inteligent, gotowy z radością uwierzyć w cuda, jeśli się je podaje pod przykrywką naukowej sensacji... To jest ta

sama ślepa wiara w naukę, która jest jedną ze zmodernizowanych odmian niedokształcenia”.

W tym co pisze autorka artykułu jest wiele rzeczy słusznych. Ale rzecz polega na czymś innym. Tysiące działaczy naukowych, akademików i profesorów zapewnia na stronicach pism i w swoich wykładach, że Chrystusa nie było i być nie mogło. A tu przeczytali podziemny rękopis i — uwierzyli. „Fakt niewiarygodny — pisze Olga Czajkowska, ale potwierdzony przez wybitnego akademika, więc jak tu nie uwierzyć, specjalnie jeśli chce się uwierzyć”.

Dlaczego jednak „chce się uwierzyć” w istnienie Chrystusa i jego zmartwychwstanie sowieckiemu „półinteligentowi” — to jest człowiekowi, który posiada wyższe wykształcenie — na to pytanie w artykule nie ma odpowiedzi.

W ciągu ostatnich miesięcy na łamach *Literатурnej Gazety* prowadzona była dyskusja, związana w jakimś stopniu z produkcją w Związku Sowieckim półinteligentów, z problemem „ogólnonarodowej kultury”. Powodem do dyskusji był artykuł pisarza Ilji Foniakowa „Ostrożnie: Ermitaż”. Pisarz zwrócił uwagę na to, że miliony zwiedzających Ermitaż, Tretiakowską Galerię w Moskwie, Dom Czechowa w Jańcie i inne muzea — idą tam jedynie dlatego, że ich ciągną, idą z obowiązku, a to doprowadza — do zniszczenia muzeów.

Gazeta ogłosiła dziesiątki listów, z których można się dowiedzieć jak wygląda kultura masowa w sowieckim wydaniu. „Sale wypełniał dudniący hałas tupotu nóg. Parkiet pod nogami był starty i brudny. Powietrze ciężkie od ludzkiego potu. Biały marmur sławnych schodów był ciemny od grubego pokładu błota” — tak pisze zwiedzający Ermitaż. „Obok unikalnych obrazów, które zasługują na najgłębsze przestudiowanie — ludzie biegają. Tak, tak — biegają” — pisze zwiedzający muzeum moskiewskie.

Poeta Władimir Sołouchin podsumowujący dyskusję, cytuje swoją rozmowę ze znajomym, który był w Ermitażu: — „Co ciebie najbardziej zainteresowało?” — Tamten pomyślał i odpowiedział: „Obrazy, obrazy — i wszystkie brązowe”.

Sołouchin dochodzi do wniosku — i to zdaje się być również wnioskiem *Literатурnej Gazety* — „Jest niezbędne już jutro, już dzisiaj zahamować ten potok przelewający się przez sale Ermitażu”.

W ostatnim numerze organu Akademii Nauk *Waprosy Fitozofii* zamieszczono wielki artykuł „Współpraca sowieckich i polskich filozofów”. Można się z niej dowiedzieć, że „po VI Zjeździe PZPR polscy filozofowie, socjologowie i przedstawiciele innych nauk społecznych doszli do wielkich teoretycznych osiągnięć;

doszli do nich na skutek przełamania istniejących w przeszłości rewizjonistycznych i nihilistycznych tendencji, skierowanych do oderwania nauk społecznych od praktyki". Teraz jest już wszystko w porządku i nawet — co niewątpliwie należy uważać za najwyższą pochwałę — „w Polsce ukazało się wiele książek, zasługujących na specjalną uwagę sowieckich naukowych zakładów i wydawnictw". Tu następuje długa lista prac polskich filozofów, zasługujących na uwagę... a na specjalną uwagę zasługuje — jak podaje podręcznik dla W.U.Z.ów — marksistowska filozofia.

Adam KRUCZEK

Nowy szef ideologiczny w Kijowie

Na październikowym plenum KC Komunistycznej Partii Ukrainy zwolniono dotychczasowego sekretarza KC dla spraw ideologicznych — F. D. Owczarenkę, a na jego miejsce powołano Walentina Jefimowicza Małanczuka. Po odwołaniu w maju br. pierwszego sekretarza KC KP Ukrainy Piotra Szełesta do Moskwy, jest to najważniejsza zmiana personalna w partyjnym kierownictwie Ukrainy.

Owczarenko był protegowany przez Szełesta. W roku 1968 mianowano go na propozycję Szełesta na miejsce Andreja Daniłowicza Skaby. Ta zmiana była o tyle nieoczekiwana, że Owczarenko nigdy nie pracował w aparacie partyjnym, jest doktorem nauk chemicznych, a pilni czytelnicy teoretycznego miesięcznika KPU *Komunist Ukrainy* znali go tylko z jednego artykułu z roku 1964, pt. „Nowe drogi w chemii”. Łatwo jest wyjaśnić dlaczego Szełest zdecydował się na takie nieoczekiwane posunięcie, tym bardziej nieoczekiwane, że według obowiązujących norm partyjnych sekretarz ideologiczny powinien mieć doświadczenie w pracy partyjnej i gruntowne, przeważnie akademickie, wykształcenie w naukach społecznych. W połowie lat sześćdziesiątych zastrzyżyły się konflikty między biurokracją partyjną a inteligencją. Nawet część aparatu partyjnego popierała do pewnych granic żądania inteligencji ukraińskiej, a w pierwszym rzędzie powstrzymania rusyfikacji. Nie ma już dziś wątpliwości, że ten nurt był popierany przez Szełesta. Natomiast ówczesny sekretarz ideologiczny Skaba opowiadał się *de facto* za rusyfikacją. Potwierdziła to m.in. delegacja Kanadyjskiej Partii Komunistycznej, która w tym czasie odwiedziła Ukrainę celem zapoznania się na miejscu z problemami narodowościowymi. Krótco przed mianowaniem Owczarenki następcą Skaby zastrzyżyły się stosunki

między biurokracją partyjną a inteligencją w związku z kampanią przeciw powieści Olesia Honczara „Sobor”.

Szełest widział w chemiku Owczarence dobrego kandydata dla polityki wewnętrznej odprężenia. Wydarzenia potoczyły się jednak inaczej i stały się jedną z głównych przyczyn odwołania Szełesta do Moskwy. Odsunięcie Owczarenki było już tylko kwestią czasu. Rzadko w decyzjach partyjnych tego rodzaju poznaje się prawdziwą motywację, jak to się stało podczas październikowego plenum KC KP Ukrainy. Uchwała podaje, że Owczarenko został odwołany w związku z powrotem do pracy naukowej.

W. Je. Małanczuk, ur. 13 listopada 1928 roku w Chmelnyckyj (dawniej Proskurów) należy do partii od roku 1950, ukończył uniwersytet we Lwowie w tymże roku i tam rozpoczął swoją karierę. Był kolejno sekretarzem komsomołu okręgu lwowskiego i pracował później 12 lat w lwowskim aparacie partyjnym jako instruktor, lektor, kierownik oddziału nauki i kultury. W roku 1963 Małanczuk został sekretarzem dla spraw ideologicznych okręgowego komitetu partii we Lwowie. W tym samym roku uzyskał na uniwersytecie lwowskim tytuł doktora nauk historycznych za pracę pt. „Komunistyczna Partia — organizator rozwiązania narodowościowego problemu w zachodnich okręgach Ukrainy”. W roku 1967 odwołano go do Kijowa na stanowisko zastępcy ministra wyższego i specjalnego szkolnictwa Ukrainiejskiej SSR. W roku 1968 uzyskał tytuł profesora i wykładał na uniwersytecie kijowskim historię sowieckiej partii komunistycznej oraz teorię polityki narodowościowej KPZS.

Szefem ideologicznym Ukrainiejskiej Partii Komunistycznej został więc znowu specjalista dla spraw narodowościowych, uczony, a jednocześnie doświadczony „aparaczyk”.

Nie można uważać Małanczuka za prymitywnego agitatora albo ideologa szkoły stalinowskiej, którego klasycznym prototypem jest np. Susłow. Małanczuk należy do nielicznej jeszcze warstwy tych sowieckich intelektualistów, którzy swój umysł i swe serce chcą oddać partii, ale jednocześnie są świadomi tego, że metody i styl pracy oraz poziom ich publikacji powinny się odróżniać od dotychczasowych i — jak to się mówi w żargonie partyjnym — powinny „odpowiadać stale rosnącym duchowym i intelektualnym potrzebom inteligencji sowieckiej”.

Małanczuk już w przeszłości dowiódł, że doskonale nadaje się do takiej funkcji. Jego artykuły pojawiały się często w *Prawdzie*, często odważnie zabierał głos w różnych spornych sprawach. Małanczuk był jednym z tych ideologów partyjnych, którzy decydowali w jakich granicach mogła odbyć się rehabilitacja Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Gdy grupa historyków lwowskich próbowała rehabilitować Zachodnią Ukrainiejską Republikę z roku 1918 zaważył głos Małanczuka, domagającego się uznania tych prób za niezgodne z marksizmem-leninizmem i za obronę kontrrewolucji ukraińskiej. W ostatnich artykułach Małanczuk pokazuje, że jest fachowcem od spraw tzw. ukrainistyki w świecie zachodnim. W artykule zamieszczonym w miesięczniku

Woprosy istorii KPSS w roku ubiegłym zaatakował grupę amerykańskich uczonych, specjalistów od problemów ukraińskich, a również grupę ukraińskich ekspertów na Zachodzie a wśród nich W. Hołubniczego, I. Mesterenkę, zmarłego M. Kowalewskiego oraz innych, a m.in. również i grzesznego autora niniejszej notatki.

Małanczuk jest zdecydowanym obrońcą rusyfikacji Ukrainy. W swych artykułach, jak np. w zamieszczonym w miesięczniku *Filozofska Dumka* (Nr 4 z 1972 r.), występuje jako żongler cyframi i specjalista od przemilczania spraw nieprzyjemnych pod pozorami obiektywności.

We wspomnianym artykule Małanczuk patetycznie zaprzecza rusyfikacji ukraińskiego szkolnictwa. Roy Miedwiediew w swojej nowej książce „Kniha o socjalistycznej demokracji” podaje m.in. następującą informację: aby uratować w Kijowie resztę szkół z ukraińskim językiem wykładowym postanowiono, dla zachęty rodziców, prowadzić nauczanie niektórych przedmiotów... w języku angielskim. Szowinistyczna propaganda języka rosyjskiego doprowadziła do takiej deprecjacji i lekceważenia języka ukraińskiego, że stał się on dla niektórych Ukraińców mniej atrakcyjny od angielskiego.

Małanczuk jest mieszanym produktem stalinizmu i nowej konfliktowej sytuacji, w jakiej znalazła się sowiecka partia komunistyczna w swym własnym społeczeństwie w latach 60-tych. Byłoby śmieszne przypuszczać, że w intelektualnej i moralnej formacji osobowości Małanczuka doszukać się można chociażby śladów tradycji ukraińskich komunistów pokolenia Skrypnika.

Borys LEWICKYJ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:

6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kraj

Gospodarka krajowa

Istnieje zamówienie społeczne, wyrażone w listach od Czytelników, aby kontynuować rozważania — nawet w formie szerszej dyskusji — na temat wyzysku Polski przez Związek Sowiecki¹. W dziedzinie tej należy uważać, aby nadmiar szczegółów buchalteryjnych nie osłepił nas na szkody tzw. „systemowe”, niekiedy znacznie większe niż określone daniny, a wcale nie mające charakteru wyzysku. Do dziś dnia nie możemy zapomnieć Michałowi Korybutowi traktatu w Buczaczu i tych stu tysięcy czerwieńców, nie doceniamy natomiast, jakim dobrodziejstwem dla Polski i całej Europy był fakt, że różni Hunnowie, Mongołowie, Tatarzy, zadawali się haraczami i sporadycznymi rabunkami, a nie mieli ambicji narzucania własnego systemu. Wszystkie haracze nie kosztowały pewno więcej niż jedna katedra, a gdzie byłaby dziś Europa, gdyby w Średniowieczu ludność jej przez kilka wieków zamiast uprawiania roli zmuszana była do picia kumysu i uganiań na koniach między Pacyfikiem a Atlantykiem?

Poniżej kilka słów na temat polskiego handlu zagranicznego. Zgodnie ze sformułowaną tu zasadą więcej uwagi poświęcone będzie cechom systemowym niż cenom na odcinku Polska-ZSSR. Nie zapominajmy, że w okresie międzywojennym, w warunkach niepodległości i wolnych cen, Polska została wykrwawiona na białą na skutek wynaturzeń w ówczesnym systemie handlu międzynarodowego.

Polska dzisiejsza nie jest Polską przedwojenną ani geograficznie ani pod innymi względami. Światowy system handlu jest również zupełnie inny. Dla Polski obowiązuje jeszcze dodatkowo inny system, będący funkcją jej przynależności do obozu sowieckiego. W kraju zaznacza się zrozumiąta tendencja do dyskutowania na rzecz tego ostatniego czynnika wszystkich korzystnych zmian w gospodarce polskiej, choćby wynikały one głównie z innych czynników. Tak np. obecna Polska produkuje więcej węgla niż przedwojenna — głównie dlatego, że ma tego węgla trzy razy więcej. Ramy niniejszego artykułu nie pozwalają na dogłę-

1. Por. *Kultura*, wrzesień 1972.

ne traktowanie zagadnienia; musimy poprzestać na uwadze, że wszystkie zmiany, dodatnie czy ujemne, mogą wyphywać z trzech różnych źródeł.

Handel zagraniczny Polski współczesnej kształtuje się na poziomie znacznie wyższym od poziomu przedwojennego (vide tablica na str. 124 w *Kulturze* z września 1972). Już w 1965 roku poziom ten przekracza przedwojenny dziesięciokrotnie. Jednak nie jest to wzrost tak wysoki, jak byśmy mogli oczekiwać, uwzględniając otwarcie dla polskiego handlu granicy z sąsiadem wschodnim, przed wojną hermetycznie zamkniętej. Cały handel światowy wzrósł w tym okresie mniej więcej w tym samym stopniu, a w krajach takich jak Francja, Szwajcaria, Włochy, jeszcze więcej. Obroty handlowe ZSSR wykazują wzrost przeszło dwudziestokrotny. A więc przynależność do obozu nie dała tu wyników więcej niż przeciętnych. Przyczyną była decyzja czynników nadrzędnych (Stalina). Po pierwszym okresie powojennej odbudowy, gdy polski handel zagraniczny rozwijał się szybko i na wielu frontach, nastąpił regres wywołany wojną koreańską. W przewidywaniu powszechnej wojny państwa obozu otrzymały nakaz zawężania stosunków handlowych i przestawiania się na autarkię. Przystawianie następowało aż do polskiego Października. W okresie tym wzrost handlu zagranicznego Polski wyraża się cyfrą ok. 5% rocznie, a więc o połowę niższą niż np. wzrost produkcji przemysłowej. W okresie gomułkowskim obserwujemy powtórnie dynamizację handlu, który wzrasta ok. 10% rocznie, a więc szybciej niż dochód narodowy i produkcja przemysłowa. Jest to też wzrost większy, niż w większości krajów europejskich. Jednak uwzględniając wyjątkowo niski punkt wyjścia, ostateczna pozycja jest ciągle bardzo niezadawalająca. Obroty handlowe Polski w przeliczeniu na jednego mieszkańca są ciągle najniższe w Europie (z wyjątkiem ZSSR i Rumunii), jak wykazuje poniższa tablica:

OBROTY HANDLU ZAGRANICZNEGO NA 1 MIESZKAŃCA W 1970 R. (w dolarach USA)

Kraj	Import	Ekspert	Obroty
Bułgaria	211	233	444
Czechosłowacja ..	255	262	517
NRD	284	268	552
Polska	110	108	218
Rumunia	97	92	189
Węgry	238	224	462
ZSSR	48	53	101
Jugosławia	140	82	222
USA	194	207	401
Austria	480	386	866
Finlandia	562	491	1053
Dania	895	682	1577
Belgia	1133	1150	2283

Dane tej tablicy przemawiają z dużą siłą, gdyż obroty handlu zagranicznego są powszechnie uznawane za wskaźnik rozwoju gospodarczego (z wyjątkiem krajów zupełnie samowystarczalnych).

W ramach ogólnego wzrostu polskiego handlu zagranicznego nastąpiły znaczne przesunięcia w kierunkach i strukturze zarówno importu jak eksportu. Geograficznie na pierwszy plan wysuwa się blok państw kontrolowanych przez Rosję, który w dziedzinie ekonomicznej występuje pod szyldem RWPG (Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej). Rozwój stosunków handlowych Polski z poszczególnymi grupami krajów w ostatnim dwudziestoleciu ilustruje następująca tablica:

UDZIAŁ GRUP KRAJÓW W OBROTACH HANDLOWYCH POLSKI W LATACH 1950, 1960 i 1970 (w procentach)

Kraj	Import			Ekspert		
	1950	1960	1970	1950	1960	1970
Bułgaria	1,8	1,4	2,2	1,8	2,1	1,9
Czechosłowacja ..	13,2	8,5	8,6	9,2	8,5	7,5
NRD	11,5	12,5	11,1	13,9	9,4	9,3
Rumunia	1,7	1,4	2,0	2,0	1,8	2,2
Węgry	3,7	3,1	3,8	4,2	3,5	4,0
razem: ..	31,9	26,9	27,7	31,1	25,3	24,9
ZSSR	28,8	31,2	37,7	24,3	29,4	35,3
RWPG	60,7	58,1	65,4	55,4	54,7	60,2
EWG	11,9	9,8	10,3	9,1	9,9	11,5
EFTA	21,1	10,9	10,6	24,2	13,5	10,0
Kraje rozwijające się	3,2	6,8	5,6	3,4	7,5	7,7

(EWG = Europejska Wspólnota Gospodarcza, EFTA = Europejskie Zrzeszenie Wolnego Handlu = Austria, Dania, Islandia, Norwegia, Portugalia, Szwajcaria, Szwecja, Wielka Brytania).

Widać tu jasno, że wzrost handlu z RWPG łączył się z koncentracją tegoż handlu w rękach ZSSR. W ciągu ostatnich 20 lat udział niesowieckich członków RWPG w polskim handlu zagranicznym malał stopniowo, podczas gdy udział ZSSR wzrastał, dochodząc do 37,7% po stronie polskiego importu i 35,3% po stronie eksportu. Proces ten obejmuje przejmowanie przez ZSSR pośrednictwa w handlu między pozostałymi członkami RWPG. Niezależnie od korzyści materialnych daje to Rosji większą kontrolę nad działalnością ekonomiczną podległych krajów. Charakterystyczne jest, że proces ten postępował szczególnie szybko w latach 50-tych, a więc w okresie wzmożonej czujności politycznej i zmniejszania kontaktów z krajami kapitalistycznymi. O politycznym charakterze tego rodzaju koncentracji świadczą przykłady Chin i Rumunii. Udział krajów socjalistycznych (niemal

wyłącznie ZSSR) w handlu zagranicznym Chin spadł z 66 % w roku 1960 do 17 % w roku 1970. Trend dla Rumunii jest analogiczny choć na mniejszą skalę.

Tablica wykazuje znaczny spadek znaczenia handlu z Zachodem, zwłaszcza z blokiem angielskim (EFTA). Do pewnego stopnia jest to zrekompensowane wzrostem udziału krajów rozwijających się. Częściowo zachodzi tu bowiem odwrócenie zjawiska zaobserwowanego na odcinku RWPG. W ramach RWPG następuje koncentracja handlu w ośrodku imperium, na Zachodzie stary ośrodek imperialny, Londyn, przestaje już być pośrednikiem w handlu między swymi byłymi koloniami a Polską. Tak więc nie wszystko z wykazanego ubytku w handlu z EFTA jest ubytkiem rzeczywistym, i odwrotnie — nie cały wzrost w obrotach z krajami rozwijającymi się jest wzrostem rzeczywistym, czyli netto.

Struktura polskiego importu wykazuje dużą stabilność. Zarówno w okresie przedwojennym jak dziś paliwa i surowce stanowią grupę podstawową (60 % całości importu przed wojną, 53 % w 1950 roku, 48 % w 1970 roku), dobra kapitałowe tzn. maszyny i urządzenia — drugą (20 %, 32 %, 36 % odpowiednio), towary rolno-spożywcze — trzecią (ok. 10 % we wszystkich okresach) i towary konsumpcyjne przemysłowe — czwartą (10 %, 3 %, 6 % odpowiednio).

Natomiast po stronie eksportu następują poważne zmiany. Paliwa, surowce i towary rolno-spożywcze, które stanowiły 95 % polskiego eksportu przed wojną, a 80 % jeszcze w 1950 roku, zmalały do 46 % w 1970 roku. W tym samym czasie udział dóbr kapitałowych, które nie istniały na liście polskich eksportów przed wojną, wzrósł do blisko 40 % w 1970 roku. Powiększył się również znacznie udział towarów konsumpcyjnych przemysłowych (16 % w 1970 roku).

Na tle tych ogólnych danych można omówić rolę ZSSR w polskim handlu zagranicznym. Od tego dominującego partnera zależy Polska w całości swych dostaw ropy naftowej i sprzętu lotniczego; w 85 % dostaw rudy żelaznej i 60 % dostaw bawełny; w dużej części dostaw maszyn i urządzeń, zwłaszcza w formie gotowych obiektów, oraz pewnej części artykułów spożywczych i konsumpcyjnych przemysłowych. Zaspokojenie potrzeb tego partnera określa trzecią część polskiego eksportu, a przez to w dużym stopniu ogólny kierunek rozwoju gospodarczego Polski. Do ZSSR idzie ponad 50 % polskiego eksportu towarów przemysłowych — kapitałowych i konsumpcyjnych — i cynku, 25 % eksportu węgla. W sumie dostarczyła Polska Rosji blisko 600 statków o łącznej nośności 3 milionów ton (ok. 25 % całości sowieckiej floty handlowej). Polskie fabryki wagonów, koparek, wind itd. pracują w ogromnej części na zamówienia rosyjskie. Współpraca na taką skalę jest korzystna dla polskiego przemysłu, gdyż zapewnia długie i pełne ciągi produkcyjne. Po stronie minusów takiego układu trzeba zapisać niebezpieczeństwo zafacjaniania technicznego, płynącego z braku konkurencji, operowania na rynku stosunkowo prymitywnym i prowadzenia handlu na

zasadach nie ekonomicznych, a biurokratycznych. Za przykład tak pojmowanej działalności handlowej może posłużyć Nowa Huta. Olbrzymi ten kombinat, jeden z największych na świecie, pracuje głównie dla Rosji, używając polskiego węgla i sowieckiej rudy. Umieszczono ją bliżej węgla a dalej od rudy, zgodnie z wymogami XIX wieku, gdy w produkcji stali zużywano 4 tony węgla na każdą tonę rudy. Obecnie nauczono się oszczędzać węgiel, a rudy stają się coraz uboższe, więc proporcje te nie mają już zastosowania. Aby obniżyć koszt transportu dowozi się obecnie do Nowej Huty nie rudę, a surówkę, co wymaga wstępnej przeróbki w ZSSR; ponieważ Nowa Huta dostarcza w dużym stopniu nie gotowe produkty a pół-fabrykaty, po kolejnej przeróbce w Polsce musi nastąpić jeszcze jedna przeróbka w ZSSR. W sumie jest dużo wożenia i manipulowania milionami ton na setkach kilometrów. Nie wiadomo która strona lepiej wychodzi na tych transakcjach, ale możliwe jest, że obie strony są poszkodowane.

Istnieją podstawy do obaw, że tylko strona polska jest poszkodowana w wyniku rozliczeń multilateralnych. Tak się składa, że Polska ma dodatni bilans z krajami zachodnimi, jednak zdołała w ten sposób nadwyżki traci na skutek rozliczeń z ZSSR i resztą RWPG. Od dawna słychać było krytyki, że ogromny eksport statków do ZSSR jest dla Polski w rzeczywistości nieopłacalny, bo rozliczenia między Polską a ZSSR nie uwzględniają dość dużej zawartości importu zachodniego (radary itd.) w tym eksporcie. Sprawa ta znalazła odbicie w wypadkach grudniowych, w następstwie których ZSSR udzielił Polsce „kredytów” w dewizach zachodnich.

Przedstawiony powyżej zarys sytuacji polskiego handlu zagranicznego odnosi się do okresu zamkniętego wypadkami grudniowymi. Naprawa systemu, która od tego momentu stała się przedmiotem licznych wypowiedzi urzędowych w Polsce, objęła również i dziedzinę handlu zagranicznego. Oficjalnym postulatem władz polskich na lata 1971-1975 jest modernizacja gospodarki polskiej, w którym to procesie handel zagraniczny będzie odgrywał rolę „wiodącą”; otrzymuje on bowiem prymat tempa wzrostu (ok. 11 % rocznie) przed innymi dziedzinami gospodarki. Jest to przyznanie się do niewłaściwego dotychczas pojmowania roli wymiany międzynarodowej i pierwsze publiczne odrzucenie autarkicznych założeń stalinowskich z lat 1950-tych. Tak pojęty rozwój handlu musi przynieść spadek roli ZSSR, zwłaszcza po stronie polskich importów, i wzrost roli krajów, od których można nabyć modernizację, a więc krajów Zachodu. O tym oficjalnie nie mówi się, ale widać to już z najnowszych statystyk. W roku 1971 obroty Polski z ZSSR wzrosły o 7,6 %, w tym po stronie importu o 4,6 %. Tymczasem z krajami niesocjalistycznymi wzrosły one o ok. 13 % i 15 % odpowiednio. Tendencja ta utrzymuje się i w roku bieżącym. Na podstawie krajowych szacunków, obroty z ZSSR osiągną w 1972 roku poziom „bliski 12 miliardów zł. dewizowych”, a więc najwyżej o 7 % więcej, niż

w 1971 roku. Ponieważ cały handel polski ma wzrosnąć o 10-11 %, więc udział Rosji w nim powinien spaść do ok. 33 %. Statystyki wykazują też korzystną zmianę w punkcie dla Polski bardzo dużym, mianowicie w „terms of trade”². W 1971 roku ceny polskiego importu spadły o 3,5 %, a eksportu wzrosły 2,9 %, czyli współczynnik rentowności handlu zagranicznego podniósł się o 6,6 %. Jest to największy skok w tej dziedzinie w całej powojennej historii Polski. Nie wiadomo ile z tej podwyżki płaci ZSSR, ale ponieważ jest to partner dominujący więc przypuszczać można, że jego udział w tej podwyżce jest też niemały. W związku z tym nasuwają się nowe pytania. Jeśli nowe ceny są słuszne, to znaczy że stare ceny takowymi nie były. A w takim razie jak? Drugie pytanie jest bardziej ogólne: czy także w przyszłości każda wyglądać będzie sprawa kompensaty za ubiegłe lata? Nie chodzi o drobnostki — w zależności od udziału Rosji w tym niewinnym siedmioprocentowym ruchu „terms of trade” można np. wyliczyć, że w ciągu lat z dostarczonych przez Polskę 3 milionów DWT od 180.000 do 500.000 DWT dostarczonych zostało za darmo. korekta cen w handlu ze Związkiem Sowieckim wymagać będzie spalania kilku domów partii i zastrzelenia setek robotników?

Bohdan BRODZIŃSKI

2. Zwrot używany w Polsce. Zdumiewające, że mimo powodzi neologizmów językowych, zabrakło konceptu na przetłumaczenie go. W tekście używam jedno z możliwych tłumaczeń — „współczynnik rentowności handlu”.

Żeby nie zapomnieć...

Z dawnych lat zachowałem zamiłowanie do czytania *Polityki*. Mam przed oczyma dziwne losy tego pisma. Montowane w 1957 roku jako partyjna replika przeciwko nie uznającemu zwierzchności *Po prostu* — *Polityka* z biegiem czasu stała się pismem czytany przez krnąbrną elitę inteligentną i doczekała się w 1968 roku piętnowania ze wszystkich niemal partyjnych ambon. Czekano chwili, gdy powtórzy los *Po prostu*. Twórca pisma, Stefan Żółkiewski, doczekał się, iż najpierw zabrano mu redakcję, później ministerstwo, później wszelkie godności partyjne. Człowiek niszczący *Po prostu*, w marcu 1968 roku okupował wraz z zbuntowanymi studentami gmach Uniwersytetu Warszawskiego. Polska losy, polska historia.

Czytuję więc *Politykę*, która co prawda dociera z tygodniowym opóźnieniem, ale jest za to adresowana do „Wielmożnego Pana”. Rzadko zgadzam się z autorami czytanych artykułów, nasze punkty widzenia — ongiś jako tako zgodne — coraz bar-

dziej się oddalają, ale szanuję wysoki poziom dziennikarski, pasję ulepszenia czegoś oraz nadwiślański dowcip. Nie ma co prawda numeru, w którym bym nie dostrzegł jakiegoś rozmiągnięcia się z prawdą i nie najlepsze praktyki dezinformacyjne, ale są to grzechy relatywnie nikłe w porównaniu z innymi krajowymi pismami. Zdaję sobie sprawę z warunków pracy więc bardziej niż ten lub tamten grzech przeciwko obowiązkowi świadczenia prawdy cieszę mnie pełne filozoficznej refleksji felietony M., niepoczytalne w swej szczerości wybruki U., relacje Bywalca itd. Nawet żądanie zlikwidowania Izraela, które spłynęło spod pióra U., tylko na chwilę wyprowadziło mnie z równowagi. Bo ostatecznie na istnienie tego państwa U. nie ma wielkiego wpływu, natomiast w obliczu monachijskiej tragedii wrześnieowej pismo zachowało się godnie, w sposób różniący się od reakcji nie tylko prasy sowieckiej, ale i od wyczynów poniekąd gazet polskich.

Jeśli więc zdecydowałem się wystąpić przeciwko jednemu z materiałów, opublikowanych w *Polityce*, czynię to dość niechętnie, zmuszony okolicznościami, które uważam za istotne, nie pozwalające na przemilczenie. Chodzi mi o artykuł Jana Wyki o Ignacym Robb-Narbutcie, opublikowany z okazji 14-jej rocznicy śmierci tego ostatniego (*Polityka*, Nr 34, 19. VIII. 1972).

Najpierw o autorze: Jana Wykę poznałem mniej więcej w tym samym czasie co i Robba, czyli u schyłku pamiętnego roku 1956. Wyka odegrał wówczas rolę, którą nie zawaham się nazwać historyczną i źle byłoby, gdyby przyszedł historyk „Polskiego Października” rolę tę pominąć. Wyka, Dąbrowszczak, stary komunista, pracownik wydziału Kultury KC PZPR był wówczas jednym z najgorętszych oratorów komunistycznej opozycji demokratycznej. Październik zrodził wielu oratorów, ale Wyka się wśród nich wyróżniał m.in. tym, że pracując w KC musiał mieć sporo odwagi, by wyłamać się spod powłoki dyscypliny partyjnej. Zresztą, z tego samego powodu, narażał się o wiele więcej niż inni. Zapłacił za to usunięciem z pracy i przeniesieniem na chudą emeryturę. Rok później należał do tych, którzy na znak protestu przeciwko zamknięciu *Po prostu* oddali legitymację partyjną. Było wielu, którzy o tym skrycie myśleli, ale niewielu się na to zdobyło.

Wyka zaskarbił sobie wówczas zacieklą nienawiść aparatu partyjnego z samym Gomułą na czele, która spowodowała trwały zakaz publikowania. W stosunku do wszystkich innych — zakazy uchylano, w stosunku do Wyki utrzymywano w mocy. W 1969 roku rozmawiałem z WM, który Wykę bardzo lubił i nie wątpię, że chciał mu pomóc. WM był wówczas osobą bardzo wpływową, ale próba opublikowania kilku wierszy Wyki na łamach jakiegoś czasopisma doprowadziła Gomułę do wściekłości.

Być może, że coś przeoczyłem, ale artykuł siedemdziesięcioletniego obecnie Wyki jest pierwszym zauważonym przeze mnie, publicznym przypomnieniem jego nazwiska.

Niestety, zadowolenie z tego faktu zmącone jest pewną dozą rozgoryczenia. Nie wiem ile w tym ręki cenzury, ile samocenzury, ile wreszcie odmienności spojrzenia, ale portret Robba, naszkicowany przez Wykę różni się zupełnie od tego, jaki utrwalił się w mej pamięci. A znaliśmy tego człowieka nie w różnych okresach jego życia — zarówno ja jak i Wyka mamy w pamięci Narbutta z tych samych lat.

Oto życiorys Narbutta w relacji gazetowej: „Ignacy Robb-Narbutt (1912-1958), przed wojną czynny w organizacjach OM TUR i ZNMS, związany z grupą literacką „Przedmieście”. W czasie okupacji był jednym z dowódców GL i AL na Kielecczyźnie a później Lewej Podmiejskiej. Pułkownik WP. W 1945 zostaje wiceministrem O(brony) N(arodowej)”.

A poniżej relacja Wyki: „Miejscem naszych spotkań (w latach 1955-1958) był głównie Związek Literatów Polskich. Obaj przecież byliśmy pisarzami i komunistami [...] Robb-Narbutt wierzył w nieprzemijającą, pozbawioną adaptacyjnych upiększeń, historyczną spuściznę polskiej rewolucyjnej Lewicy”.

Nadzieżdza Mandelsztam wspomina jak jej mąż ostrzegał kiedyś Borysa Pasternaka: „Uważajcie, oni jeszcze kiedyś wezmą i was usynowią!” Jak wiemy, takiemu usynowieniu Pasternak zapobiegł. Ale mimo „Doktora Żiwago” zabiegi adopcyjne w stosunku do Pasternaka ponawiają się coraz częściej. Nie da się ukryć — ustrój lubi umarłych. Przy całym szacunku dla Wyki, muszę stwierdzić, że artykuł o Robbie jest właśnie zabiegiem adopcyjnym.



Poznałem go, jak już napisałem, w 1956 roku. Spotykaliśmy się również bądź u dziennikarzy, bądź u literatów. Był to okres długich rozmów w Warszawie, ludziom otworzyły się usta, ludzie niewiele rozumieli z tego co się dzieje, ludzie starali się zrozumieć. Narbutt chyba w każdej rozmowie wracał do przerwano wątku, do pytań — jego bardziej chyba niż mnie drażących, po tym wszystkim co przeżył, a o czym ani słowa w artykule Wyki: „Jest pan historykiem, dobrze z pamięcią o tym wiedział! Pan ma dobrą pamięć, pan to zapamiętał!”

Bogiem a prawdą, historykiem byłem wówczas początkującym i to dość nieśmiało, do rozmów ze mną Robba zachęcał raczej nie mój skromny dorobek naukowy, lecz udział w ruchu październikowym na Żeraniu i w wojsku.

Należałem do stutysięcznego tłumy, który przed Pałacem Kultury śpiewał Gomułce „Sto lat”. Byłem rozentuzjasmowany „Październikiem”, wierzyłem w komunizm z ludzką twarzą... Jaka siła zdoła się przeciwstawić narodowi, gdy jest on zdecydowany bronić swych praw i sprawiedliwości?

Narbutt gasił mój optymizm. Nie wierzył w komunizm i nie uważał się wtedy za komunistę. Może kilka sprostowań do życiorysu: Podano w nim, że w 1945 roku został wiceministrem ON. To błąd, przeoczenie, był tylko zastępcą wiceministra, też ważne

stanowisko, drobiazgi nieistotne w obliczu historii. Ważniejsze, że stanowisko to piastował tylko przez chwilę. Z wojska został wypchnięty bardzo szybko na stanowisko komendanta SOK, Służby Ochrony Kolei — czego do historii nie należy podawać. A w dwa lata później stał się jednym z pierwszych aresztowanych komunistów. O tym życiorys milczy, a to milczenie gruntownie zmienia drogę życiową Narbutta!

Spotkałem w życiu wielu komunistów, którzy przeszli przez stalinowskie więzienia. Rozmaici ludzie w sposób dość rozmaity przeżywali konfrontację idei „więzienia dla innych” z praktyką „więzienia dla siebie”. Narbutt przeżył tę konfrontację w sposób uczciwy. Jak już stwierdziłem, do komunizmu nie wrócił. Nie pozwalał do siebie mówić ani per „towarzysz” ani przez „wy”.

„Wie Pan” — zaczął któregoś wieczoru — „w 1936 roku Komitet Centralny KPP delegował mnie, by wraz z Karolem Natansonem i Henrykiem Dembińskim prowadzić rozmowy z Mieczysławem Niedziałkowskim w sprawie jednolitego frontu. Mówię: delegował, ale właściwie i ja i Dembiński byliśmy smarkacze, ideowi, za to zupełnie zieloni w polityce, zwłaszcza w komunistycznej polityce. Natomiast Natanson był starym wytrawnym demagogiem. Pan nic nie wie o tych rozmowach, pan wie chyba tylko, że Niedziałkowski był lokajem burżuazji i zdrajcą klasy robotniczej. Bo przecież inaczej w PRL nie pisano...”

„Nie, Niedziałkowski nie był zdrajcą ani lokajem. Przeciwnie, gdy przyszliśmy do niego, nie ukrywał wcale swego przygnębienia ani postępami faszyzacji, ani tym, że skutki flirtu z Niemcami mogą drogo kosztować. Chciał jednolitego frontu. Nie sądzę tak tylko dlatego, że to mówił. W istocie rzeczy postawił nam Niedziałkowski jedno tylko pytanie — wcale nie ze sfery programów ani ideologii, nawet nie ze sfery taktyki partyjnej. Akurat wówczas odbywały się pierwsze procesy moskiewskie. I tu zwrócił się do nas Niedziałkowski w sposób następujący: Wyobraźmy sobie, że zawieramy porozumienie, jednolity front, obalamy istniejący rząd, dochodzimy wspólnie do władzy. Czy możecie mi zagwarantować, że po pewnym czasie nie zostanę uwięziony i stracony jak Kamieniew i Zinowiew, jak dwa lata temu Sochacki i Żarscy?”

Narbutt ciągnął: „Byliśmy przygotowani na to, że sprawa procesów moskiewskich wystąpi w dyskusji. Wie pan przecież jaka była taktyka w sprawie jednolitego frontu, Daniszewski o tym napisał przecież w „Etapach bolszewizacji KPP”. Zwracać się do góry socjalistycznej, po to, by demaskować jej wrogość do jednolitego frontu. Przecież i moment wybrano odpowiedni, nie po to by doprowadzić do jakiegokolwiek porozumienia, ale by zdemaskować górę PPS. Więc liczone, że Niedziałkowski nas zaatakuje, a my główniarze oddamy mu z nawiązką. Do tego byliśmy przygotowani. Ale nie byliśmy przygotowani do szczerej, uczciwej rozmowy. Cóż, i Dembiński i ja byliśmy młodymi komunistami, uczciwymi i głupimi. Nie potrafiliśmy z siebie wydusić słowa. Zdawaliśmy bowiem sobie sprawę, iż takiej gwa-

rancji dać mu nie możemy, chyba przeciwnie. Tylko Natanson zaczął coś deklamować o faszystach i zdrajcach”.

„To było do przewidzenia, że Niedziałkowski uchyli propozycję jednolitego frontu. W gruncie rzeczy procesy i jednolity front to nie była przypadkowa zbieżność. W skrytości ducha już wówczas zaczęła kiełkować we mnie myśl, że procesy były przez Stalina przygotowywane m.in. jako cios w możliwość porozumienia się komunistów z socjalistami. Później to sprawdziłem. W trzynastu tomach Stalina nie ma ani jednego słowa na temat jednolitego frontu, ani jednego słowa poparcia dla koncepcji Dymitrowa. Że pozwalał mu gadać i go nie zamordował? Jego sprawa...”

„Niedziałkowski... Przecież to był człowiek dużego formatu i miał do nas, młodych, zabłąkanych, dużo sympatii. Sam zresztą też nie był stary i też był buntownikiem. Gdy aresztowano Dembińskiego i wytoczono mu proces, Niedziałkowski wystawił mu legitymację członkowską PPS, dając w ten sposób całej grupie wileńskiej osłonę legalnej opozycji”.

Najczęściej rozmowy skręcały ostatecznie na temat, który go najmocniej animował, na narodziny Polski Ludowej. „Wie pan, jesienią 1944 staliśmy nad Wisłą. Przypatrywałem się z mojego przyczółka tej całej hecy. Byłem zastępcą dowódcy dywizji (bodajże 6DP, o ile pamięć mnie nie myli — J.L.), dużo widziałem, w wielu sprawach tak czy inaczej brałem udział. Ta walka przeciwko AK, przeciwko 'zapłutemu karłowi reakcji' wcale nie była nieuchronnością, bo nie przez AK była narzucona. Na moim odcinku przeszły Wisłę duże oddziały akowskie. Ci ludzie chcieli walczyć razem z nami. Pan wie, że nie pozwolono mi ich wciągnąć do dywizji? Żeby pan wiedział, co z tymi ludźmi zrobiono... Przecież na tym tle powstał mój pierwszy konflikt z władzą ludową, który się ciągnął aż do aresztowania. Na śledztwie też mi przypomniano porozumiewanie się z AK”.

„Niech mi pan powie — męczę się nad tym problemem od 1944 roku — dlaczego od samego początku PRL postawiła na współpracę z kolaborantami? Nie chodzi mi o kolaborantów z okresu okupacji, tego też nie brakowało, o tym wiemy, ale o kolaborantów w ogóle, ludzi sprzedajnych, nikogo i niczego, nawet samych siebie nie reprezentujących. Nieważne nazwiska, pan zna jednych, ja znam drugich. Dlaczego odpychano lub wsadzano wszystkich ideowych, wszystkie ideowe grupy polityczne? To przecież nie była głupota, to był przemyślany system polityczny!”

Pytanie było retoryczne. Ja byłem jeszcze bardzo daleko od możliwości odpowiedzi na nie. Ale nie opuszczało mnie ono latami. Próbuje na nie odpowiedzieć sobie jeszcze teraz. Narbutt był o wiele bliższy odpowiedzi. Ale i on nie mógł do końca odpowiedzieć. Był na to zbyt sterany życiem. Więzienie nie przeszło bez śladu. O tym w życiorysie też ani słowa, że jego wczesna śmierć, nim zdołał wypowiedzieć się jako pisarz i jako polityk, nastąpiła jako skutek jego więziennych przeżyć.

Proszę nie myśleć, że oskarżam Wykę. Jeśli wczytać się w jego artykuł, to przy jakimś wtajemniczeniu w sprawy peerelowskie odnajdzie się coś, co jest aluzją do prawdziwego stanu rzeczy. Coś o przyjaźni z Jerzym Kornackim, także już więźniu Gomułki, już popaździernikowym, coś o dominacji odwagi cywilnej, której brak odczuwają ci w mundurach. Ale trzeba być wtajemniczonym...

Tak samo jak mało kto wie, że syn Robba, nie mogąc z powodu niearyjskiego ojca studiować w Polsce, emigrował w 1969 roku, że córka Krystyna poszła w 1968 roku do więzienia za protest przeciwko wkroczeniu do Czechosłowacji.

Proszę nie myśleć, że drę szaty, że rzucam gromy na Wykę czy też na redakcję *Polityki*. Zbyt dobrze znam mechanikę ustroju w PRL, by to robić. Przeciwnie, jeśli się zastanowić, to należy dla Wyki mieć uznanie. Chciał przypomnieć przyjaciela, pisarza któremu zabrakło życia by się wypowiedzieć, człowieka doprawdy o wielkiej wartości, skazanego przez komunistów (czy też członków partii) na zapomnienie, a który właśnie wskutek swej komunistycznej przeszłości nie znalazł drogi do społeczeństwa.

Na swój sposób najlepsze co mogła zrobić i redakcja *Polityki* — poświęciła całą stronę człowiekowi, o którym przecież wiadomo wśród wtajemniczonych, że był odstępca. Za to można dostać po kościach!

W warunkach tzw. socjalizmu piszący ma cztery prawdy, my stamtąd, którzy trzymaliśmy kiedykolwiek pióro w rękę, wiemy o tym coś niecoś. Istnieje prawda własnej niewypowiedzanej myśli, która się przeinacza z chwilą, gdy ją wypowiadamy publicznie. Istnieje prawda pisania, dostosowana do wymogów cenzury, prawda już zdeprawowana kompromisem, płaskością, niedopowiedzeniem, ugodowością. A mimo to, później, za naszym podpisem ukazują się często zdania, które wskutek wykreśleń i dopisków nie naszą ręką zrobionych są tak dalekie od naszej, już niepoznawalnej myśli. I to jest czwarta prawda. Jaki był wzajemny stosunek tych czterech w tym przypadku nie wiem, zresztą, czy to takie ważne?

Narbuttowi wiele zawdzięczam. Dlatego czuję się w obowiązku spróbować w miarę możliwości zetrzeć z jego oblicza szminkę nieprawdy.

Józef LEWANDOWSKI

Góra urodziła mysz

Wizyta premiera Piotra Jaroszewicza w Szwecji (23-25 października), tak szumnie w Polsce rozreklamowana, przeminęła w Szwecji zupełnie nie-

postrzeżona. Daremnie szukałem w codziennej prasie stołecznej wspólnego szwedzko-polskiego komunikatu. Ani śladu. Jedynie wieczorny *Aftonbladet*, organ Związków Zawodowych (zbliżony do socjal-demokratycznego rządu) zamieścił grzecznościowy artykuł wstępny. Poranny *Dagens Nyheter* zamieścił program pobytu Jaroszewicza i delegacji polskiej. I na tym koniec. Natomiast wielkie dzienniki opozycyjne wykorzystywały wizytę Jaroszewicza, aby w artykułach na stronie wstępnej zamiast powitania wyciągnąć sprawę Żydów polskich i pozbawienia ich emerytur, sugerując premierowi szwedzkiemu poruszenie tej sprawy w czasie rozmów. Jedynie prorządowy *Arbetet* w Malmö i göteborgski liberalny organ sfer przemysłowo-handlowych, *Göteborgs Sjöfarts och Handelstidningen*, śledziły wizytę a rewelacje *Handelstidningen* zapewne nie sprawiły przyjemności polskiej delegacji. Wynikało z nich wcale niedwuznacznie, że Polacy do wizyty byli całkiem nieprzygotowani, że byli zupełnie nieobeznani z terenem szwedzkim i jego stosunkami, że przyjechali z wygórowanymi żądaniami i wrócili z kwitkiem.

Nie przypominam sobie aby jakkolwiek oficjalna wizyta sąsiedniego kraju albo kraju z którym Szwecja utrzymuje żywe i rozległe stosunki gospodarcze pominięta była prawie że milczeniem. Gdyby nie telewizja i radio szwedzkie, mało kto by o wizycie cokolwiek wiedział. Inaczej było w takich wypadkach przed wojną. Pamiętam wizytę Józefa Becka w 1937 roku w Helsinkach. Aczkolwiek była to wizyta grzecznościowa i nie zamierzano podpisywać żadnych dokumentów i zawierać układów, był szum w fińskiej prasie a w skandynawskiej plon artykułów nader bogaty.

Jaroszewicz przyjechał z wielką delegacją — można powiedzieć, że prawie połowa rządu była w Stockholmie. Towarzyszyli mu: ministrowie T. Olechowski, Jerzy Szopa (Żegluga), Marian Słowiński (Zdrowia), Tadeusz Wrzaszczyk (Przemysł), Henryk Kisiel (Planowania Gospodarczego), podsekretarze stanu Józef Czyrek (wiceminister Spraw Zagranicznych), W. Janiurek, Józef Talma (wiceminister Przemysłu), W. Waniewski, Jan Górecki (dyrektor Wydziału Bezpieczeństwa Prezydium Rady Ministrów), szereg innych dygnitarzy oraz 20 dziennikarzy.

Oczekiwano widocznie od wizyty wiele, skoro premier wyjechał z tak wielkim gronem ministrów i wiceministrów, ekspertów i dziennikarzy mających nadać rozgłos tej wizycie.

Tydzień przed przyjazdem Jaroszewicza i jego świty rząd szwedzki otrzymał dezyderaty Jaroszewicza.

Jak informują dobrze zazwyczaj poinformowane źródła obszerna lista polskich życzeń obejmowała przede wszystkim następujące najważniejsze punkty: 1) zwiększenie o miliard koron polskiego importu ze Szwecji w ciągu najbliższych trzech lat; 2) uzyskanie długoterminowych kredytów szwedzkich w wysokości pół miliarda koron; 3) wyrównanie reszty deficytu w polskim bilansie handlowym ze Szwecją zwiększeniem importu do Szwecji towarów polskich; 4) utworzenie mieszanych polsko-szwedzkich przedsiębiorstw ze szwedzkim kapitałem z tym, że Szwecja miałaby otworzyć granice celne dla tych towarów produkowanych w Polsce i prowadziłaby we własnym zakresie sprzedaż tych produktów na zagranicznych zachodnich rynkach; 5) wielki wzrost turystyki szwedzkiej do Polski. W tym celu zaproponowano ze strony polskiej zniesienie wiz, co w praktyce niewiele znaczyłoby, albowiem Polacy byłiby w dalszym ciągu uzależnieni od paszportów zagranicznych które trudno jest dostać i skrupowani ograniczeniami dewizowymi; 6) Niemalże dziesięciokrotne zwiększenie importu szwedzkiej rudy żelaznej do Polski w zamian za zwiększenie eksportu polskiego węgla i koksu.

Delegacji polskiej nie udało się załatwić w Stockholmie nic ze swoich dyzederatów. Polacy dowiedzieli się w czasie rozmów z premierem i ministrem Przemysłu i Handlu, że rząd szwedzki nie może udzielać kredytów, bo jest to sprzeczne z ustawodawstwem i że rząd nie zajmuje się zakupem

towarów. Handel w Szwecji jest prywatny i to samo dotyczy prawie że całego przemysłu. Żądanie otrzymania szwedzkiej rządowej gwarancji kredytowej jak i preferencji celnej spotkało się także z kategorię szwedzką odmową. Preferencje byłyby sprzeczne z umową GATT, do której Szwecja przystąpiła.

Nie ogłoszono nawet w czasie wizyty oczekiwanej przez tutejszych Polaków umowy zniesienia wiz w ruchu turystycznym między obu krajami. Polacy usiłowali powiązać tę sprawę z ich żądaniem zaprzestania przez rząd szwedzki udzielania azylu politycznego polskim uchodźcom. Na to Szwedzi zgodzić się nie mogli ze względu na swoją humanitarną tradycję. Poza tym obecna ciężka sytuacja na szwedzkim rynku pracy nie sprzyja takiemu posunięciu. Zapytany na konferencji prasowej czy wizy zostaną zniesione, Jaroszewicz odpowiedział: „W obecnej chwili wizy nie będą zniesione, ale możliwe że w przyszłości”.

Konferencja prasowa, o której jednak głucho w prasie, przekonała obecnych dziennikarzy, że Jaroszewicz był wynikiem swego pobytu w Szwecji rozczarowany. Jedyny konkretny wynik wizyty — to zawarcie konwencjonalnej umowy handlowej na dalsze 4 lata na podobnych co dotychczas warunkach. Zazwyczaj zawieranie układów i umów gospodarczych następuje w stosunkach międzynarodowych po długich i drobiazgowych obradach fachowców i specjalnych delegacji i dopiero po dojsciu do konkretnego rezultatu między stronami przyjeżdżają z wizytą w czasie której dochodzi do zawarcia czy podpisywania układów. Wizyta Jaroszewicza była typowym przykładem dyktantwa.

Atmosferę jaka panowała w delegacji polskiej oddaje najlepiej wypowiedź samego Jaroszewicza na konferencji prasowej.

Na pytanie czy może on dać przykłady pozytywnych wyników tej wizyty — odpowiedział: „Pozytywnych nie, negatywnych tak. Pozytywne chcemy dopiero stworzyć”.

Na pytanie czy zawarta umowa handlowa odpowiada życzeniom polskiego rządu, Jaroszewicz po namyśle stwierdził:

— Gdyby umowa nam nie odpowiadała to byśmy jej nie podpisali. — Jak wiadomo jesteśmy narodem niezbyt bogatym. Dorabiamy się. I my będziemy też bogaci. — Ale mamy swój honor narodowy. — Ale umowa nam odpowiada!

Jak mówią, wyjechał urażony, rozczarowany, bo nie poza frazesami i dobrymi życzeniami ze sobą przywieźć nie mógł. To co trzeba było uczynić przed wizytą będzie się dopiero robiło po wizycie. A więc rozmowy na szczeblu bankowym odnośnie ewentualnych kredytów, rozmowy na szczeblu handlowym co do ewentualnych możliwości ożywienia wymiany handlowej, itp. Dezyderaty polskie zawierały tylko jeden ciekawy szczegół: propozycję założenia polsko-szwedzkich mieszanych przedsiębiorstw oraz zapraszanie Szwedów do inwestowania w Polsce. Oznaczałoby to, że Polska chciałaby wyjść z jednostronnego związania się z Komekonem i zacząć, może skromną na razie, ale jednak pewną współpracę z kapitałem zachodnim.

Norbert ŻABA

Stockholm, w listopadzie.

Sprawy i troski

„Nouvel Observateur” o cudzoziemcach we Francji

„Niepokojące zmiany zachodzą we francuskim Urzędzie Opieki nad Uchodźcami i Bezpaństwowcami (O.F.P.R.A.). Sytuacja tej organizacji, pozostającej pod opieką ministra Spraw Zagranicznych i powołanej do stosowania we Francji Konwencji Genewskiej dotyczącej uchodźców, w ciągu ostatnich piętnastu lat, a w szczególności od maja 1968 roku, stale się pogarsza. Być może sytuacja ta jest już obecnie nieodwracalna: mówi się o zastąpieniu obecnego dyrektora Urzędu, Jean-Louis Pons, przez człowieka bardziej „kooperatywnego”.

Niezależność Urzędu, gwarantowana początkowo przepisami, nie oparła się zbiegającym się presjom ministerstwa, pod którego opieką pozostaje, a przede wszystkim ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Z Quai-d'Orsay napływają coraz liczniejsze i coraz bardziej nagłe interwencje, podejmowane na żądanie ambasad czy rządów państw obcych, które mają na celu skłonienie Urzędu do nieudzielania opieki ludziom, będącym w opozycji w stosunku do reżymu panującego w danym państwie.

Ze swej strony ministerstwo Spraw Wewnętrznych, które początkowo miało za zadanie wyłącznie wydawanie uchodźcom dokumentów, pozwalających im na przebywanie na terenie Francji, osiągnęło zmianę postępowania administracyjnego w tym zakresie; obecnie D.S.T. (Ochrona Bezpieczeństwa Wewnętrznego) i Wywiad odgrywają decydującą rolę przy udzielaniu zezwoleń na pobyt. Inaczej mówiąc decyzje O.F.P.R.A. zależne są od weta ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Co więcej — stworzenie nowego rodzaju uchodźców, tzw. „azyłowców”, czyni z niektórych cudzoziemców uchodźców „drugiej klasy”. Wreszcie coraz liczniejsi są uchodźcy, którzy choć prawidłowo wpisani do O.F.P.R.A., zostają dotknięci nieuzasadnionymi zarządzeniami wydalenia, z tego tylko prostego powodu, że ich obecność przeszkadza Raymond Marcellin lub jego koleżce z zaprzyjaźnionego państwa: w ten właśnie sposób, 6 października, zostało wydalonych sześciu uchodźców baskijskich, obywateli hiszpańskich. „Można sobie zadać pytanie — mówią pracownicy Urzędu — czy Francja kontynuuje stosowanie Konwencji Genewskiej...”.

Le Nouvel Observateur,
Paryż, Nr 415 z 23-29. 10. 1972 r.

Biuletyn Fundacji Kościuszkowskiej

W numerze 5 (254) *Biuletynu* Fundacji Kościuszkowskiej, wychodzącym w Nowym Jorku, a redagowanym przez jej prezesa Dr. Eugene Kusielewicz zamieszczony został artykuł polemiczny, pióra prezesa Fundacji, pt. „Bzdura absolutna p. Andrew Greeley'ego czyli poglądy 'specjalistów' na problemy etniczne” (tytuł angielski: „The utter nonsense of Andrew Greeley or how the 'Specialists' look at Ethnicity”).

W wymienionym artykule Dr Eugene Kusielewicz rozprawia się surowo z badaniami etnicznymi prowadzonymi przez Dr. Andrew Greeley, który między innymi przypisuje Amerykanom polskiego pochodzenia tendencje rasistowskie.

Nie wchodzimy w meritum wywodów Dr. E. Kusielewicz, który w kontekście zawiłych problemów szkolnictwa amerykańskiego stara się oczyścić Polonię Amerykańską z zarzutu rasizmu. Chcemy natomiast zwrócić uwagę na pewien ustęp, który znalazł się na str. 2 omawianego *Biuletynu*: „W ciągu ponad stuletniego okresu zaborów i podziału Polski — pisze Dr Kusielewicz — jedynymi szkołami, do których wolno było chodzić Polakom, były szkoły rosyjskie i niemieckie”.

To osobliwe i nieprawdziwe zdanie winno wzbudzić zdziwienie u czytelników *Biuletynu*, zwłaszcza jeśli się zważy, że Dr Eugene Kusielewicz jest profesorem nadzwyczajnym w St. John University i wykłada, albo wykładał tam, historię, a jego teza doktorska złożona u prof. Oskara Haleckiego dotyczyła historii narodów Europy Wschodniej.

Czyżby Dr E. Kusielewicz nie wiedział nic o tym, że w zaborze austriackim, czyli w tzw. Galicji, na wszystkich szczeblach nauczania istniały polskie szkoły z polskim językiem wykładowym?

Takie osobliwe błędy czy przeoczenia mogą się zdarzać nawet najlepszym fachowcom, do których, nie wątpimy, należy Dr Kusielewicz. Tym większe więc zdziwienie wywołać musi nowe *curiosum*, które odnaleźliśmy w innym numerze tego samego *Biuletynu* Fundacji Kościuszkowskiej z marca 1972 roku. Artykuł, zamieszczony tym razem bez podpisu, dotyczy działalności Ośrodka Studiów Polskich, tzw. „Orchard Lake Schools”, a w szczególności książki wydanej przez Ośrodek pt. „Poland”. Szereg zarzutów skierowanych pod adresem redaktorów tego dezinformującego o Polsce dziełka wydaje się słuszny, natomiast w pewnym miejscu natrafiamy na *passus* świadczący już nie o przeoczeniu, ale o braku elementarnej wiedzy historycznej u autora polemiki, który ostro krytykując niedbalstwo i bez troskę, cechującą Ośrodek Studiów Polskich w Orchard Lake, pisze: „... na str. 55-tej (krytykowanej przez *Biuletyn* książki — dop. Redakcji) dowiadujemy się o narodowym powstaniu ukraińskim. W wieku XVII nie było jeszcze narodu ukraińskiego. Nacjonalizm ukraiński był produktem XIX-go stulecia. Jak więc można mówić o jego istnieniu 200 lat wcześniej?”

Twierdzenie, że naród ukraiński powstał dopiero w wieku XIX jest do wodu nie tyle jakiej ignorancji. Oczywiście ustalenie dokładnej daty ukształtowania się poczucia więzi narodowej wśród jakiegokolwiek grupy etnicznej, plemiennej lub wieloplemiennej, jest przeważnie bardzo trudne.

Niemniej wskazanie XIX wieku jako okresu powstania narodu ukraińskiego, zwłaszcza gdy ujęte jest w formie admonicji pod adresem autorów książki „Poland”, jest poważną gaffą ze strony redaktora *Biuletynu*, który powinien zwracać baczniejszą uwagę na to co drukuje.

Trudno nam przypuszczać, żeby Dr E. Kusielewicz nie wiedział nic o dziejach Rusi Czerwonej, o Rusi Halicko-Wołyńskiej ani o najwcześniejszych zabytkach piśmiennictwa ukraińskiego jakim była pierwsza drukowana w roku 1574-tym książka „Apostoł” i pierwsza wydana po ukraińsku biblia, która ukazała się kilka lat później. Jeśli jednak tak, to jak wytłumaczyć nieprawdopodobny ustęp, który znalazł się w *Biuletynie* Fundacji?

Nasuwają się tylko jedna odpowiedź: Dr Kusielewicz uważa że do wieku XIX-go istnieli tylko „Rusini”, a dopiero później „Ukraińcy”. „Rusini” nie byli narodem, a „Ukraińcy” — byli. Wbrew jednak temu, co może bezzasadnie przypisujemy Dr. Kusielewiczowi, nie mogą sobie inaczej wytłumaczyć osobliwości, którą zamieścił w *Biuletynie*, Ukraińcy i Rusini — to jedno, choć samo słowo „Ruś” bez przymiotnika jest określeniem wieloznacznym. Np. „Święta Ruś” w konwencji literackiej oznaczała po prostu Rosję, zaś Ruś Kijowska była państwem, z którego później w drodze wojen i zmian dynastycznych wyłoniło się Księstwo Moskiewskie. Nie będziemy się spierać o to czy Ukraińcy są starszym narodem od Rosjan, bo to jest sprawa co najmniej dyskusyjna, natomiast nie można zezwalać na bzdurę, która genealogię narodu uzależnia od powstania chronologicznie późniejszej nazwy, znaczącej i oznaczającej to samo, natomiast różniącej się tylko brzmieniem.

Zbigniew BYRSKI

OSRODEK STUDENTÓW POLSKICH W PARYŻU

Pod patronatem ks. bpa W. Rubina powstała w Paryżu Fundacja Polskiego Ośrodka Studenckiego w Paryżu, której celem jest nabycie stałej siedziby. W skład Komitetu Honorowego Fundacji wchodzi:

Ksiądz Prałat Zbigniew BERNACKI, Rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji,

Dr Julian GODLEWSKI,

Dr Henryk FAREL,

Red. Michał KWIATKOWSKI,

Hr. Dorota LEDÓCHOWSKA,

Mec. Marc De MONTFORT,

Jean-Paul PALEWSKI, Przewodniczący Parlamentarnej Grupy Przyjaźni polsko-francuskiej,

Andrzej Książę PONIATOWSKI,

Inż. Mieczysław WRZECIAN,

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich we Francji,

Stowarzyszenie Polskich Deportowanych i Więźniów Politycznych we Francji,

Komitet Pomocy Artystom, Inteligentom i Studentom Polskim we Francji.

Komitet Wykonawczy Fundacji zaś składa się z następujących osób:

Janusz LASKOWSKI, przewodniczący;

Mieczysław WERNO, sekretarz generalny;

Leszek ZAŁUSKI, sekretarz;

Jerzy MAY, skarbnik;

Aniela TESLAR, skarbnik;

Maryla STRZAŁKO, członek;

Andrzej ZAŁUSKI, członek.

Fundacja zwraca się z apelem o zakup „cegiełek”. Koszt cegiełki wynosi 5 franków czyli 1 dolar lub 40 pensów. Nazwiska nabywców będą zamieszczone w złotej księdze a nazwiska osób zakupujących 20 lub więcej, będą wyryte na cegiełkach przyszłej siedziby.

Fundacja dysponuje już kwotą około 20.000 franków z czego 5.000 franków zawdzięcza hojnej dotacji Dr. Juliana GODLEWSKIEGO.

Datki należy wpłacać na konto pocztowe:

ASSOCIATION des ETUDIANTS POLONAIS en FRANCE

C.C.P. — PARIS 9654-50

4, rue de l'Odéon — PARIS VI.

zaznaczając na *FUNDUSZ*.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Dokumenty

Mijają lata ...

I

Mijają lata, które pokazują, że naród nasz w dalszym ciągu nie ma nic do powiedzenia i do decydowania w swoich najistotniejszych sprawach. Lata tym dłuższe, że przypadają na okres wielkiego rozwoju ekonomicznego narodów — ale tylko tych narodów, które mogą pracować i tworzyć samodzielnie, z pożytkiem dla siebie i dla innych.

Dlaczego mogą to również czynić narody nie tak dawno jeszcze kolonialne? Nikt nie ośmiela się odmawiać im prawa do wolności myślenia i działania. Jednocześnie dlaczego narody krótkowzrocznie i lęklwie tolerują pozbawienie tych praw nas i narodów dzielących nasz los w bloku, w którym znaleźliśmy się? Prawdopodobnie dla świętego spokoju. Czy jednak straszliwe skutki tej monachijskiej mentalności nie spędzają nikomu snu z powiek?

Mamy dość podnoszenia kłamstwa do rangi jedynej religii państwowej.

Mamy dość traktowania nas jako narzędzi, dobrych jedynie do pracy, jako przedmiotu ograbiania, oszukiwania i oglupiania.

Jakim prawem grupka ludzi, opierając się na obcej sile zbrojnej, ograbia nas, okłamuje i demoralizuje, rządzi owocami naszej pracy bez zdawania rachunku, pozbawia nas wolności i opierającego się na niej prawa do samodzielnego rozwoju i organizowania naszego życia społecznego według naszych ideałów, wyniszcza nas ekonomicznie, społecznie i psychicznie?

Jak długo jeszcze bezkrytycznie damy się faszerować zwietrzałymi mitami, które nie wytrzymują konfrontacji z rozumem? Podstawowym argumentem, aplikowanym każdemu oponentowi,

jest pałka gumowa, pistolet maszynowy, pokój przesłuchań służby bezpieczeństwa; ostateczną i naczelną formą przekonywania ideologicznego — gwarancja obcego państwa, które podtrzymuje mityczną doktrynę i realnych władców, ponaddyskusyjną i przywłaszczającą sobie atrybuty nieomylności i boskości „awangardej klasy robotniczej”.

Grupy rządzące w krajach socjalistycznych wysuwają konieczność obrony socjalizmu jako naczelną dewizę. Uważamy, że każda — absolutnie każda — doktryna społeczno-polityczna może mieć rację bytu jedynie wtedy, kiedy dopuszczalne jest teoretyczne, krytyczne i publiczne rozważenie wszystkich jej podstawowych założeń, również w związku z praktyką. Grupa ludzi, sprawująca totalne rządy w państwie, głosi poza tym, że doktryna ich jest jedynie naukowa i słuszna, i że jedynie ona może — i doprowadzi — do szczęścia społeczeństwo. Jednocześnie politycznymi metodami wyklucza się głoszenie jakiegokolwiek poglądu już nawet nie przeciwnego, ale próbującego krytycznie zastanowić się nad słusznością pewnych podstawowych zasad, wchodzących w skład tej „jedynej naukowej” doktryny.

Jeżeli krytyczne spojrzenie na założenia jakiejś doktryny czy idei jest milicyjnie i cenzuralnie wykluczone, oznacza to, że nie chodzi tu o obronę idei, a tylko o zabezpieczenie pozycji i nietykalskości grupy ludzi, którzy rozumieją, że pożyteczne jest dyktaturę totalną i wyzysk osłaniać ideologią i humanistycznymi hasłami.

Grupa rządząca w Polsce głosi socjalizm komunistyczny. Od lat dzierży wyłączną władzę dzięki obcym wojskom, urządza parodię wyborów, twierdzi, że tylko ona może być opiekunem socjalizmu. Co to za doktryna, że wymaga niezmiennych teoretyków, niemal kapłanów, wyłącznie wtajemniczonych w znajomość dobra i zła? Jeżeli — pod groźbą więzienia i karabinu — nie można krytykować jakiejś idei, to znaczy, że nie chodzi tu wcale o ideę.

Dość mamy tych kłamstw!

Dość cynicznego prania mózgow! Jeżeli jeszcze nie możemy fizycznie odrzucić tej narośli, to przynajmniej możemy się nie dawać okłamywać, łamać umysłowo i psychicznie.

Mamy prawo do swojego zdania.

Mamy prawo do wolności, mamy prawo do rozwoju.

Odrzucamy — jako nieuzasadnione — takie np. pojęcia jak „dyktatura awangardy klasy robotniczej”, niesprecyzowane, nie dające się zresztą sprecyzować i dlatego demagogiczne. Pojęcia klasowe służą grupie ludzi do utrzymania dyktatorskich rządów, bez odpowiedzialności i w imię interesów obcego państwa.

Odrzucamy rasistowskie, obskurantyczne pojęcia, na mocy których wywodzenie się z jakiejś klasy społecznej (pojęcie klasy spo-

łecznej zresztą jest prawie niemożliwe do zdefiniowania, tym bardziej dzisiaj) stanowi determinację człowieka. Ta bzdura, pachnąca rasizmem, jest jeszcze jedną mgławicą osłaniającą państwo, usprawiedliwiająca zorganizowany wyzysk mas. Nie chodzi nam o historyczne wartości doktryny socjalistycznej, które powstawały pod szlachetnymi i realnymi auspicjami. Chodzi nam o spożytkowanie tej doktryny w jej skostniałym kształcie XIX-wiecznym jako zasłony dla dyktatorskiego, totalnie zorganizowanego i upaństwowionego wyzysku.

Grupa władców spełnia wobec naszego narodu funkcję strażnika, strzegącego interesów obcego najeźdźcy. Dziś jednak nie wystarcza im niepodzielne dzierżenie władzy i korzyści. W totalizmie hitlerowskim pochwałę kata głosił sam kat, w totalizmie komunistycznym pochwałę kata głosić ma ofiara, dla wytepienia nawet potrzeby prawdy. Ci, którzy stawiają jedynie nieśmiały postulat obiektywizowania niektórych kanonów tego socjalizmu kamuflażowego, ci, którzy próbują wywodzić, że skoro doktryna socjalizmu komunistycznego jest tak wielka i prawdziwa, tedy nie może jej przecież zaszkodzić wolność opinii i dyskusji nad jej założeniem — ci wszyscy, nawet jeśli rekrutują się spośród oficjalnych wyznawców doktryny — są tępieni przez nieomylnych kapłanów socjalizmu komunistycznego, którzy oprócz funkcji kapłańskich z dziwną nieodmiennością dzierżą władzę. Tępienie polega na odsunięciu próbujących myśleć teoretyków od wszystkich wpływów materialnych i dydaktycznych, zostają oni nieraz pozbawieni środków do życia, a w końcu ochrzczeni mianem rewizjonistów i sługusów imperializmu.

Fakty jednak, łącznie z realną nieodpowiedzialnością przywódców rządzących partii komunistycznych — wskazują, że głoszony przez nich socjalizm to parawan totalizmu, że ów mit podtrzymywany jest totalnym terrorem, bez liczenia się z jakimikolwiek prawdami i wartościami. W naszych, polskich warunkach grupa władców spełnia jeszcze dodatkowo służebną rolę wobec obcego totalizmu, pilnując w Polsce realizacji jego grabieży. Dla utrzymania narodu w uległości i dezorientacji, dla zmuszenia go do bezwolnego wykonywania źle opłacanej pracy — obecne są w Polsce radzieckie siły zbrojne, rozwinięty aparat bezpieczeństwa, ustanowione religie państwowe. Kiedy zdarza się, że teoretycy marksistowscy, profesorowie marksizmu, w badaniach swoich dochodzą do momentu, w którym zaczynają poddawać poszczególne zasady socjalizmu komunistycznego rozumowemu roztrząsaniu i pragną konfrontować tę doktrynę jedynie z rozumem, nie z wydziałem administracyjnym, ideologicznym, czy jeszcze jakimś innym w KC — wówczas obserwujemy ciekawą reakcję ze strony „awangardy klasy robotniczej”. Przywódca, przeważnie człowiek,

który zakończył naukę na kilku klasach szkoły podstawowej, nawet nie usiłuje uciekać się do argumentacji logicznych czy racjonalnych; karci publicznie wychylającego się naukowca, napomyka coś o jego poziomie moralnym i prowadzeniu się, chrzci go rewizjonistą, insynuuje mu szereg ubocznych niegodziwości osobistych, nie zapominając przedtem pozbawić go pracy, a już zawsze — możliwości publicznej obrony teoretycznej. Kilka dni potem zastęp chórzystów partyjnych z odcinka nauki usmażyć musi potępienie dla wyklętego, nieraz powtarzając, dla większej swej hańby, gotowe zwroty z przemówienia sekretarza — arcykapłana. Mamy wielki szacunek dla tych członków partii, którzy w pewnym momencie, na przekór swej przeszłości — nieraz smutnej i podłej — potrafią wyżej postawić swoje sumienie niż uległość i wygodnictwo. Nie wspominały tu już o tępieniu w samym zarodku możliwości opracowania i wyznawania doktryny innej albo przeciwnej niż socjalizm.

W takich sytuacjach wychodzi na jaw, że strażnicy socjalizmu kamuflażowego posługują się socjalizmem (bardziej przy tym słowem, niż teorią) jako kolorem obronnym dla totalizmu. Sprawa postawiona jest nawet dość jasno. Kto próbuje choćby zastanawiać się publicznie nad zasadnością i naszą legitymacją do rządzenia, ten kała socjalizm, który w naszym wydaniu jest jedynie naukowy. „Socjalizm to tylko i wyłącznie my” — powiadają ci ludzie.

Grupa polskich przywódców partyjnych, postawiona przez obce państwo na czele PRL, pilnuje starannie, by wyniki pracy naszego narodu zostały za fikcyjnymi opłatami przekazane ich mocodawcom. Ci ludzie nie wahają się dla utrzymania narodu w uległości atomizować go, rozdrabniać, skłócać, stwarzać warunki prowadzące do osamotnienia, pauperyzowania, strachu. Dla utrzymania władzy nad nami wysługują się obcemu państwu przez pozbawianie naszego społeczeństwa podstawowych praw, należnych osobie ludzkiej. W historii udziałem takich ludzi jest hańba. Historia wydaje na nich wyrok bezwzględny.

Los nas umieścił w obręczy totalizmu. Totalizm, który jest dzieckiem naszego wieku, polega na skupieniu w rękach państwa wszelkich dziedzin działalności społecznej i politycznej — własności środków produkcji, zatrudnienia, związków zawodowych, organizacji politycznych i młodzieżowych, rozrywki, całości życia gospodarczego, administracji, milicji, decyzji ustawodawczych i wszystkiego, co ma jakiegokolwiek znaczenie społeczne. Państwo zaś, eliminując absolutnie opozycję, trzymane jest przez jedną grupę, wyłączny podmiot decyzji. Policyjnie zlikwidowane jest wszelkie działanie opozycyjne, środki masowego przekazu są w najdrobniejszych publikacjach podporządkowane grupie rządzącej

i nie zamieszczają żadnych artykułów ani doniesień które kwestionowałyby legalność czy słuszność działania tej grupy. Oto z grubsza obraz sytuacji w Polsce i w krajach bloku tzw. socjalistycznego.

Komitety centralne partii komunistycznych w Polsce i w innych krajach demokracji ludowej nie są suwerenne. Powołane są i kontrolowane stale, we wszystkich ważniejszych decyzjach, przez administrację partyjno-polityczną ZSRR. Jesteśmy tego świadkami i ofiarami, i fakt ten określa szereg zjawisk, zasadniczo wyjaśnia całą sytuację.

Nie możemy ulegać propagandzie, która nawet nie wysiła się na sprytniejsze wybiegi — musimy patrzeć realnie i konsekwentnie. Totalizm wraz z całym bagażem negacji zasad moralnych i wolności osoby ludzkiej nie może być lekceważony. Uniwersalnie głosi on doktrynę socjalizmu komunistycznego, przy czym jedynie wąska grupa przywódców partii komunistycznych w Moskwie określa, kto do tego socjalizmu należy, a kto nie. Kryterium uznania za prawdziwego socjalistę-marksistę stanowi przyjmowanie prymatu i komentarzy ZSRR jako obowiązującej wykładni socjalizmu. Poza takimi nie ma żadnych innych socjalistów marksistowsko-leninowskich, reszta to rewizjonistów.

Wprowadzając bezwzględny terror i wykluczając jakiegokolwiek sprzeciw w krajach podległych przy pomocy całego arsenału nowoczesnych środków służących do czynienia społeczeństw bezwolnymi — system ten, głosząc wyłączność i absolutny charakter swej doktryny, tępi rozwój umysłowy i moralny narodów uzależnionych. W procesie ubezwłasnowolnienia społeczeństw bazuje na ujemnych stronach natury ludzkiej — na chęci zysku, strachu, słabości charakteru, bezkonfliktowości moralnej i umysłowej. Grupy swoich funkcjonariuszy powołuje spośród przedstawicieli narodowości krajów podległych — dla skuteczniejszego zachowania pozorów. Grupy te nie wahają się dla korzyści materialnych przed pełnieniem funkcji strażników trzymających naród w uległości, okłamujących go mitologicznymi mirażami socjalizmu, komunizmu i podobnych religii politycznych. Ich rolą jest transmisja poleceń centrum czyli Moskwy.

Nie jest już modne ani pożyteczne dla imperializmu — w naszym przypadku dla sowimperializmu — likwidowanie wszelkich pozorów państwowości uzależnionych neokolonialnie narodów. Sowimperializm, który dysponuje najsprawniejszym aparatem propagandowym na świecie, powołał zatem do życia twory o wyglądzie państwowym — państwa-atrapy, w których za cenę posługiwania się językami narodowymi zmienia się społeczeństwa w formacje zorganizowanej, bezwolnej pracy. Stanowiło to poza tym dla aliantów zachodnich po II wojnie światowej alibi poli-

tyczne, maskujące neokolonializm sowiecki i maskujące odpowiedzialność samych aliantów za ten stan rzeczy. Sprawność tego zabiegu jest tak wysoka, że — przy konsekwentnej i totalnej propagandzie — ci, którzy wytwarzają dobra materialne, sami nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Za swoją pracę otrzymują uposażenie równe przeciętnie czterem parom butów średniej jakości albo kilkunastu kilogramom wędlin — wartość uposażeń bowiem można badać i oceniać jedynie pod kątem ich siły nabywczej. Niewolnik jednak nie może myśleć, porównywać, zastanawiać się, wybierać. Daje mu się państwową doktrynę jako jedynie naukową i jedynie godną uwagi, wyłącznie obowiązującą. Trzeba wykorzystać z niego pojęcia wolności, prawdy, Boga, ponadczasowych i obowiązujących wszystkich zasad moralnych, pozbawić go oparcia w poszukiwaniu i dążeniu do własnej wolności, pozbawić tęsknoty do poszukiwania prawdy i dobra. Na tym polegają zadania środków masowego przekazu w systemie totalitarnej atropy. Zamiast wartości zabronionych wprowadza się pojęcie „klasowej” moralności — którego się zresztą wcale nie precyzuje, gdyż jej zasady określa w dowolnym czasie i w dowolny sposób grupa przywódców partyjnych przy użyciu nie dającego się zobiektywizować ani określić pojęcia „interesu klasowego”.

Totalizm komunistyczny w uniwersalnym wydaniu, to stopniowe niszczenie osoby ludzkiej — to znaczy: wolnej, szukającej prawdy i lepszych rozwiązań ekonomicznych, duchowych, psychicznych, kulturalnych istoty, posiadającej prawo wyboru. W historycznej galerii tyranów nie ma równych grupie reprezentującej totalizm komunistyczny w technice okrywania zasłonami dymnymi, w technice sprawnego ujarzmiania narodów, w technice prania mózgow, a kiedy trzeba — w technice deportowania i eksterminowania.

Warto zaakcentować, że z wypracowanych historycznie form administracji państwowej uczyniono kanał dla konstruowania państwa-atrapy w celu podporządkowania narodu. Wszystkie instytucje o charakterze państwowym są kontrolowane przez jednostki i komórki partyjne, jakby nie wystarczało, że instytucje te i tak są kierowane przez wybranych członków partii. Partia nie ma zaufania nawet do swoich własnych członków. Przy okazji stanowi to źródło powstawania słonowatego przerostu biurokracji. Instytucje te: Sejm, rady narodowe, ministerstwa, główne urzędy, biura itp. — muszą być oczywiście służebne. Ale wcale nie należy ich likwidować, należy tylko zrobić z nich ruchome makiety. Podstawową zasadą, głoszoną bez osłonek, jest slogan o kierowniczej roli partii. Sejm złożony z kilkuset wyznaczonych członków PZPR (oraz dla kamuflażu — SD, ZSL, grupy PAX

i Znak), kompletnie pozbawionych znaczenia, nosi wobec narodu charakter agenturalny i możliwie sprawnie stara się utrwalić w mentalności szarego obywatela, że pałka milicyjna — to wola ludu (alias klasy robotniczej). Dla zagranicy, dla bloku wolnego, ma podtrzymywać mit demokratycznego państwa. Poza tym także służy państwu-atrapie jako biuro składające się z kilkuset ludzi, pracujących nad sformułowaniem w języku prawniczym poleceń grupy rządzącej.

Dobór kierowniczych stanowisk w instytucjach państwowych — jak też w przedsiębiorstwach i zakładach, co ma osobne groźne skutki ekonomiczne — opierać się musi nie na wartościach umysłowych i moralnych, ani na zasobie wiedzy, talentach czy umiejętności. Dobrym dyrektorem przedsiębiorstwa lub instytucji nie jest ten, kto dużo wie, ma swoje koncepcje, talenty i sprawność umysłową, a już kompletnie nie nadaje się ten, kto zdradza istnienie w sobie jakiegoś sumienia. Dobrym jest ten, kto wiernie transmituje polecenia partii — na pierwszym miejscu podporządkowanie i uległość wobec grupy strażników. Tu leży źródło zadziwiającego faktu, że w Polsce i w krajach podobnych utrzymuje się wysoki procent dyrektorów nie posiadających nawet średniego wykształcenia, a nierzadko nawet podstawowego. Jeżeli ktoś ma wiedzę i uczciwość, jest niebezpieczny, bo na pierwszą nikczemność, jaką mu polecą popełnić, może odpowiedzieć: „nie”, nawet kosztem wyższej od współbliźnich pensji i wysokiego stołka. Byłoby to dla mocodawców zbyt niewygodne i sprzeczne z zasadą „jednomyślności”, powszechnego zadowolenia i poparcia dla linii partii.

Grupa strażników używa poza tym szeregu sposobów propagandowych, służących do skuteczniejszego zdezorientowania i trzymania w uległości — dyktuje to konieczność dostosowywania się przez ludzi Moskwy do warunków lokalnych. Zostały stworzone instytucje wymyślonego lub przesadzonego niebezpieczeństwa, rozdmuchiwanego przez środki masowego przekazu, broszury i wydawnictwa — mają one odciągnąć uwagę społeczeństwa od własnego położenia. Grupa strażników jasno określa swoje stanowisko: „środki masowego przekazu to aparat władzy” a nie opinii publicznej, i: „kto nie uznaje kierowniczej roli partii, ten pragnie likwidacji socjalizmu” — święta prawda! Znamy ten natrętny język, szczyrzy zza niego zęby twardy totalizm, pełen pogardy dla odwiecznej tęsknoty człowieka — istoty rozumnej — do wolności, dobra, prawdy, konfrontacji.

Niesłuchanie groźnym zjawiskiem jest hamowanie rozwoju kultury, zanik samodzielnej myśli twórczej, wyjąwszy mało istotne dziedziny (filatelistyka, kanarki itp.).

Aby w obywatelach wzbudzić poczucie osaczenia, środki masowego przekazu wmawiają im wymyślone niebezpieczeństwa. Wmawiają im, że powinni siedzieć cicho, być posłuszni strażnikom, bo czyha na nich imperializm, kolonializm i holdingi, że NRF i odwetowcy rządzą tym światem, i że gdyby nie ZSRR, to wszyscy naraz pożarliby biednych słuchaczy.

Charakterystyczne dla gospodarki atrapii są dwie cechy: uzależnienie od sowimperializmu oraz monopolistyczny charakter. Nie trzeba dodawać, że odbijają się one ujemnie na gospodarce, wynaturzając życie gospodarcze i społeczne Polski i innych atrap Europy Środkowej i Wschodniej. Uzależnienie od gospodarki totalnego i bezwzględne sowimperializmu przejawia się w narzuceniu nam niekorzystnych warunków wymiany towarowej, zgodnych z interesami moskiewskiego centrum. Przejawia się to w następujących dziedzinach:

- w handlu zagranicznym, gdzie przytłaczająca większość eksportu idzie do ZSRR na warunkach, których się nie ujawnia i nigdy nie ujawniało — trudno, żeby złodziej demaskował swoje grabieże;
- w konieczności finansowania sfery wpływów komunizmu na świecie: Wietnam, Afryka, Czechosłowacja, pomoc partiom komunistycznym we Francji, we Włoszech — zarówno w towarach, jak w twardej walucie, zdobytej dzięki eksportowi do krajów strefy zachodniej towarów, których potem brakuje na rynku wewnętrznym. Naród wytwarza produkty, których nie może nabyć, ani z których nie może czerpać korzyści. Nieodpłatnie odprowadzane z kraju wartości materialne muszą doprowadzić nie tylko do haniebnego zanizania uposażeń, ale również dodatkowo do posunięć drenażowych (nieproporcjonalnie wysoko ustalone ceny, tzw. akcja oszczędnościowa, dodatkowe okazjonalne składki drenażowe np. na przeróżne fundusze);
- w tym, że — nazywając to okazywaniem „pomocy, przyjaźni i braterstwa” — sowimperializm narzuca państwom-atrapom przestarzałą technikę: np. przestarzałe, jeszcze sprzed II wojny światowej, urządzenia dla Nowej Huty, licencja Pobjedy i wiele innych;
- w niedopuszczaniu żywszych i częstszych kontaktów z zaawansowaną gospodarką zachodnią. Drastycznym przykładem będzie tutaj dramatyczna w skutkach dla gospodarki kraju odmowa przyjęcia pomocy w ramach planu Marshalla, która podniosła z ruin i unowocześniła gospodarkę Europy Zachodniej.

Wszystkie te czynniki zostały zachowane w ramach tzw. RWPG, która pod płaszczykiem pięknych haseł kryje dalsze uza-

leżnienie i bezradność gospodarki polskiej i innych krajów będących w podobnej sytuacji.

W samym kraju działalność gospodarza jest niedołączona, ponieważ jest to gospodarka monopolistyczna. Jej zasadnicze braki wynikają z faktu że w nieobecności konkurencji istnieją słabe bodźce dla obniżki kosztów i podniesienia jakości towarów (stąd produkuje się towary przestarzałe i tandetne), zaś społeczeństwu-konsumentowi daje się towar o wyższej cenie — bo i tak nie ma wyboru. Społeczeństwo, które jest wytwórcą — robotnicy, techniczna inteligencja oraz ogół zatrudnionych — otrzymuje skandalicznie niskie płace, stwarzające konieczność dorabiania „na lewo”, przekonanie o „niczyjości” majątku społecznego, brak zainteresowania pracą. W takich warunkach są to niestety naturalne odruchy psychiczne. Przynosi to jako produkt demoralizację społeczeństwa, wypaczenia dobrych i pożytecznych społecznie i ekonomicznie pojęć. Warunki pracy i płacy towarzyszące totalnie zorganizowanej pracy bezwolnej doprowadzają ludzi coraz częściej do lekceważenia samej idei pracy, do przyzwyczajania się do drobnych i większych kradzieży. Procesy te przyjmują coraz szerszy i głębszy charakter.

Stwarza się psychozę podejrzeń, inwigilacji, istnieje przekonanie, że miejsca pracy, którymi atrapia dysponuje, zależne są od zgody i opinii organów partyjno-politycznych; nie chodzi przy tym tylko o jakieś wyjątkowo korzystne zatrudnienie, ale o zatrudnienie w ogóle, ze względu na istniejący w tym systemie monopol pracy. Arsenał propagandowy odwołuje się stale do porównań aktualnych wyników gospodarczych i społecznych z okresem przedwojennym. Niezależnie od tego, że zestawia się tu nieporównywalne dane i okresy (idąc dalej konsekwentnie, należałoby się zachłystywać porównaniami z danymi z czasów Mieszka I), same porównania podbudowane są statystycznymi kłamstwami. Towarzyszy temu chroniczna ucieczka przed porównaniami z wynikami gospodarczymi krajów rozwijających się normalnie. Kłamliwe są także porównania z wczesnymi lub nawet późniejszymi fazami rozwoju kapitalizmu. Samo zresztą wprowadzanie i stosowanie pojęć „kapitalizm” i „socjalizm” do potocznego słownictwa ma charakter propagandowy, a słowa te pozbawione są wyraźnych konturów.

Cały bogaty dział środków propagandowego oszukiwania i oglupiania, którego od sowimperializmu uczył się Goebbels, stanowiąc będzie dalej przedmiot naszych rozważań. Zaznaczmy jednak na wstępie, że o słabości tej propagandy świadczy fakt, iż zeruje ona na monopolu publicznego przekazu, dając tym dowód niemocy umysłowej i moralnej głoszonej przez siebie doktryny.

Jednym z mitów, wpajanych w społeczeństwo, jest twierdze-

nie, że jedynie grupa KC PZPR jest w stanie zapewnić atropie ową pozorną autonomię. W tej kategorii mitów mieści się też slogan: „Polska może być niepodległa tylko jako socjalistyczna”, który — jeśli go bliżej rozpatrzeć — oznacza właśnie brak suwerenności polskiej atropii, zawierając przy tym wyraźną groźbę.

Wpaja się także w społeczeństwo mit, że jedynie ZSRR może Polsce gwarantować posiadanie Ziemi Zachodnich. Wobec kompletnego uzależnienia atropy PRL od ZSRR moment ten jest w gruncie rzeczy nieistotny, choć posiada pewne korzystne dla nas strony — fakt etnicznego wejścia naszego narodu na te ziemie. Jednak trwałe i prawdziwie dla nas korzystne posiadanie tych ziem gwarantować może jedynie nasza niepodległość i siła, wynikająca z siły całego bloku krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Mieliśmy już w historii gwarancje Katarzyny II i musimy wobec takich pojęć zajmować stanowisko realne. Smutnym kiedyś dla historyków będzie fakt, że jeden z dwóch współtwórców krwawej hekatombi II wojny światowej, mianowicie ZSRR, ośmiela się występować przed światem jako gwarant istnienia narodu, który pierwszy postawił tamę imperializmowi hitlerowskiemu.

Przywódcy stworzonego w Polsce państwa-atropy mają do wyboru albo w ramach swych możliwości walczyć o dobro narodu, narażając swe dochody, stanowiska i nawet życie, albo też spełniać posłusznie polecenia swych mocodawców. Rządy tych ludzi wskazują na to, że wybrali to drugie. Zdaje się, jakby w ich umysłach zakorzeniła się myśl, iż uczynili już tyle i posunęli się tak daleko, że jeżeli stracą poparcie mocodawców socimperialistycznych, to naród może ich pociągnąć do odpowiedzialności. Praktycznie sprawę stawiają następująco: rządźmy, będziemy rządzić, sami się kontrolujemy, nie możemy nie rządzić. Jeżeli ktoś podważa tę zasadę, jest to imperialista, rewizjonista, wróg ludu, zdrajca narodu.

Czy długo jeszcze będziemy służyć tego beczynie? Otóż nie. Nie chcemy żyć w obręczy alternatywy: albo pokornie pracować dla karmienia i podtrzymywania obecnego totalizmu i rodzimej atropy, albo starać się wcisnąć do nowej klasy karbowych.

Mamy zamiar wskazać trzecie wyjście.

Albowiem nie zapominamy o niepozbywalnym prawie do wolności i prawdy. Jesteśmy za wyborem ideałów, za dążeniem do piękna i harmonii, które chcielibyśmy pracowicie wpajać w nasze własne, przez nasz naród obmyślane i stworzone, korzystające z doświadczeń ludzkości ramy polityczne, społeczne i gospodarcze, zgodne z zasadami rozumu, sprawności działania i korzyści społecznej.

II

Konsekwentna i krytyczna analiza budzi sumienie, zmuszając nas do uznania konieczności nie tylko obrony przed stopniową degradacją do roli bezmyślnych niewolników, lecz także do czegoś więcej.

Musimy przygotowywać się do tego, by w przyszłych, korzystnych fluktuacjach międzynarodowych posiadać sprawność wystarczającą do zrealizowania przysługujących nam przez sam fakt naszego istnienia praw człowieka. Musimy zebrać siły, zebrać rozumiejących ten cel ludzi, ażeby korzystając z doświadczeń naszych poprzedników w stosownym momencie działać sprawnie i skutecznie.

Nie miejsce tutaj na omawianie form działania, które już przyjęliśmy. Stwierdzamy po prostu konieczność biologiczną i moralną niepoddawania się fali strachu i bierności — ani krótkowzrocznego konformizmu. Nie lekceważymy niebezpieczeństwa. Musimy jednak dobrze zdać wielki egzamin, jaki każda epoka urchadza swoim pokoleniom — pokazać, czy jesteśmy w stanie mówić o swoich naturalnych prawach i bronić ich, potwierdzając w ten sposób swoje człowieczeństwo.

Formy naszego działania są nowe, staramy się dorzucić swoją inwencję, energię i charakter do istniejącej tradycji. Zapoczątkowane przez nasz RUCH idee i doktryny polityczne, które podejmujemy kierując się ich potrzebą i wagą dla narodu oraz koniecznością ich postawienia i bronięcia, będziemy niewątpliwie rozwijać dalej. Chodzi bowiem o podstawowe dobra i podstawowe prawa. Bez niepodległego istnienia nie potrafimy się rozwijać społecznie, ekonomicznie i kulturalnie. Będziemy wartościowym uczestnikiem rodziny ludzkiej tylko jako naród mówiący swoim głosem i podejmujący swoje decyzje. Jako atropa na usługach obcego sowimperializmu nic pożytecznego nie możemy wnieść do trwałych wartości wspólnoty ludzkiej. Pozostając biernymi możemy tylko zhańbić się popieraniem niszczącego człowieka totalizmu.

Zdajemy sobie sprawę, że narody zaawansowane w rozwoju nie mają przed sobą tak podstawowych problemów. Może dlatego właśnie, osiągając wysoki stopień rozwoju ekonomicznego, nie rozumieją niebezpieczeństw dzisiejszej doby. Jest w tym coś z wygodnictwa, z krótkowzroczności, z pograżenia we śnie.

My natomiast dostrzegamy niebezpieczeństwo w jego najwrażniejszym kształcie — w doświadczeniu, na własnej skórze. Nie mamy wielkich środków materialnych, znamy jednak dobrze sposoby działania, chytróść i bezwzględność zwolenników zniewole-

nia człowieka i zniszczenia najlepszych pierwiastków osoby ludzkiej. Mają oni siłę, brak im jednak prawdy i poparcia mas — a kiedy tego nie ma, wali się prędzej czy później każdy kolos. Wiemy, że trzeba wielkiej energii, aby odeprzeć kłamstwo — pamiętamy jednak, że kłamstwo nigdy nie stało się prawdą dlatego, że wzrosło w siłę.

III

Nie stanowimy kontynuacji żadnego ruchu politycznego w naszej historii najnowszej, w szczególności żadnego ruchu z czasów międzywojennej niepodległości II Rzeczypospolitej. Ze wszystkich ruchów czerpiemy ich dobre pierwiastki, składające się na następujące postulaty:

- niepodległość jako podstawowy czynnik rozwoju społecznego i ekonomicznego narodu,
- poszanowanie osoby ludzkiej i jej niepozbawialnych praw,
- efektywny rozwój ekonomiczny,
- programowanie przez państwo zasadniczych zarysów uporządkowanego rozwoju ekonomicznego narodu,
- sprawność działania społecznego,
- rozwój umysłowy,
- równość społeczna i równe szanse społeczne dla wszystkich,
- wykorzenie nieuzasadnionych przywilejów i wiążącego się z nimi wyzysku społecznego,
- wolność prasy i zgromadzeń,
- sprawne, kompetentne, odpowiedzialne i ustalibilizowane ustawodawstwo,
- instytucjonalne zabezpieczenie wolności wyborów przedstawicieli społeczeństwa,
- uporządkowane życie społeczne i polityczne,
- konstruktywne uczestnictwo w życiu narodów,
- wykorzenie doktrynerskich mitów ekonomicznych i politycznych.

Pragniemy jednoczyć wszelkie usiłowania i wszystkich ludzi, którzy podzielają nasze zasadnicze obawy i żywotne dążenia, wyrażone w tym programie. Akceptujemy dążenie do likwidacji drobiazgów, które mogą dzielić, i do usuwania okoliczności, które mogą stworzyć grunt dla podziałów i osłabienia. W walce o nasze podstawowe prawa ludzkie chcemy stanowić front, w którym uczestniczyć może każdy, kto podziela nasze zasadnicze obawy i pragnienia, nie wchodząc w drobne, najczęściej mało ważne problemy. Jednoczy nas opór przeciw zagrożeniu. Jesteśmy przekonani o potrzebie lekceważenia drugorzędnych różnic

w obliczu zasadniczych konieczności. Musimy dążyć do jedności ideowej i uczuciowej, gdy chodzi o sprawy najżywniejsze.

Chcemy wolne państwo — bo ono jest naszym podstawowym celem i do niego przede wszystkim dążymy — oprócz na ściślejszych, przyjaznych stosunkach z narodami Europy Środkowo-Wschodniej, dzielącymi nasz los. Rozumiemy aż nadto dobrze, że podstawową przesłanką stosunków, do których postępującej integracji będziemy wówczas dążyli, musi być wspólnota interesów i równość. Jesteśmy jednak przekonani, że wraz z tymi narodami potrafimy stopniowo wytworzyć podstawy i gwarancje wzajemnej suwerenności i rozwoju. W ten sposób postawimy tamę pokutującej jeszcze niestety myśli, że potrafimy istnieć tylko jako ogon tego lub innego sąsiadującego z nami mocarstwa, bezwzględniego w swej zaborczości. Stworzenie trzeciej siły między dwiema ekspansywnymi organizacjami państwowymi stanowi szansę na ustanowienie w tym rejonie geopolitycznym realnych przesłanek dla pokoju.

Dopiero po stworzeniu trzeciej siły, o której była mowa, powstaną realne i właściwe przesłanki polityczne dla ożywionej i korzystnej współpracy z pozostałymi dwiema siłami. Chodzi o przesłanki dla równoprawnego obrotu ekonomicznego i kulturalnego i stworzenia w przyszłości na tej podstawie możliwie trwałego, opartego na wzajemnych interesach, statusu międzynarodowego w tym rejonie świata. Pragniemy przyjaźni zarówno z Rosjanami jak z Niemcami, nie dajemy jednak swojego placet dla imperializmu i zaborczości w takim czy innym wydaniu, pod takimi czy innymi hasłami. Ani w naszym rejonie geopolitycznym, ani nigdzie indziej nigdy nie zapanuje pokój oparty na zniewoleniu mas lub innych narodów. Stan taki można od biedy nazwać spokojem, nigdy — pokojem.

Nasze przyszłe państwo dopiero z momentem odzyskania niepodległości będzie mogło określać szczegóły administracji państwowej, zasady konstytucyjne i ustawowe.

Mamy w tym przedmiocie szereg doświadczeń historycznych, politycznych i naukowych. Korzystając z nich, opracowaliśmy zdrowe podstawy życia społecznego, gospodarczego i politycznego, opierając się na wszelkich zdobyczach ludzkości.

Sejmu nie można czynić tworem rządu, ale z drugiej strony nie można paraliżować posunięć rządu biegunowo odmiennymi decyzjami, wynikającymi ze zmian konfiguracji większościowych w Sejmie. Zdecydowanie akceptujemy zasadę realnej odpowiedzialności rządu za swoją działalność.

Obecny wyścig gospodarczy w świecie jest szybki, natomiast obecna gospodarka polska nie nadąza za nim z podanych przedtem zasadniczych względów. Tak samo w gospodarce jak w poli-

tyce Polska — ani żaden inny kraj Europy — nie jest w stanie sama sprostać nowym zadaniom, stawianym przez obecną epokę. Jedynym wyjściem dla Polski jest związek gospodarczy z innymi krajami. Chodzi tu o taką współpracę gospodarczą, której nie można utożsamiać ze współpracą w ramach RWPG, będącą „współpracą” tylko z nazwy. Przyszła współpraca połączy zespół państw gospodarczo silnych na tyle, by nie ulegać takiej czy innej presji ze strony Niemiec czy Rosji. Współpraca tych krajów polegałaby na uzgadnianiu planów rozwojowych, kooperacji i specjalizacji, przy respektowaniu zasady równości wszystkich uczestników. Wpłynęłoby to na szybszy postęp techniczny i gospodarczy, na niższe koszty produkcji i rozwój produkcji masowej.

Należy położyć silny akcent na rozwój nauki i nauczania.

Rozwój rolnictwa w Polsce musi iść w kierunku unowocześnienia, przy zachowaniu indywidualnej własności i możliwości prawdziwego, nieskrępowanego zrzeszania się, nie pociągającego za sobą upaństwowienia całego dochodu.

Rozwój przemysłu i rolnictwa, przejawiający się w zwiększeniu produkcji, lepszej jakości i obniżce cen, z jednej strony będzie wynikiem zmian politycznych, z drugiej zaś stanowić musi wynik naukowej struktury gospodarczej. W żadnym wypadku nie osiągnie go się przez doktrynerskie łamanie zasad ekonomicznych dla osiągnięcia pozakonomicznych celów.

Opisane procesy nie będą zachodzić automatycznie i będą wymagały interwencji państwa zarówno w dziedzinie produkcji jak podziału dochodu narodowego. Należy zwrócić uwagę na rejon zaniedbane gospodarczo, w których ludność żyje w gorszych warunkach, zainicjować rozwój społeczno-gospodarczy w imię wspólnego dobra wszystkich obywateli kraju. Niezależność gospodarcza od centrum sowimperializmu umożliwiłaby pozbycie się olbrzymiego haraczu płaconego przez społeczeństwa, co nawet przy aktualnym stanie gospodarki z miejsca poprawiłoby sytuację ekonomiczną społeczeństwa — byłaby to swego rodzaju natychmiastowa premia za niezależnienie się. Możliwość suwerennego formowania życia gospodarczego, wyzbycie się doktrynerskich uprzedzeń — muszą przyczynić się do wzrostu dobrobytu społeczeństwa. Państwo winno ingerować tylko przez planowanie rozwoju kraju i wykorzystywanie czynników i bodźców ekonomicznego oddziaływania; trzeba zlikwidować mnóstwo nieżyjących i nieekonomicznych uwarunkowań służących temu, by grupa tyranów mogła sprawować kontrolę nad wytworzonym produktem narodowym. Także i przy podziale dochodu narodowego i społecznego państwo winno mieć takie kompetencje, by możliwe było uwzględnienie dobra wszystkich obywateli kraju.

Konieczne jest odkłamanie języka politycznego, tradycji historycznej, instytucji politycznych, pojęć społeczno-moralnych.

Każdemu obywatelowi winna być zagwarantowana możliwość swobodnego zabierania głosu w sprawach dotyczących podstawowych praw człowieka; katalog tych praw został trafnie i w zasadzie wyczerpująco przedstawiony w Deklaracji praw człowieka ONZ. Deklaracja ta jest notorycznie gwałcona przez państwa socjalizmu komunistycznego.

Przywrócenie władzy narodowi musi przybrać realny kształt instytucjonalny. Chodzi tu o stworzenie niezależnie od siebie działających ośrodków myśli i działania politycznego, możliwie biogonowych a nie wielopartyjnych, realnie odpowiedzialnych przed opinią publiczną; chodzi także o możliwość realnej krytyki poczynań wszystkich organów władzy przy jednoczesnym wprowadzeniu kar za szkalowanie i znieważanie. Nastąpić musi eliminacja fanatyzmu, wzrost lojalności w konkurencji politycznej, rozwój tolerancji.

Sądownictwo musi być całkowicie niezależne od państwa a sędziowie winni orzekać jedynie zgodnie z prawem i własnym sumieniem. Z momentem wyboru na stanowisko sędziego ustawać winna wszelka przynależność partyjna wybranego. Każdy obywatel jest odpowiedzialny za swoje czyny przed społeczeństwem i sądami. Zbrodnie przeciwko ludzkości, a co za tym idzie, przeciwko społeczeństwu, nie mogą ulegać przedawnieniu. Nasza rzeczywistość wskazuje, że istnieje konieczność sformułowania i zaszczerpienia w świadomości społecznej pojęcia zbrodni polegającej na demoralizowaniu i zorganizowanym ujarzmieniu społeczeństwa.

Podsumowując te postulaty można wskazać ich podstawową przesłankę: w życiu politycznym obowiązywać winny zasady moralne, zasady, które bezwzględnie wiążą całą społeczność, a tym bardziej tych jej członków, którzy zajmują się pracą polityczną.

Nauka i kultura w warunkach panowania i obowiązywania podstawowych praw osoby ludzkiej i jej wolności musi i może uzyskać atmosferę niezbędną do normalnego rozwoju. Wytyczne metodologiczne, ideowe i tematyczne, krępujące środowiska twórcze, serwowane przez grupy rządzące, zabezpieczone przez cenzurę i regulację wydawnictw i prasy zmonopolizowanych przez państwo — są haniebnym zjawiskiem naszych czasów i muszą być w całości przekreślone. Sumienie i podstawowe prawa naturalne człowieka nie tylko wytyczają granice twórczego działania każdego pisarza i twórcy, ale wraz z talentem, poczuciem piękna i rozmachem umysłowym są motorem rozwoju umysłowego społeczeństwa i narodu; one też stanowią wytyczną racji stanu.

Zdecydowanie bronimy zasady zupełnej swobody działalności duszpasterskiej Kościoła — przy jednoczesnym wyłączeniu spe-

cialnych przywilejów dla osób duchownych i przy wyłączeniu, ze względu na specyficzność powołania, możliwości pełnienia przez duchownych jakichkolwiek funkcji państwowych i administracyjnych. Zasada ta służyć będzie w naszym przekonaniu obydwu stronom. Podnosimy wagę i przydatność autorytetu moralnego Kościoła dla rozwoju społeczeństwa.

Występujemy o eliminację z politycznego życia narodu działalności partii o programie totalitarnym, faszystowskim, partii głoszących nienawiść klasową i walkę klas, nienawiść społeczną, dyktaturę grup czy klas bądź innych ugrupowań, które w przeszłości lub dzisiaj głoszą potrzebę walki przy pomocy zakazów i środków administracyjnych ze świadomością, ideami, Bogiem. Piętnujemy przynależność do takich nieludzkich i wstecznych partii i ugrupowań. Poglądy takie prowadzą, jak wskazuje niedaleka przeszłość i aktualność — do zbrodni, czasów pogardy, demoralizacji i deprawowania społeczeństwa, do nienawiści, strachu, poniżenia i osamotnienia.

Przysłany z kraju dokument grupy Ruch, której przywódcy zostali ostatnio skazani na wysokie kary więzienia. (Redakcja).

Likwidacja ostatniej Ambasady R.P.

W dniu 19 października br. Sekretarz Stanu Watykanu, kard. Villot, zawiadomił ambasadora R.P. w Watykanie K. Papée, że Stolica Apostolska uważa za skończoną jego „gerencję” spraw polskich. Tekstu listu kard. Villot nie udało się nam uzyskać. Ambasador Papée odpowiedział listem, którego tekst zamieszczamy:

No 122/57.

Rzym, 24 października 1972.

Eminencjo,

Wobec listu z dnia 19 października N. 220270, którym Wasza Eminencja notyfikuje mi oficjalnie że Stolica Św. uważa za

skończoną moją „gerencję” spraw ambasady Polskiej przy Stolicy Św., mam zaszczyt zwrócić uwagę Waszej Eminencji na następujące okoliczności szczególnej wagi.

Zamianowany Ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej przy Stolicy Św. dekretem prawowitego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dn. 14 lipca 1939, wykonywałem aż po dzień dzisiejszy funkcje Ambasadora i Gerenta Ambasady.

Zapewniło to narodowi polskiemu autentyczną reprezentację jego interesów wobec Głowy chrześcijaństwa w czasach, gdy wyrazicielem ich na zewnątrz stał się reżym nie mający nic wspólnego z prawdziwą i wolno wyrażoną wolą narodu.

Naród ten głęboko przywiązany zarówno do swej wiary jak do wolności i niepodległości, zachowa zawsze głęboką wdzięczność do Stolicy Ap. za zachowanie prawowitych więzów z Polską przez długie lata, nacechowane w kraju rządami bezbożnego uzurpatora. Zechce Wasza Eminencja być wobec Ojca św. wyrazem głębokiego mego podziękowania za tę postawę Stolicy Ap., które, przemawiając po raz ostatni w imieniu mego narodu, składam u stóp Papieża.

W pełnym zrozumieniu dla wysiłków Stolicy Apostolskiej aby zapewnić w warunkach obecnych wolność religijną narodowi polskiemu, wyrażam jednak głęboki żal, że pociąga to za sobą likwidację tej placówki dyplomatycznej, na czele której stałem w ciągu 33 lat, starając się zawsze wyrażać autentyczną wolę narodu polskiego, pozbawionego możliwości wypowiedzania swych uczuć i dążeń w ramach totalnego ustroju.

Naród polski, ze swej strony, będzie na pewno dalej walczył o te prawa człowieka, które dziś są przyznane ogółowi narodów a których on jest ciągle jeszcze pozbawiony: święte prawa do wolności i niepodległości, do pokoju prawdziwego i sprawiedliwego, który nie byłby tylko synonimem ustroju narzuconego. W tej walce naród mój liczy na zrozumienie i pomoc Stolicy Św., która zawsze głosiła te wielkie zasady.

W tej walce miejsce moje jest przy tych, którzy odmawiają uznania stanu rzeczy istniejącego obecnie w moim kraju, a mają po temu wolność. Nie mogę uznać reżymu, który nie jest wyrazem ani legalnie, ani rewolucyjnie wyrażonej woli Narodu polskiego, ale wyrazem woli obcego mocarstwa. Rządy mijają, ale narody świadome swej misji dziejowej przetrwają wiecznie.

Wobec powyższego i stwierdzając zupełny brak w tej chwili jakiegokolwiek ciągłości prawnej innych przedstawicieli Polski przy Stolicy Ap., jestem zmuszony odmówić już dzisiaj ich uznania oraz przekazania archiwów Ambasady komukolwiek przedstawiającemu ów narzucony Polsce a nie wybrany przez wolny Naród reżym.

Proszę Waszą Eminencję o przyjęcie wyrazów mego najwyższego szacunku i poważania, z którymi pozostaję

Waszej Eminencji
oddanym i powolnym sługą
Kazimierz PApEE

(Obecny adres amb. Papée: Via Colossi 20/3, 00146 ROMA; tel.: 5586841).

Dn. 9 listopada br., papież przyjmując kardynałów Wyszyńskiego i Wojtyłę oraz biskupów polskich, wygłosił przemówienie, w którym mówił m.in. o przyszłości Polski powiedział: „Przyszłość, która pragniemy aby była pogodna i szczęśliwa pod opieką Dziewicy, ze swojego Sanktuarium na Jasnej Górze czuwającej od wieków nad losami Polski; w harmonii i w lojalnej i przyjacielskiej współpracy wyznaczonych do sprawowania władzy w rozwoju religijnym i świeckim Narodu”.

Kronika kulturalna

“Olaf”

Zaprowadziła mnie do niego trójka warszawskich malarzy: Elek Kanarek, Feluś Topolski, Aleksander Żyw. Mieszkali oni wspólnie w ogromnej pracowni na Placu Teatralnym, na przeciwko gmachu Coraziego. Wchodziło się do nich od ulicy przez zwykłą bramę w zwykłym domu, tylko że za progiem, jak nieraz w Paryżu, otwierało się coś co było na poły ogródkiem z drzewami, na poły podwórkiem brukowanym kocimi łbami. Trójka malarska żyła beztrudno choć pracowicie; beztrudna wyrażała się m.in. także w tym, że czasem brakło pieniędzy na śniadanie. Ale za to był służący: „pan-ski” (nie zapamiętałam jego nazwiska, ale pamiętam, że kończyło się na „ski” i że nigdy nie mówiło się do niego inaczej jak per „pan” i pełne nazwisko).

Otóż kiedy po raz pierwszy zjawiłam się w pracowni, zaproszona na śniadanie, okazało się, że właśnie zabrakło pieniędzy na bułki, które „pan-ski” miał przynieść. I wtedy po prostu, bez osobnych instrukcji, udał się on przed piekarnikiem na Senatorską, nie pamiętam już pod jaki numer, do „Olafa”. Dom jego znajdował się po drugiej stronie Placu Teatralnego, trochę w lewo, na ukos od miejsca, w którym mieściła się pracownia, właśnie na początku ul. Senatorskiej. Nie minęło nawet piętnaście minut, a zajadaliśmy smaczne bułeczki, zakupione z sakramentalnej „piątki”, którą „Olaf” zasilął swoich przyjaciół w sytuacji kryzysowej.

Zarówno przyjaciele-malarze, jak „Olafowie” byli wiernymi słuchaczami moich koncertów. Niedługo więc znalazłam się sama w mieszkaniu na Senatorskiej, poznałam „Olafa” i jego żonę, Marysię. Po pierwszym smacznym obiedzie okazało się, że w ślicznym mieszkaniu, jasnym i przestronnym, z pięknymi, starymi polskimi meblami z jesionu, jest także świetny fortepian. „Olaf”,

poza swoim zawodem, był wcale dobrym pianistą i miał ładny choć niewielki baryton. Znał mnóstwo piosenek i śpiewał je z dużym wdziękiem, sam sobie akompaniując.

Niewysokiego wzrostu, drobny, z twarzą inteligentną i dosyć przystojną, brunet z ładnymi piwnymi oczami, Jan Feldman był wiernym przyjacielem (*vide* niezliczone „piątki” wędrujące do kieszeni braci malarskiej w potrzebie; wątpię czy wiele z nich trafiło z powrotem do rąk właściciela). Był też świetnym kompanem po pracy, kiedy wracał do domu na późny warszawski obiad. Równie często z otwartymi rękami przyjmował obiadem gości zarówno proszonych jak i nieoczekiwanych. Istniała wtedy jeszcze błogosławiona instytucja „gosposi”, więc żona nie musiała sama parać się z dodatkową pracą gospodarską, ale i tak trzeba było o wszystko zadbać i pomyśleć o tym jak zaspokoić apetyt i pragnienie entuzjastów sztuki, którzy zbierali się w tym gościnnym domu.

Główny krąg przyjaciół, poza malarzami, stanowili „Kwadrygowcy”, vel „kwadryganci” czy „kwadrygiści”; zbierali się u „Olafa” regularnie raz na tydzień, nie licząc dorywczego „wpadania” na chwilę. Zjawiał się także często Ładosz, doskonały recytator i Konstanty Ildefons Gałczyński, już wtedy chodzący luzem, ale blisko „Kwadrygi” (grupy i pisma). Nie brakło również innego znawcy sztuki i muzyki, „Hansa” Śliwińskiego. Nie trudno zgadnąć, że każde spotkanie i wszystkie rozmowy dotyczyły literatury, wierszy, piosenek. Myślę, że kiedy mnie nie było, dyskutowało się także sprawy polityczne. W mojej obecności zdarzało się to rzadko, po prostu pewnie z uwagi na mój właściwie całkowity brak orientacji w tych sprawach, a także ze względu na „zapałość” tematu. „Olaf” miał temperament wybuchowy i raz jeden doszło do gwałtownego wybuchu, kiedy ktoś z obecnych zaczął wygłaszać poglądy, które były dla Feldmana nie do strawienia. Nawet zwykła grzeczność gospodarza, błagalne spojrzenia i zakłęcia żony nie wstrzymały go od ataków na nieszczęśnika, który w końcu zwyczajnie zwiął z pola bitwy.

Normalnie więc długie wieczory, zaczynające się o czwartej lub piątej, a kończące gdzieś około pierwszej lub drugiej w nocy, schodziły na recytowaniu wierszy i śpiewaniu piosenek. Byłam wtedy przybysem zupełnie nowym nie tylko w Warszawie, ale i w Polsce. Uczyłam się dopiero świata intelektualnego, uczyłam się po prostu też najnowszej literatury polskiej i to dosłownie na „gorąco”. Nadmiar postaci i nazwisk (do których nigdy nie miałam dobrej pamięci) był tak oszołamiający w tych pierwszych miesiącach pobytu w Warszawie jesienią i zimą 1932/33 roku, że w głowie pozostały duże luki.

Nie rozumiałam również, że poruszałam się jednocześnie w dwu zupełnie różnych, nie przystających do siebie kręgach literackich. Przez „Bandę”, do której mnie sprowadzono i gdzie występowałam, poznałam Skamandrytów. W domu Tuwima słuchałam dyskusji gospodarza z Lechoniem, Grydzewskim, Bormanem, Hemarem; czasem dołączał się także Wieniawa. „Benjaminkiem” tej grupy był Jerzy Paczkowski, wiekiem mi najbliższy i dla tego mniej napawający nabożnym lękiem niż tamci „wielcy” poeci i „wielcy” wydawcy. W tej grupie jednak wierszy się nie recytowało. Natomiast u „Olafa”, gdzie zbierali się mniej jeszcze sławni i, jak dopiero o wiele później się nauczyłam, poniekąd „opozycyjni” wobec tamtych młodzi poeci, było to na porządku dziennym. Goście przynosili i czytali tu najnowsze swoje utwory. Pamiętam po nazwisku tylko Sebyłę, Dobrowskiego i, nie należącemu do tej grupy, lecz z nich wszystkich, zdawało mi się, najbardziej obiecującego Tadeusza Holendra. Jego wiersze najbardziej mnie fascynowały, niejedną z nich włączałam do mego repertuaru. Górował nad zgromadzeniem głosem i werwą Ładosz, zawsze chętny do recytowania, nigdy nie męczący się nawet najdłuższymi wierszami, jak np. ballada Gałczyńskiego: „Porfirion Osiołek” czy poemat „Koniec świata”, których słuchałam z niesłabnącym entuzjazmem nieskończoną ilość razy.

To były momenty wzniecone lub wzruszające naszych spotkań. Ale kończyły się one zawsze zbiorowym śpiewaniem piosenek „Olafa”. Nie wiedziałam wtedy skąd je wszystkie znał, jak doszedł do tego bogatego repertuaru. W nadmiarze nowych wrażeń nie dążyłam pytać a nieraz pamiętać okoliczności i rodowodów zjawisk, które się toczyły koło mnie. Był on dla mnie po prostu czarującym panem w średnim wieku, który zawsze chętnie siadał do fortepianu, śpiewał i wciągał nas wszystkich w swoją zabawę. Piosenki były podobno „dziełem zbiorowym” częściowo tych, którzy siedzieli lub stali wokół fortepianu, częściowo innych młodych, którzy z takich czy innych powodów od grona przyjacielskiego odeszli.

Wiem, że autorem ballady o „panience, co miała na imię Ina” był Gałczyński. Śpiewałam ją później nieraz sama, należała do mojego „żelaznego” repertuaru w Warszawie, lecz po raz pierwszy usłyszałam ją od Olafa:

*Mówią, że była panienka, co miała na imię Ina,
Gdy chciała powiedzieć: „kocham”, mówiła: „kokaina”.*

Słowo „kokaina” śpiewali wszyscy chórem.

W ogóle, piosenki były często rozkładane „na głosy”. Towarzystwo było tak zgrane, że soliści świetnie „wpadali” indywi-

dualnie lub zbiorowo w odpowiednich miejscach, podkreślając efekt interpretacyjny.

Pod melodię melancholijnego walczyka, historia „Iny” głosiła dalej:

*Miała niebieską wstążkę i niebieskiego kota.
Kot wciął kokainę, panienka wciąta kota.*

Teraz Feldman-„Olaf” z tonacji dur przechodził w tonację molową, walczyk się urywał, melodia stawała się dramatyczna, przy akompaniamencie krótkich mocnych akordów zjawiała się nowa postać historii:

*A był też pewien poeta, co chodził na koturnach;
Gdy się urznął, to zwykle mówił:*

(Bas, solo, nie wiem którego z obecnych):

„Moja muza jest górna i chmurna”.

Powrót do walczyka:

*I kochał poeta panienkę, co miała na imię Ina,
Błagał ją, powiedz: „kocham” — a ona: „kokaina”.*

Poeta się w końcu zdenerwował i historia przybrała obrót makabryczny; „zabił panienkę w zachodu amarantach”, smażył ją na wolnym ogniu robiąc jej „twarz goryla”. Wreszcie był wspinały pogrzeb. Po tych dramatycznych w słowie i melodii Olafowskiej wydarzeniach, wracało się na zakończenie do melancholijnego walczyka i równie melancholijnego obrazu:

*Konduktory kotów niebieskich szły w średniowieczny tan;
A potem był świt bolesny, koloru „bleu mourant”.*

Nie pamiętam, niestety, w tej chwili jak skończył poeta, choć wydaje mi się, że i on zginął śmiercią tragiczną.

Nie dając nam czasu na smutne refleksje nad losem „panienki”, chorowód natychmiast i, jak mi się zdaje, według pewnego stałego, uświęconego rytuału, intonował piosenkę, świetnie się nadającą do interpretacji mieszanej, solowo-zbiorowej. Zaczynał sam:

*Na świetlistych-mglistych wyspach Hawaj,
Na Tahiti czy na Ile-de-Cook*

C h ó r (zstępując, ton po tonie, gamą tonacji mol):

*Cook,
Cook,
Cook,
Cook...*

Olaf:

Mieszkał straszny kapitan Papawaj,
Co kobiety i murzynów tłukł,
tłukł,
tłukł,
tłukł.

Kapitan miał niestety namiętność do kokosów, które z pasją
i masami

jadł,
jadł,
jadł,
jadł.

Potem te kokosy wyrastały w palmy i kapitan pęczniał jak
gad. I wreszcie pękł.

Zakończenie było bardzo poetyczne:

*Na świetlistych-mglistych wyspach Hawaj,
Tak się żyło, umierało taaaaaaaak.*

Tym razem długie, wyciągnięte, cichące „aaaaaak” kończyły
smutną historię kapitana.

Inna piosenka, podobno inspirowana przez Rimbauda „Le
bateau ivre” i także, zdaje się, pióra Gałczyńskiego miała kołyszą-
cą, marzącą melodię i refren który, choć był bez sensu, wszyscy
śpiewaliśmy z wielkim zapałem:

*Na wielkim okręcie wszyscy palą opium,
Małeńkie fajeczki, które smutek topią.*

Refren:

*Biały stoń, szajmajnij,
Biały stoń, dzungajnij-oj-oj.*

(Wyciągane na małej sekundzie „oj”, imitowało kołysanie się
okrętu).

*A na Filipinach wszyscy są szczęśliwi,
Albowiem spijają sorbety z cytryną.*

I znowu refren zbiorowy.

Poza tym repertuarem pióra młodych poetów, miał „Olaf”
bogaty repertuar piosenek podwórzowych. To tam poznałam wspa-
niałą balladę o „hrabini”, sponiewieraną przez jakiegoś brutala.
Niestety znacznie mniej utrwaliła się ona w mojej pamięci, niż
tamte piosenki.

Zanim dojdę do tego skąd się to wszystko wzięło i dlaczego
poważny urzędnik i dziennikarz był jednocześnie świetnym pio-
senkarzem, muszę powiedzieć o innym dowodzie niezawodnej
przyjaźni „Olafów”.

Było to w roku 1935. Mieszkałam już w Paryżu i przyjeżdża-
łam regularnie raz na rok na występy do Polski, głównie do
Warszawy. Byłam wtedy bardzo chora, lekarze w Berlinie, gdzie
występowałam przed Warszawą przez dwa miesiące, nie potrafili
mi pomóc. Doszło do tego, że ważyłam 35 kilo, nie spałam
w ogóle i żywiłam się wyłącznie truskawkami albo sałatką owo-
cową w ilości dwu łyżek trzy razy na dzień. A jednocześnie wy-
stępowałam bodaj w „Trzynastu rządach”, wtedy w dwu spek-
taklach dziennie. Elek Kanarek, który odwiedzał mnie regularnie
w garderobie wreszcie nie wytrzymał i zmusił mnie do pójścia
do lekarza, Henryka Szpidbauma, po wojnie Henryka Speedby
(zmarł kilka lat temu w Londynie jako znakomity kardiolog).
Stwierdziwszy co mi dolegało, wpadł na pomysł genialny, jak
wszystkie proste rozwiązania, tyle tylko, że trudny do wykona-
nia, gdy się mieszka w pensjonacie.

I wtedy to „Olaf” z Marysią zaofiarowali mi gościnę u sie-
bie. Umieścili mnie w jednym z pokojów swego mieszkania.
Dr Szpidbaum, mieszkający o parę kroków od nich i pielęgniarka
zjawiali się tam dzień w dzień, szpikując mnie zastrzykami. Ku-
racja polegała na tym, że doza dokładnie odmierzonych lekarstw
usypiała mnie na wszystkie godziny, poza owymi pięcioma, spę-
dzanymi w teatrze, w czasie których musiałam być w pełni przy-
tomna. Marysi przypadła rola karmienia słabo przytomnej pacjenci-
ki w ciągu dnia. Budzono ją co dwie godziny i faszrowano wszel-
kiego rodzaju jak najbardziej tuczącymi smakołykami. Jak naj-
czulsza matka czy siostra, Marysia sama przynosiła mi do łóżka
kakao z żółtkiem, jajka z masłem (te ilości cholesterolu, które
się wtedy beztrudno zjadało!), zupy mleczne, ciasta, miód i co
tylko mogła wymyślić dla podtuczenia „kurczaka”, jak „Olaf”
mnie żartobliwie nazywał.

Trwało bity miesiąc aż wreszcie ta dziwna kuracja dała ocze-
kiwane wyniki, to znaczy pacjent zaczął spać bez środków nasen-
nych i jeść bez zastrzykiwania insuliny, przymuszania i wreszcie
przybył na wadze zawrotne dziesięć funtów.

Przez cały ten czas byłam gościem „Olafów”, którzy przecież
nie byli bogaczami. Ich zarobki nie były znowu na tyle wysokie,
żeby nie czuć ciężaru takiej zwłaszcza kuracji. Nigdy nie chcieli
wziąć ode mnie grosza. Nigdy nie okazali najmniejszego znie-
cierpliwienia, choć wtedy kiedy zaczęłam już wstawać do wspól-
nych posiłków, mogłam zaobserwować, że tak pozornie pogodny
„Olaf” był kłębkim nerwów i że żona bynajmniej nie zawsze
miała z nim łatwe życie. Nauczyłam się także, iż niewyczerpana
gościnność i gotowość przyjęcia każdemu kto jej potrzebował
z pomocą, nie pozostawała bez śladu na sytuacji gospodarczej
moich opiekunów. To wszystko jednak nie wpływało w naj-

mniejszym stopniu na ich stosunek do mnie; byłam ich gościem przez sześć tygodni i kiedy wyjeżdżałam z powrotem do Paryża, żegnałam jednych z najlepszych przyjaciół jakich kiedykolwiek miałam w życiu.

Kiedy ostatni raz byłam w Warszawie w kwietniu 1939 roku, znowu spotkaliśmy się na Senatorskiej. „Ina” była już wtedy znana wszystkim tym, którzy przychodzili na moje koncerty. Nie wiedzieliśmy, że będzie to ostatnie spotkanie.

O dalszych losach „Olafów” dowiadywałam się stopniowo i bardzo niedokładnie. Były tak smutne, że, jak w wielu przypadkach, trudno się było o nie dopytywać bezpośrednio. Od ludzi postronnych dowiedziałam się, że Marysia zginęła podobno w getcie. „Olaf” znalazł się w jakimś obozie w Rosji i wydostał się stamtąd z armią gen. Andersa na Bliski Wschód, do Włoch i wreszcie do Anglii.

Spotkaliśmy się tam już po wojnie. Miał wtedy drugą żonę — cierpliwą, dobrą, bezgranicznie oddaną. Był naznaczony strasznymi przeżyciami, zmienił nazwisko na „Wolski”. Jak wszyscy, próbował stworzyć sobie nowe życie. Nie bardzo mu to szło w Anglii. Próba mieszkania ze Stanisławą Kuszelewską i współpracy z jej mężem, gen. Rayskim, skończyła się bolesnym rozdzwiekiem. Wreszcie wyjechali oboje do Argentyny. „Olaf” jak zawsze zajmował się praktycznie ludźmi i sprawami, coś popychał i opiekiwał się każdym, który tego potrzebował. Materialnie powodziło im się tam dość dobrze. Przyjechał raz i drugi na wakacje do Europy. Ale potem zaczęła się długa okrutna choroba.

Kiedy ostatni raz widziałam go w Londynie, na tzw. „Putneyówku”, próbowałam wskrzesić i utrwalić owe piosenki, które z takim beztróskim zapałem śpiewaliśmy tyle lat temu w jasnym, pogodnym mieszkaniu na Senatorskiej. Także dopiero wtedy dowiedziałam się skąd się wzięło imię-pseudonim „Olaf”.

Jan Feldman był synem poważnego lekarza czy dziennikarza, z dobrej mieszczańskiej rodziny warszawskiej. W ostatnim roku gimnazjum, zaprzyjaźniwszy się z młodymi poetami, stworzył z nimi jakiś mikroskopijny kabarecik, którego nazwy niestety nie pamiętam. Ta instytucja wtedy niemal narodowa i *par excellence* warszawska nawet w takiej minimalnej skali stwarzała możliwość popisania się swoją twórczością i dawała trochę grosza. Feldman junior grający na fortepianie, był bezcennym nabytkiem zwłaszcza, że okazał się także skromnym lecz zręcznym kompozytorem (jeśli można użyć tego wielkiego słowa na improwizacje muzyczne, którymi podtrzymywał mniej lub więcej zwiariowane wiersze-piosenki swoich przyjaciół) i pełnym wdzięku interpretatorem estradowym. Kiedy ojciec dowiedział się, że jego syn występuje w kabarecie, wyprosił sobie „szarganie porządnego nazwiska”.

Trzeba było wymyślić na prędce jakiś pseudonim. Podpowiedziała go angielska ballada, której bohaterem jest „Sir Olaf”. Tu było źródło piosenek i tu początki długiej, czynnej przyjaźni z bracią artystyczną, zarówno literacką jak malarską.

Niestety, nie bardzo nam szło spisywanie dawnego repertuaru. Wywoływanie minionych czasów było zbyt bolesne, zbyt jaskrawo nie przystawało do nowej rzeczywistości. Utrwaliliśmy trochę i tekstów i melodii. Powtórzyłam je na jakimś koncercie londyńskim, ale oddźwięk był stosunkowo słaby — należały już do innej, szczęśliwszej epoki. Leży to wszystko teraz w naszym londyńskim domu, niedostępne w chwili, kiedy piszę. To co przytoczyłam z pamięci może być tu i ówdzie nieścisłe, jak i wiele szczegółów, które mogą sprostować inni znający „Olafa”, np. Feliks Topolski za okres przedwojenny, Gustaw Herling-Grudziński za czasy wojny i powojnia.

To wspomnienie nie ma zresztą pretensji do historycznej dokładności. Ma jedynie zaświadczyć o człowieku, którego życia znałam z jednego, niewielkiego i to bardzo szczególnego odcinka, o którym mało wiem, z którym mnie łączyło tylko zamiłowanie do poezji, muzyki i pieśniarstwa, a który okazał mi serce jak niewielu ludzi, i z którym wiąże się pamięć bardzo nielicznych, naprawdę pogodnych godzin.

Myszę jednak, że to co napisałam wyraża w jakiejś mierze uczucia nie tylko moje, ale wielu nieznanym mi ludzi, których drogi przecięły się z życiem Jana Feldmana-Wolskiego-„Olafa”.

Tola KORIAN

Wspomnienie o Leonie Holzerze

W przeredzającym się gronie bojowników I-szej i II-jej wojny światowej nazwisko Leona Holzera nie powinno minąć niepostrzeżenie. Legionista 1 pułku, potem oficer w I Brygadzie, przebył on cały szlak historycznych bojów legionowych, zawsze w pierwszej linii. Kawaler orderu Virtuti Militari, odznaczony Krzyżem Niepodległości, Polską Odrodzoną i Krzyżami Walecznych, za pierwszy tytuł do dumy uważał przede wszystkim posiadaną Odznakę za Wierną służbę. Tej służby nigdy potem nie chciał dyskutować. Czy to jako działacz PPS w Krakowie, czy w Białymstoku, czy potem w życiu zawodowym w Gdyni, znany był z niezłomności swych przekonań. Jedyną godnością jaką przyjął w okresie między wojnami była

prezura Zarządu Głównego Związku Żydów, uczestników walk o niepodległość Polski.

We wrześniu 1939 Leon Holzer nie wahał się ochotniczo pójść do wojska i bił się najpierw w kraju, potem we Francji, do której dotarł poprzez Rumunię. Na linii Maginot'a dostał się do niewoli i przebywał w obozie w Edelbachu, a potem w Lubece. Obrany został jednogłośnie starszym polskiej grupy oficerskiej. Sam samouk, był jednym z twórców nauczania uniwersyteckiego w obozie.

Po wojnie, po krótkiej pracy w UNRRA w Niemczech, odmówił powrotu do kraju. Wolał udać się do dalekiej Australii, chociaż wiedział i mówił, że powrotu stamtąd nie ma. Nie wahał się podjąć pracy w fabryce, gdzie pracował do końca. Zmarł 19 kwietnia br., w wieku 78 lat.

STYPENDIA POLONIA TECHNICA, INC.

W wyniku ogłoszenia o stypendiach, umieszczonego w Nrze 4/283 *Kultury* przez Polonia Technica, Inc., Stowarzyszenie Polsko-Amerykańskich inżynierów w New Yorku, otrzymało 12 zgłoszeń studentów studiujących nauki techniczne na wyższych uczelniach w Argentynie, Danii, Australii, Anglii, Belgii i Szwecji.

Po rozpatrzeniu kwalifikacji i referencji odnośnie aplikantów, jak też ich dotychczasowych osiągnięć w studiach, udzielono 8 stypendiów w łącznej sumie \$ 2.200 dla studentów w Argentynie, Danii i Australii. Z powodu braku funduszy nie było możliwe udzielenie pomocy finansowej pozostałym aplikantom.

Za zarząd „Polonia Technica, Inc.”
W. J. KLIMKIEWICZ

Przewodniczący Komisji Stypendialnej

“POLONIA”

NOWA KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Książki

O tyranii

KANCLERZ: Panuje spokój. Wszystkie elementy buntownicze — zaarrestowano. Parlament także został zaarrestowany. Poza tym sfery wojskowe i cywilne także obłożone zostały bezwzględnym aresztem, a szerokie koła ludności też siedzą. Sąd Najwyższy, Sztab Generalny, Dyrekcje i Departamenty, władze publiczne i prywatne, prasa, szpitale, ochronki, wszystko siedzi. Zaarrestowano też wszystkie Ministeria, a także wszystko i w ogóle wszystko. Policja też została zaarrestowana. Spokój. Spokojnie. Wilgoć.

W. Gombrowicz, „*Slub*”, akt III.

Polikrates z Samos (VI w. przed Chr.) zdobył władzę przy pomocy dwóch braci i 15 hoplitów; po zamordowaniu jednego brata i wygnaniu drugiego sprawował niczym nie kontrolowane rządy; władza jego była ogromna, ale państwo krótkotrwałe. Też książki Latey'a* — eksperta od polityki wschodnioeuropejskiej i ex-szefa *The B.B.C. East European Service* — jest, że dzieje Polikratesa stanowią schemat tyranii, powtarzający się do dziś. Zmienne są tylko elementy związane z czasem, obszarem i liczbą ludności; warunki wyjściowe (własna partia i siła zbrojna), sposób rządzenia (likwidacja konkurentów, arbitralność) oraz nietrwałość systemu (brak mechanizmu sukcesji) są zdaniem autora typowe dla każdej tyranii jako formy władzy politycznej. Książka operuje znacznym materiałem porównawczym (tyranie greckie, Rzym imperialny, Fryderyk II Hohenstaufen, renesansowe państewka włoskie, Napoleon, Hitler i Związek Sowiecki); głównym celem autora jest identyfikacja i klasyfikacja niezmienników tyranii. Z oczywistych względów książka zastępuje na uwagę.

Tyranologia nie jest nauką ścisłą z dwóch powodów: 1) — trudno ustalić wszystkie fakty (historiografia tyranii sama jest przed-

* Maurice Latey, *Tyranny. A Study in the Abuse of Power*. 1-st ed. Macmillan & Co. 1969; 2-d ed. Pelican Books 1972.

miotem tyranii, czyli przeważnie jest zakłamana); 2) — trudno o obiektywną ocenę, gdyż jak stwierdza autor, „dobro, stworzone przez tyranie, trwa nieraz długo, a zło grzebie się wraz ze zwłokami ofiar” (por. piramidy, autostrady, kanały, etc.). Latey wychodzi z następującej definicji: „Tyranem jest władca, który sprawuje władzę nie kontrolowaną, wykraczającą poza prawa, zrywając i normy swego czasu i swego społeczeństwa, i który czyni to z zamiarem utrzymania lub zwiększenia tej władzy”.

W definicji tej są 3 istotne punkty: 1) — rządzeni nie mają żadnego wpływu na rządy; 2) — rządy wykraczają poza przyjęte w danym czasie normy; 3) — władza jest celem samym dla siebie. Punkt pierwszy jest ważny do rozstrzygnięcia kwestii, czy faktyczna aprobatą społeczeństwa (pomijając zorganizowane plebiscyty, ulubiony środek nowszych tyranów) odejmuje władzy charakter tyranii; Napoleon i Hitler przez większość swego panowania mieli taką aprobatę swych poddanych. Z definicji wynika, że tyrania pozostaje tyranią niezależnie od tego, czy *carte blanche* została wydarta siłą czy wręczona na tacy. Istotne jest to, że nie można jej wycofać.

Kandydatów na tyranów nigdy nie brak, lecz ta choroba endemiczna niekiedy przybiera formy epidemii. Dzieje się to w czasach przełomów, gwałtownych zmian sposobu bytowania, urbanizacji, krótko — w czasach kryzysu. Istotnym czynnikiem jest tu psychiczny klimat niepewności, „przewartościowywania wartości”, poczucie, że świat się wali — niekiedy dosłownie, w formie szerzących się ideologii millenarnych. W okresach takich społeczeństwa polaryzują się łatwo na bierną masę, pasywnie lub nawet chętnie akceptującą tzw. mężów opatrnościowych, oraz na torujących im drogę radykałów, rekrutujących się z równie zastraszonej, a przy tym „wyalienowanych”, tzn. nie znajdujących sobie użytecznych funkcji — warstw intelektualnych (por. sofistów greckich, wędrownych mnichów średniowiecznych, *les philosophes*, XIX-wieczną inteligencję i współczesnych tzw. intelektualistów). Rewolucja Francuska — ujęta jako wstęp do terroru Robespierre'a i następnie („tyrania rodzi tyranie”) panowania Napoleona — ilustruje wyrażenie dwa punkty: 1) — krystalizację nastrojów radykalnych w podejrzenie proste recepty („człowiek jest z natury dobry” — „zepsuły go warunki” — ergo: „usunąć to, tamto i owo, i znów będzie dobry”); 2) — radykalizm przechodzi do działania w momencie, kiedy zanosi się już na pokojowe rozwiązania; zauważył to de Tocqueville, pisząc: „porządek społeczny zniszczony przez rewolucję jest na ogół lepszy od tego, jaki go bezpośrednio poprzedzał i doświadczenie wykazuje, że najniebezpieczniejszym momentem dla kiepskich rządów jest chwila, w której przystępują do reform”. Niestety doświadczenie wykazuje też, że o zasadzie tej pamiętają przede wszystkim tyranie — i stąd ich niechęć do reform.

Tyrania nie musi być popularna *po* zdobyciu władzy, ale musi sobie zdobyć sympatyków i pomocników *przed* — stąd konieczność propagandy. Warianty jej są różne, ale wspólnym elemen-

tem jest chaos semantyczny, w którym jedynym punktem jasnym jest to, że rację (logiczną, historyczną, moralną, etc.) ma tyran, a reszta świata nie. Propaganda jest też użyteczna *po*, szczególnie do słodzenia pigułek; by zacytować Gibbona: „Oktawian August zdawał sobie sprawę, że ludzkością rządzi się przy pomocy nazw; [...] był przeświadczony, że senat i lud poddadzą się niewoli pod warunkiem, że się ich uroczyście zapewni, iż nadal korzystają z odwiecznych swobód”. Dalsze dzieje Rzymu wykazały, że przekonanie to było słuszne.

Ogólnie biorąc przygotowanie do tyranii obejmuje 3 elementy: 1) — struktury polityczne, które mogłyby istnieć niezależnie, winny być obalone lub przynajmniej podminowane; 2) — znaczniejsze figury polityczne winny być zawczasu — jak powiada Latey — „izolowane, sterroryzowane lub w grobie”; 3) — do dyspozycji stać musi zdyscyplinowana siła pomocnicza (w nowszych czasach nazywa się to partią). Napoleon w przeciwieństwie do Lenina i Hitlera nie miał partii, ale ponieważ punkty (1) i (2) skutecznie zrealizowała już Rewolucja, wystarczył sztab z „zawodowych ocalałych” (Talleyrand, Sièyes, itp.) i własnej rodziny. Zazwyczaj im staranniejsze przygotowanie, tym gładzsze przejęcie władzy. W okresie przygotowania nie wolno tracić czasu i energii na kwestie programu, wierność ideologii i rozważanie charakteru pomocników. Prawdziwi tyranie stoją zresztą zawsze *ponad* podziałem na prawicę i lewicę; klasycznym gambitem tyrańskim jest sojusz z jednym skrzydłem, rozbicie przy jego pomocy drugiego, błyskawiczny zwrot i rozbicie pomocników w imię hasła pokonanego już skrzydła (por. rozgrywkę Stalina po pokonaniu Trockiego; ponieważ Zinowiew i Kamieniew byli *przeciw* kontynuacji NEP-u, Stalin poparł Bucharina i Rykowa, którzy byli *za*; następnie po załamaniu grupy Zinowiewa, w imię słuszności polityki *anty-nepowskiej* zlikwidował NEP — i buchari-nowców).

Najważniejszą rzeczą w okresie przygotowawczym jest podminowywanie struktur istniejących (klasyczny przykład: okres „dwuwładzy” w Rosji między marcem a październikiem 1917); w tym czasie dopuszczalne są sojusze — wyłącznie taktyczne — z podobnymi ugrupowaniami. Po zdobyciu władzy pierwszym zadaniem staje się likwidacja konkurentów, tzn. tych, którzy w oczach społeczeństwa mało się różnią (w programie) od grupy tyranie (eserzy i anarchiści po 1917 roku w Rosji; socjaliści w krajach zagarniętych po wojnie; etc.). Ogólną zasadę rządów tyrańskich sformułowali już — oczywiście — starożytni Grecy: kiedy świeżo upieczony tyran Koryntu, Periander (VII-VI w. przed Chr.) zwrócił się do starszego kolegi Trazybulosa z Miletu z prośbą o poradę jak rządzić, ten wziął pościelną na przechadzkę wśród łąki pszenicy i bez słowa jął ścinać kijkiem wszystkie okazalsze kłosa. Rada ta przetrwała tysiąclecia.

Zdobycie władzy stwarza też problem, który w sformułowaniu Al Capone (kiedy spytano go, co sądzi o Mussolinim) brzmi: „Wszystko będzie O.K., jeśli potrafi utrzymać chłopców w ry-

zach". W praktyce oznacza to stosowanie rady Trazybulosa do własnych szeregów. Charakterystyczne w związku z tym jest pociągnięcie Lenina, który już w 1921, na X-tym zjeździe partii przeforsował uznanie „frakcyjności” (czyli krytyki) za przestępstwo, karane wykluczeniem z partii — zasadę tę (w obostrzonej formie) stosował potem szeroko tow. Stalin.

W tym miejscu warto zatrzymać się nad kwestią, czy można zestawiać Lenina ze Stalinem — i Hitlerem? Wielu nawet niekomunistów zachnie się w tym momencie. Latey zajmuje stanowisko ewangeliczne: „*po owocach ich poznacie ich*”. Nie chodzi tu nawet o fakt, że ofiarom jest obojętne, czy morduje się je w imię masy, rasy czy klasy, lecz o ogólniejszą prawidłowość, mianowicie, że *środkami zmieniają cele*. Stalin był w pewnym sensie naprawdę najlepszym uczniem Lenina z jego zasadą, że najważniejsza jest władza, a wszystko inne potem. W przeciągu roku, jaki upłynął pomiędzy końcem wojny domowej, a pierwszym atakiem paraliżu, Leninowi udało się zlikwidować wszelką opozycję zewnętrzną i wewnętrzną, przeprowadzić czystkę partyjną, zdławić Kronsztat, założyć Czeka i pierwsze obozy. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

Po objęciu władzy zaczyna się okres jej konsolidacji, czyli likwidacji opozycji (kolejno: faktycznej, potencjalnej, „potencjalnie potencjalnej” itd.) i „trzymania chłopców w ryzach” — i okres ten nie kończy się właściwie nigdy przed — fizycznym lub politycznym — końcem tyraństwa. Konsolidować można nieskończenie: wszak celem władzy jest tu władza. W sprzyjających (tyranowi) warunkach prowadzi to do totalizmu. W definicji Carl Friedrich'a z 1953 jest to system, w którym występują równocześnie następujące elementy:

1. oficjalna ideologia, rozciągająca się na wszystkie dziedziny ludzkiego życia, sformułowana w terminologii chialistycznej, z jakimś „stanem doskonałym” ludzkości jako celem;
2. jedyna partia, nosicielka tej ideologii, zorganizowana hierarchicznie i oligarchicznie, z małą grupką lub jednostką u szczytu;
3. monopol wszelkich środków zbrojnego oporu (w ręku partii, rzecz prosta);
4. monopol wszystkich środków masowego przekazu (także);
5. terrorystyczny system kontroli policyjnej.

W przeciwieństwie do autora tej definicji (i innych autorów, np. Hanny Arendt), Latey nie uważa totalizmu za wynalazek współczesny. Jest to w zasadzie punkt docelowy każdej tyranii od początku jej istnienia. Fryderyk II „Stupor Mundi” rozpoczął swe proklamacje od słów: „*Poddani, żyjący pod boskim niebem, oddychają wyłącznie z łaski prześwietnego Cesarza*” — i w tym jest esencją totalizmu. Elementy totalizmu, wymienione w definicji Friedricha, zawsze towarzyszyły — pod różnymi nazwami — każdemu tyranowi (szczególnie: pomagierzy, broń i policja). „Ideologia” jest tylko świecką odmianą mętnej mistyki, jaka zawsze otaczała absolutnych władców i w różnych „me-

diach” głosiła zawsze ten sam *message*: że władcy wszystko wolno. Masowa komunikacja jest potrzebna dopiero w masowych społeczeństwach; jej monopolizacja jest oczywistością z uwagi na to, że tyrania jest monopolem — w miarę możliwości wszystkiego.

Najwyższym osiągnięciem totalizmu w dziejach był stalinizm — i Latey, jak tylu innych przed nim, zastanawia się, o co właściwie Stalinowi chodziło. Pomijając wszelkie uzasadnienia „racjonalne” (likwidacja możliwości możliwości oporu) i irracjonalne (antysemityzm, paranoja, etc.) w tej orgii terroru pozostaje jakaś niemożliwa do wyjaśnienia reszta; (Orwellowi też jej się nie udało wyjaśnić). Latey proponuje oryginalną interpretację: „*Stalin budował gigantyczną potiemkinowską wieś*”. Absolutna władza daje możliwość projekcji osobistych przekonań, obsesji i aberracji tyraństwa na całe społeczeństwo (por. prześladowanie Żydów przez Hitlera w czasie wojny — zupełny idiotyzm z punktu widzenia „racjonalnych” interesów III Rzeszy). Stalin — jak sądzi Latey — w pewnym momencie rzeczywiście postanowił zrealizować ideę „nowego człowieka”, a skoro ucieleśnienie tej idei zwykłymi środkami odwlekało się, skoncentrował się na jej „odbiciu” w ludzkiej świadomości (epistemologia Lenina) — środkami... innymi. Wkraczamy tu w heglizm, a co najmniej psychopatologię (co właściwie na jedno wychodzi), ale jest w tym *sui generis* konsekwencja: skoro Prawda polega na połączeniu w jedno Esencji i Egzystencji drogą Procesu Historycznego, który z góry, dzięki Teorii, znamy, to łącząc je w ludzkiej świadomości na wyrost — uzyskamy Prawdę od razu... Mówiąc prościej, była to próba zastosowania zasady realizmu socjalistycznego („*tak jak w rzeczywistości, tylko trochę lepiej*”) do samej rzeczywistości. Wynikiem był kicz — dosłownie potworny.

To, że „twórczość artystyczna” tyranów musi kończyć się kiczem przewidział już Pascal, definiując tyranie jako próbę uzyskania czegoś, co można mieć tylko w jeden sposób — środkami innymi (np. miłości — siłą). Tak więc jedyną realną rzeczą w tyranii jest władza — i poza nią jest tylko upadek. Zależnie od czasów i zwyczajów: w śmierć, w przegraną, w „leczniczą rządową”, w nieważną ambasadę — tak czy owak: w niestawę. I tego „panowie od historii” bardzo nie lubią — stąd klasyczny obraz tyraństwa przed upadkiem stanowi mieszaninę megalomanii, paranoi, litości nad sobą samym, i zwłaszcza: ucieczki od rzeczywistości. Ponieważ każdy tyran jest zawsze *przed* upadkiem, symptomy te występują wcześniej i zaostrzają się szybko. Bywa to groźne dla poddanych, ale jest jeszcze groźniejsze dla samych tyranów — i w tym pewna pociecha i nadzieja. Nadzieję można też czerpać stąd, że mimowolne cnoty, tak jak grzechy, wydają owoce. Nie można być tyranem bez armii, nie można mieć armii bez przemysłu, nie można mieć przemysłu bez wykształconych poddanych. Wykształcenie zaś uodparnia na „izmy”, utopie i całą totalitarną mistagogię — krótko mówiąc: unormalnia. Zaś ludzie normalni nie tylko chcą po prostu żyć — chcą też żyć w sza-

cunku dla samych siebie, czyli w prawdzie i wolności. Tyrania nie upada automatycznie od tych ideałów. Ale im bardziej się one rozpowszechniają, tym większym nadużyciem i anachronizmem staje się tyrania. A większe nadużycie, to większy strach tyrana, bo większa szansa upadku. Więc także większa szansa, że potencjalni tyrani — też w końcu ludzie — przehandlują nadużycie za mniejszy strach. I mniejszą niesławę.

Kazimierz Wierzyński napisał przed laty wiersz o Gomułce — „towarzyszu w-niesławie” — nie przewidując w jakiej niesławie upadną Gomułka i towarzysze. Nawet dobrze, że upadli w bety, a nie w żadne pseudo-męczeństwa. Niech żyją. Tym większa niesława.

Niesława bywa trwalsza od sławy. W czwartym wieku przed Chr. rządził w Syrakuzach tyran Dionizjusz z całym sztafajem morderstw i tajnej policji. Pewna grota koło Syrakuz do dziś zwie się „Uchem Dionizjusza”. Ma osobliwą akustykę: kiedy wypowie się przed nią słowo, wewnątrz rozlega się szept wielu ludzi; kłaśnieć rozbrzmiewa jak wystrzał; darcie papieru przypomina serie z automatu; dźwięk kołatki u drzwi na placyk przed grota — ryk dział. Przewodnik chętnie zabawia turystów tymi osobliwościami. Holenderski pisarz Willem Hermans, który to opisał, zamyka swój szkic słowami:

„I kiedy po zakończeniu swej demonstracji przewodnik zdejmuję z głowy urzędową czapkę, a turyści sięgają do kieszeni po drobne, w Uchu Dionizjusza wciąż jeszcze huczy — tak jak zawsze huczy w uszach wszystkich tyranów: szept zamienia się w spisek, gdy ktoś zaklaszcze — padają strzały, kiedy się podrze gazetę — terkoczą karabiny maszynowe, a na zapukanie do drzwi odpowiadają armaty”.

Jak w Polsce, dwa lata temu, na Wybrzeżu.

M. BRONSKI

Uwagi czytelnika

Hość książek poświęconych sowieckiemu „Samizdatowi” i ruchom opozycyjnym rośnie jak lawina. Temat stał się modny i należy przypuszczać, że wzbudza zainteresowanie jeśli w różnych krajach świata, w różnych językach, pojawiają się zbiory dokumentów, prace „samizdatowskich” historyków, filozofów, dzieła im poświęcone, itd.

Nie wszystko jednak w tym potoku jest wartościowe. Najbardziej interesujące są zbiory „samizdatowskich materiałów” (w Anglii wyszedł wybór „Kronik bieżących wydarzeń” w języku angielskim z wnikliwą przedmową prof. Peter Reddaway). Próby napisania historii ruchów opozycyjnych w ostatnich dziesięciu latach, podejmowane w różnych krajach, jak dotąd nie dały zadowalającego rezultatu.

Spróbuję dać krótkie informacje o książkach, które pojawiły się w ostatnim czasie i — z różnych powodów — zwracają uwagę.

Amerykańskie wydawnictwo Stein and Day, New York, wydało pierwszą wielką biografię Aleksandra Sołżenicyna. Jej autorzy — Amerykanin George Feifer i urodzony w Rosji angielski dziennikarz David Burg — do tej pory literaturą się nie zajmowali. Feifer będąc studentem był na stażu w Moskwie i opisał potem sowiecką procedurę sądową w sprawach karnych i politycznych w książce pt. „Sprawiedliwość w Moskwie”, potem napisał powieść „Dziewczyna z Pietrowki”, która laurów mu nie przyniosła. Burg pisze w *Sunday Times* i *Observer*, gdzie uchodzi za specjalistę od Związku Sowieckiego. Wyjściu książki towarzyszył skandal: przyjaciele Sołżenicyna, będący za granicą, gwałtownie zaprotestowali przeciwko tej biografii. Sam Sołżenicyn protestował przeciw niej jeszcze bardziej ostro i w wywiadzie, udzielonym niedawno amerykańskim korespondentom, skłął autorów przygotowywanej wówczas do druku biografii słowami bardzo niedyplomatycznymi.

Można zrozumieć oburzenie Sołżenicyna po przeczytaniu książki. Lektura biografii człowieka żyjącego, zawsze wzbudza uczucie pewnego zawstydzenia: jeśli bohater się na nią zgodził, podejrzewa się apologię, jeśli zaś się nie zgodził — wtrącanie się do cudzego życia. Czytając książkę Burga i Feifera nie można pozbyć się wrażenia, że czyta się policyjne *dossier*. Autorzy stale powołują się na „przyjaciela” Sołżenicyna, na „znajomego” Sołżenicyna, na „człowieka, którego nazwiska jeszcze dziś nie można podać”. Sam pisarz odmówił spotkania z autorami i dania im jakichkolwiek materiałów o sobie. Koniec końców tego materiału jest niemało. Pisarz w swoim czasie udzielił wywiadów: czeskiemu dziennikarzowi Pavel Liczko i dziennikarzowi sowieckiemu oraz mówił o sobie na posiedzeniu zarządu Związku Pisarzy, w wywiadzie dla amerykańskich dziennikarzy.

Wykorzystawszy całkowicie wszystkie znane dokumenty, Burg i Feifer ułożyli wiele starań w poszukiwanie materiałów nieznanych, plotek, relacji byłych znajomych, itd. Pracowali jak sędziowie śledczy. I jak sędziowie śledczy — śledczy sowieccy — nie uważali za potrzebne zapoznać czytelników ze źródłami swojej dokumentacji. W książce liczącej 371 stron nie znalazło się miejsca na bibliografię. Autorzy najwidoczniej chcieli stworzyć wrażenie, że cały materiał zebrany w grubym tomie pochodzi od nich.

Sołżenicyn stale twierdził, i nadal twierdzi, że wszystko co czytelnicy powinni o nim wiedzieć, znajduje się w jego książkach.

Burg i Feifer ma się rozumieć wykorzystali również i książki Sołżenicyna w poszukiwaniu materiału biograficznego, dopuszczając się przy tym niedopuszczalnych dowolności w interpretowaniu sylwetek bohaterów, w zgadywaniu „kogo chciał przedstawić” autor.

Pierwsza biografia Sołżenicyna nie udała się. Nie ma wątpliwości, że za nią pojawią się inne. Ale ciekawe byłoby przeczytać nie biografię, a autobiografię najwybitniejszego rosyjskiego pisarza naszych czasów.

Książka Borysa Lewickiego „Polityczna opozycja w Związku Sowieckim 1960-1972. — Analiza i dokumentacja”¹. posiada wszystkie cechy, których brakuje biografii Sołżenicyna: naukowe podejście, powaga, solidność. Borys Lewickij daje skondensowaną, ale całkowicie wystarczającą, informację o ruchach opozycyjnych lat 60-tych w ZSSR, o poszczególnych grupach opozycyjnych i działaczach. W rozdziale „Dokumentacja” podane są ważniejsze teksty obrazujące zasięg i różnorodność ruchów opozycyjnych, mamy krótkie biografie 14-tu czołowych działaczy opozycji — od Piotra Gryorenko do Wiaczesława Czornowiła, spis więźniów politycznych liczący 670 nazwisk i obszerną, dobrze zebraną, bibliografię.

Książka Borysa Lewickiego może służyć jako niezawodny przewodnik dla wszystkich, którzy interesują się tym tematem. Za jej specjalną zaletę uważam po pierwsze informacje o politycznej opozycji w republikach narodowych, przede wszystkim na Ukrainie (niestety bardzo często autorzy książek na ten temat ograniczają swoje zainteresowania do republiki rosyjskiej), a po drugie materiały o grupach opozycyjnych, odrzucających demokrację (autor zatytułował ten rozdział „Grupy faszystowskie”). O tych tendencjach, istniejących w sowieckiej opozycji, z reguły badacze nic nie piszą.

Ponieważ ten rozdział wydaje mi się specjalnie ważny i nie spotykany u innych autorów, chciałbym odnotować to, co wydaje mi się nieścisle. Borys Lewickij pisze: „niezmiernie charakterystyczne jest to, że nic nie wiadomo o represjach KGB w stosunku do tych (faszystowskich) grup” (str. 87). A nieco dalej, zupełnie słusznie zaznacza się, że jeden z liderów jednej z tych grup, A. Fetisow, i jego siedmiu towarzyszy było aresztowanych (str. 94). Długie lata przesiedział w łagrach i redaktor neostalinowskiego *Wiecze*, Osipow. Prawda — Borys Lewickij nie włącza Fetisowa do rozdziału „Grupy faszystowskie”, umieszczając go w rozdziale „Stalinowski opór”. Wydaje mi się, że neostalinowców (a może po prostu stalinowców) należy raczej zaliczyć do kierunku faszystowskiego niż neostalinofilów z *Wiecze*. Ale to już jest spór pryncypialny. Sam Fetisow nie ukrywa, że jego mistrzami są Stalin i Hitler.

1. Borys Lewytzkij: *Politische Opposition in der Sowjetunion 1960-1972*. Analyse und Dokumentation, DTV, München.

Jedyny zarzut, który mógłbym zrobić autorowi, że nie wyjaśnił nam, czym powodował się biorąc 1960 rok jako dolną granicę — ta data wydaje mi się przypadkowa.

Książka amerykańskiego pisarza i dziennikarza Abrahama Rothberga „Następcy Stalina: dysydenci i reżym sowiecki, 1953-1970”² w jakiś sposób uzupełnia i rozszerza opracowanie Borysa Lewickiego. W „Następcach Stalina” wiele miejsca zajmuje historia ruchu literackiego w Związku Sowieckim po śmierci Stalina. Trudno polemizować z tym, że właśnie literacka, a nie polityczna opozycja odegrała najważniejszą rolę w obudzeniu społeczeństwa sowieckiego po śmierci Stalina.

Książka Rothberga jest pracą dziennikarza, a nie badacza. Autor nie ukrywa swego uczuciowego zaangażowania w to, o czym pisze. Głównymi wydarzeniami procesu literackiego, który wstrząsnął Rosją, są — zdaniem autora: sprawa Pasternaka, sprawa „Iwana Denisowicza”, sprawa Brodskiego, sprawa Siniawskiego i Daniela, sprawa Allilujewej, interwencja w Czechosłowacji, sprawa Amalrika, sprawa Jauręsa Miedwiediewa, memorandum Sacharowa, i znowu sprawa Sołżenicyna — nagroda Nobla. Możliwe, że autor upraszcza historię, „amerykanizuje” ją. Ale książkę czyta się lekko i zawiera ona dużo materiałów, przede wszystkim o literaturze sowieckiej ostatniego dwudziestolecia.

Myślę — nie mam takiej statystyki, ale tak mi się wydaje — że na każde dziesięć książek w Związku Sowieckim przypada w najlepszym wypadku tylko jedna książka o krajach Europy Wschodniej. Jako zasada — o wszystkich krajach naraz w jednej książce. Jako dobry przykład takich prac może służyć monografia „Komunistyczne państwa w zamęciu. 1965-1971”, wydana przez Uniwersytet Minnesota pod redakcją Adama Bromke i Teresy Rakowskiej-Harmstone³. Jest to jakby przedłużenie wydanej w 1965 roku pracy „Państwa komunistyczne na rozdrożu: między Moskwą a Pekinem”. W nowej książce jest 16 artykułów poświęconych zarówno poszczególnym krajom obozu komunistycznego, jak i problemom teoretycznym: „Policentryzm w Europie”, „Konflikt chińsko-sowiecki”, i „Perspektywy stosunków ekonomicznych”.

W artykułach poświęconych poszczególnym krajom (o Polsce pisze W. K. Chrypiński) czytelnik znajduje krótki przegląd wydarzeń minionego pięciolecia, w większości wypadków fakty znane z prasy. Książka jest interesująca z innego powodu. Jest

2. Abraham Rothberg: *The heirs of Stalin: Dissidents and the Soviet Regime. 1953-1970*. Cornell University Press, Ithaca and London.

3. *The Communist States in Disarray 1965-1971*. Edited by Adam Bromke and Teresa Rakowska-Harmstone. University of Minnesota Press, Minneapolis.

ona niezmiernie charakterystyczna dla stosunku Zachodu wobec krajów Europy Wschodniej.

Myśl zasadniczą wszystkich artykułów tej analogii można by tak sformułować: kraje Europy Wschodniej znajdują się w sferze wpływów Rosji; to może nie jest przez nich zawinione, ale jest to ich kłopot i nie można im w niczym pomóc; każdy kraj ma taki ustrój na jaki zasługuje; ustrój komunistyczny, niemożliwy dla krajów zachodnich, jest zupełnie do przyjęcia przy niewielkich modyfikacjach w krajach Wschodniej Europy; ich nadzieja, to czego jedynie oczekują — poprawa sytuacji materialnej — nastąpi w latach 70-tych, gdyż Związek Sowiecki przygotowując się do konfliktu z Chinami będzie zmuszony pójść na niektóre ustępstwa w swoim imperium.

„Naród” — pisze W.K. Chrypiński w artykule poświęconym Polsce — „sądzi swoich przywódców przede wszystkim według poziomu dobrobytu ekonomicznego. W tej dziedzinie mamy oznaki dodające otuchy, świadczące że Gierek już rozpoczął działalność w pożądanym kierunku i można być przekonanym, że reżym uczyń życie narodu bardziej znośnym”.

Czytelnika drażni, a w każdym razie drażniło mnie, to „przekonanie” autorów, przekonanie w pełni marksistowskie (a skąd to właśnie w Minnesocie?), że znana im jest przyszłość, że mogą oni z całą pewnością nakreślić linię rozwoju wszystkich narodów Wschodniej Europy na najbliższe dziesięciolecie.

Naczytawszy się historyków głęboko przekonanych, że znają przyszłość, że znają wszystkie prawa historii i społeczeństwa, z wielką przyjemnością przeczytałem książkę świadczącą, że człowiek stara się uporczywie naruszać wszystkie prawa historii nawet jeśli wie, że mu się to nie uda.

Szereg lat temu amerykański pisarz Leon Uris, autor głośnego „Exodus'u” napisał kolejny *best-seller* „Topaz”. Książka jeszcze nie zdążyła się ukazać, a już Hitchcock przeniósł ją na ekran. Uris zapewniał w przedmowie, że jego książka jest oparta na faktycznym materiale, dostarczonym mu przez człowieka, którego nazwiska nie chce ujawnić. Niedawno ten człowiek — P.L. Thyraud de Vosjoly — niezadowolony z tego, jak Uris wykorzystał jego opowiadania, sam napisał książkę o swoim życiu. Książka, napisana w ojczystym języku autora — po francusku — wyszła w Kanadzie i w Belgii, ale we Francji wytoczono autorowi sprawę karną⁴.

Książka ta zainteresowała mnie przede wszystkim tym, że jej autor — wypadek chyba raczej rzadki — „wybiera wolność” w Stanach Zjednoczonych, ale ucieka nie z żelaznej kurtyny, jak to się zdarza, ale z Francji. Wybitny francuski dwójkarz, przedstawiciel wywiadu francuskiego przy C.I.A. Thyraud de Vosjoly nie wrócił do Francji, został dezertorem, gdyż — jak sam twierdzi — wywiad francuski znajduje się w rękach agentów

4. P.L. Thyraud de Vosjoly: *Lamia*, Les Editions de l'Homme.

sowieckich. Nie mnie sądzić ile są warte oskarżenia francuskiego dwójkarza, przytaczającego zresztą całkiem logiczne argumenty. Warto jednak zaznaczyć, że włoski reżyser Rossi w swym filmie „Sprawa Mattei” wykorzystuje zeznania Thyraud de Vosjoly, twierdzącego, że włoskiego nafiarcza zabił agent francuskiego wywiadu.

Czytając takie książki jak „Lamia” (był to pseudonim autora w wywiadzie) — zaczyna się wierzyć, że ludzkość jeszcze nie jest całkowicie zautomatyzowana, że są jeszcze ludzie myślący, że mogą oni zmienić bieg historii, przy pomocy takich stosunkowo prostych środków, jak kindżał, pistolet, albo — niewielka — bomba.

Adam KRUCZEK

Przedziwna antologia

Wydawniczy „cykl produkcyjny” jest widocznie w USA dłuższy jeszcze niż w Polsce. Inaczej naprawdę trudno by było wytłumaczyć sobie fakt ogłoszenia w 1972 roku książki o PRL, w której nie ma słowa o wydarzeniach z grudnia 1970 roku. Materiał informacyjny zawarty w publikacji prof. Tadeusza N. Cieplaka* wyczerpuje się na rok 1968. Coś jednak w kraju od tego czasu zaszło i coś się zmieniło. Powiedzmy wprost: „Poland Since 1956” jest książką pozbawioną aktualności politycznej. Niektóre komentarze jej redaktora, poprzedzające poszczególne rozdziały — np. te, które z całą powagą traktują o roli i znaczeniu Gomułki — niecierpliwą swoim anachronizmem, a wśród enuncjacji przedrukowanych z prasy krajowej zgoda budzą wesołość, jak np. przemówienie Kliszki na IV Zjeździe PZPR w 1964 roku.

Można by w odpowiedzi zauważyć, że błąd tkwi w tytule książki. Wystarczyłaby drobna zmiana, a wydawnictwo pt. „Poland from 1956 to 1968” stałoby się dobrym źródłem informacji o sprawach polskich w ograniczonym tymi datami okresie. Niestety wydane przez prof. Cieplaka dzieło zawiodło i w tym charakterze. Pomijam już niebagatelny fakt, że czytelnik nie znalazłby w tej książce najmniejszej wzmianki o dokonanym w 1968 r. najeździe na Czechosłowację i udziale w nim polskiego wojska. Żaden z rozdziałów — jest ich siedem: „The October (1956) Upheaval In Retrospect”, „The Party System”, „The Pressure Groups”, „The Government”, „The Economic System”, „Social Attitudes and the Political System” i, rozdział ostatni, nie mający wiele wspólnego ani z tytułem ani z tematyką książki: „Special Aspects in the Relations between the United States and

* *Poland Since 1956*; Readings and Essays on Polish Government and Politics Selected and Edited by Tadeusz N. Cieplak, LL.M., Ph.D., Department of Political Science. St. John's University; Twayne Publishers, Inc., New York [1972]; str. 482 i 6 nlb.

Poland” — nie przynosi wyczerpującego i obiektywnego oświetlenia problemu, jakiemu został poświęcony. Przyjętemu przez redaktora tej swoistej antologii założeniu drukowania obok siebie materiałów z prasy krajowej i rozważań polityków i publicystów działających na Zachodzie należałoby nawet przyklasnąć, gdyby nie błędy popełnione przy jego realizacji.

Jeśli chodzi o materiały krajowe, to dokumentacja oficjalna jest nie tylko przestarzała, ale w świetle wypadków politycznych ostatnich lat wykazuje, z bardzo nielicznymi wyjątkami, swoje zafałszowanie, a zatem brak jakiegokolwiek wartości poznawczych i informacyjnych. Wiadomo także, że zreferowane przy pomocy kontrolowanych środków przekazu w PRL wypowiedzi polityków, literatów i uczonych takich jak Stanisław Stomma, Stefan Kisielewski czy Leszek Kołakowski (reprezentowany w „Poland Since 1956” ... artykułem „Personality in a Vision of Society” wydrukowanym w październiku 1966 roku w miesięczniku *Poland*, „an official publication of the Government of People's Republic of Poland”) nie mogą być uważane — jak to niedwuznacznie sugeruje redakcja antologii — za nie skrupowane głosy krajowej opinii publicznej.

Dobór enuncjacji i rozpraw zagranicznych zadziwia swoją przypadkowością. Obok bardzo interesującego i świadczącego o doskonałej orientacji w krajowych zjawiskach politycznych studium Adama Ciołkosza o polskim rewizjonizmie („The Rise and Fall of Modern Revisionism in Poland”) antologia zawiera, oparte na domysłach i błędnych — jak tego dowiodła już historia — spekulacjach, uwagi kilku „ekspertów od spraw wschodnio-europejskich”. Noszą oni nazwiska mniej lub bardziej znane, o brzmieniu polskim i obcym, reprezentują te czy inne instytucje i zakłady naukowe, ale, niestety, z treści ich prac najczęściej wynika, że są całkowicie oderwani od realnej rzeczywistości w PRL. Artykuł Witolda Jedlickiego o „Klubie Krzywego Koła”, wzięty z organu Free Europe Committee „East Europe”, należy, oczywiście, do najbardziej miarodajnych pozycji wyboru, ale nie sposób zrozumieć, dlaczego polskojęzyczne materiały Radia Wolna Europa ograniczono do jednego felietonu Aleksandry Stypułkowskiej („Poles and Jews”), a w rocznikach paryskiej *Kultury* nie znaleziono w ogóle nic, co by zasługiwało na przedruk w książce o „Polsce po 1956 roku”. Nazwisko Juliusza Mieroszewskiego nie figuruje nawet w indeksie. Podobnie zignorowano wielu innych publicystów oraz liczne wydawnictwa i pisma polskie na Zachodzie.

Z przykrym uczuciem odkładałam wydaną w 1972 roku na Zachodzie książkę o Polsce, w której nawet marzec 1968 roku i antysemicka akcja partyjno-rządowa końca lat sześćdziesiątych potraktowane są pobieżnie i jakby od niechcenia. Książkę, w której jest mowa Jarosława Iwaszkiewicza na „Kongresie Polskiej Kultury” w Lublinie (w roku 1966), a Jacek Kuroń i Karol Modzelewski pokwitowani zostali przytoczeniem kilku zdań z „Listu otwartego” w artykule Jerzego Ptakowskiego „Gomułka and His Party”. Gdzie podciąga się pod wspólny mianownik nigdy nie ogłoszony w kraju „List 34-ch” i urzędowe elukubracje firmowane przez Gomułkę i Cyrankiewicza. Gdzie prof. Jan Szczepański występuje jako autor artykułu „The Polish Intelligentsia: Past and Present”, do którego autor „Rozważań o Rzeczypospolitej” z pewnością niejedno by teraz dodał, a „Tez o nadziei i beznadziejności” Leszka Kołakowskiego czy analiz Władysława Bieńkowskiego próżno by szukać.

To smutne, że pod wpływem tego rodzaju publikacji będzie się kształtowała opinia anglosaskich kół czytelniczych — polityków, intelektualistów, studiującej młodzieży i mniej lub bardziej szerokich mas — o współczesnym obliczu Polski.

Szalom Asz

Pod koniec 1964 roku ukazał się zbiór nowel Sz. Asza w przekładzie polskim Stanisława Wygodzkiego*. Opowiadania te nie znajdują się jednak — niemal wcale — w żadnej korelacji do głównych i reprezentatywnych dzieł pisarza; zbiór obejmuje zaledwie kilkanaście krótkich opowiadań o zdarzeniach i sytuacjach peryferyjnych małych miasteczek, gdzieś na przełomie XIX i XX wieku i stoi daleko od szerokiego i głównego nurtu którym żyło społeczeństwo żydowskie. O pisarzu, jego obfitości i znamiennej twórczości, czytelnik polski nadal nic nie wie i tym samym pozbawiony jest pewnych istotnych wartości. To, że tłumaczony zbiorek nie obejmuje zasadniczych dzieł Asza, jest czymś więcej niż mankamentem; bez nich bowiem opowiadania spełniają rolę krzywego zwierciadła, wypaczającego obraz narodu i jego problemów, kreślony z pietyzmem przez pisarza w dziełach zasadniczych.

Do najważniejszych należą: *Miasteczko*, *Motkę Złodziej*, *Żyd-psalmista*, *Martyrologia wiary*, *Wojna trwa dalej*, *Czarodziejka z Kastylii*, *East River*, *Nazareńczyk*, *Apostoł*, *Maria*, *Mojżesz*, *Prorok*, *Przed potopem*, *Petersburg*, *Warszawa*, *Moskwa*, *Niewolnicy Boga*, *Nad przepaścią*; eseje: *Do Ameryki*, *Moja wiara*, *Los — list do chrześcijan*.

Patrząc na te tytuły dziwić się nie trzeba, że dzieła jego tłumaczone zostały na większość języków europejskich. Stając się w ten sposób pisarzem w skali światowej, pozostał niemal nieznanym w Polsce, w kraju swego urodzenia. W czasach „dawnych” jego sztuka teatralna (*Z prądem*) grana była na scenie polskiej w teatrach Krakowa i Warszawy. W 1906 roku znana rosyjska artystka Wiera Komisarzewskaja wystawiła w Petersburgu sztukę Asza — *Czasy Mesjasza* (Tytuł rosyjski brzmiał: *Na puti w Syjon*). W tym samym roku sztukę tę wystawiono w Warszawie w języku polskim. Dramat *Bóg zemsty* wywołał wiele gorących polemik, ale począwszy od 1908 wszedł do repertuaru światowego. Sztuka była grana nie tylko w teatrach żydowskich Rosji i Ameryki, lecz także w „Teatrze niemieckim” Maxa Reinhardta w Berlinie. Grano ją również w Frankfurcie, Pradze, Wiedniu, Budapeszcie. Po rosyjsku szła w Moskwie i Petersburgu, po polsku — w Warszawie i Krakowie, po duńsku w Kopenhadze. Przetłumaczono ją również na francuski, angielski, włoski. „Nazareńczyk” i „Apostoł” ukazały się najpierw po angielsku i wywołały daleko rozchodzące się fale dyskusyjne ze względu na ich wydźwięk religijny.

Ciekawe są powiązania Asza z literaturą polską. Blisko zaprzyjaźniony z nim Stefan Żeromski był tym, który pomógł mu w nawiązaniu kontaktu z Teatrem Miejskim w Krakowie. I dzięki staraniom Żeromskiego ukazały się niektóre tłumaczenia polskie utworów Asza jeszcze wtedy, gdy dopiero rozpoczynał literacką karierę. Jest też rzeczą interesującą, iż Władysław Reymont, z którym Asz był również w zażyłej przyjaźni, radził mu tworzyć w języku polskim; pod tym wpływem napisał w języku krótkie opowiadanie po polsku pt. „Czapka napoleońska”. Żeromski był jednak odmiennego zda-

* St. Wygodzki: *Opowiadania*. Czytelnik, Warszawa, 1964.

nia i sądził, że powinien pisać po żydowsku. Opinie te podzielali i inni pisarze polscy.

Na bankiecie polskiego oddziału PEN-Clubu urządzonym na cześć Asza w 1928 roku, solenizant powiedział:

„Ja osobiście wiele zawdzięczam literaturze polskiej. Pierwsze poznane przeze mnie książki, były dziełami Prusa... Potem miałem szczęście spotkać się z wielkim polskim umysłem, ze Stanisławem Witkiewiczem. U niego nauczyłem się powagi, z którą należy odnieść się do mojej profesji. I właśnie Witkiewicz, ten wielki patriota polski, pobudził mnie do pisanja w języku żydowskim”.

O zapładniającym charakterze twórczości Asza świadczyć może fakt nieczęsto spotykany: do roku 1960 zebrano opublikowanych o niej 2.440 książek, większych i mniejszych artykułów, napisanych przez 646 autorów.

J. KOWALSKI

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie

Badania nad historią Emigracji i tzw. „Polonii”

17. INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO. *Pamiętniki emigrantów*. Kanada. Nr 1-16. (Adam Andrzejewski: Przedmowa). Warszawa (1971), Książka i Wiedza, str. 495 (5).

Teksty 16 pamiętników nadesłanych do Instytutu Gospodarstwa Społecznego w odpowiedzi na konkurs ogłoszony w roku 1936. Ogłoszeniu ich w roku 1939 przeszkodził wybuch wojny. Wydano je obecnie z inicjatywy Tad. Szturm de Sztrema, poprzedzając szkiecem Haliny Janowskiej o „Wychoźtwie polskim w Kanadzie” oraz charakterystyką „Pamiętników i pamiętnikarzy” Mariana Marka Drozdowskiego.

18. KŁOSSOWSKI, Andrzej: *Rola księgarstwa i drukarstwa polskiego na obczyźnie*. Stan i problematyka badań. (Artykuł ogłoszony w t. I „Studiów o książce”, Wrocław, 1970, Ossolineum, str. 133-158, ilustr.).

Autor ocenia pozytywnie ruch wydawniczy XIX wieku, uważając, że „rodacy na obczyźnie nie zaprzepaścili niemal żadnej okazji do podejmowania różnych propolskich akcji politycznych, społecznych i propagandowych oraz manifestowania swego związku z Macierzą”. Wyjątek: „część współczesnego wychodźstwa politycznego”, którą „cehuje obojętność lub wrogość wobec najżywniejszych interesów narodowych”. Gdyby nie Emigracja — dowodzi jednak — nie osiągnęliby szczytów działalności „...Ignacy Paderewski, Feliks Dzierżyński, Julian Marchlewski, Władysław Sikorski i Julian Tuwim”. Podobna precyzja sformułowań i dobór przykładów cehuje całość

opracowania, w którym tania propaganda miesza się z deklaracjami typu „księgarstwo i drukarstwo polskie na obczyźnie należało do zawodów o najwyższej randze społecznej i patriotycznej”.

19. WŁOSZCZEWSKI, Stefan: *Polonia amerykańska*. Szkice historyczne i socjologiczne. Wstęp: Mieczysław Fudali. Warszawa, 1971, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, str. 262.

Praca klasycznie „polonijna”, mieszcząca się doskonale w ramach propagandowych poczynań Tow. Łączności z Polonią Zagraniczną. Okres najnowszy, po roku 1945, traktowany jest bardzo pobieżnie; w obrazie przeszłości dominują „walki ideologiczne i rozbitcie Polonii amerykańskiej”. Wartość opracowania minimalna.

20. EMIGRACJA POLSKA W BRAZYLII. (Księga jubileuszowa poświęcona stuleciu emigracji polskiej w Brazylii. Wyboru tekstów dokonał Antoni Olcha). (Warszawa), 1971, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 551 (5) p., ilustr., mapy, bibliogr.

Antologia, obrazująca dzieje emigracji polskiej w Brazylii, opracowana na zlecenie Tow. Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, starannie pomijająca działalność emigracji politycznej po II Wojnie Światowej.

Literatura piękna (poezja)

21. HERBERT, Zbigniew: *Wiersze zebrane*. Warszawa, 1971, Czytelnik, 80, str. 344.

Tom obejmuje przedruki: „Struny światła”, „Hermesa, psa i gwiazdy”, „Studium przedmiotu” i „Napisu”. Jest spóźnionym, choć nie przedawnionym, spełnieniem wielokrotnie wyrażanego dezyderatu udostępnienia całokształtu twórczości wybitnego, jeśli nie najwybitniejszego, poety krajowego. Tom w bardzo starannej szacie graficznej ukazał się w zenująco niskim nakładzie (4.280 egz.).

Literatura piękna (utwory powieściowe)

22. WITKIEWICZ, Stanisław Ignacy: *622 upadki Bunga czyli Demoniczna kobieta*. Wstępem poprzedziła i opracowała Anna Micińska. Warszawa, 1972, PIW, str. 546.

Młodzieńcza powieść, rozpoczęta w latach 1910-11, parokrotnie podejmowana na nowo i uznawana za niegodną druku „z powodów niezależnych od autora”, ukazała się obecnie w nakładzie 25.000 egzemplarzy!

23. STACHURA, Edward: *Siekierzada albo Zima leśnych ludzi*. Warszawa, 1971, Czytelnik, str. 243.

W dniu rozpoczęcia akcji powieści zginął pod kołami pociągu aktor Zbyszek Cybulski — a bohater, Janek Pradera, wyruszył na roboty leśne, uciekając od miasta w związku z jakimiś ciężkimi przeżyciami osobistymi. W zakończeniu Janek wyrusza do mgławicowo zarysowanej Gałazki Jabłoni, by zginąć we mgłę, utraciwszy nawet zdolność dziwienia się nad sytuacją. Ironiczne nawiązanie do „Lata leśnych ludzi” w tytule powieści znacząco podkreśla aktualność poruszonych w niej problemów życia „we mgłę, przed którą nie można uciec” i egzystencji w klimacie „wielkiego dostojnego smutku świata”. Warto przytoczyć autocharakterystykę bohatera powieści Stachury: „Ja, Janek Pradera, włóczęga i b. student, trzy lata archeologii słowiańskiej, uczestnik wielu bójek ulicznych, wielokrotnie ranny, ścigany

ongis niesłusznie, jak się później okazało, przez władzę ludową, ścigany ciągle i niesłusznie, jak się na pewno kiedyś okaże, przez mgłę, ten dym ten dym, tę mgłę tę mgłę" [...] przyrzekłem sobie ja, że nie dam pognebić siebie takiego jaki jestem: zakochany, niewymownie, niewypowiedzianie przepięknie w tobie zakochany dziewczynko najmilsza, Gałązko Jabłoni życia mojego mglistego. I niech sobie będą wszyscy mądry ze swoimi rozumami, a ja z moją miłością niech sobie będę głupi". „Ile razy kiedy zapędziałem się myślą daleko daleko, tam gdzie za dałaś i tak dalej, straszło mnie to, co widziałem przez ledwie uchylone ze strachu powieki”.

Autor powieści, Stachura, ur. we Francji w 1937 roku, romanista, debiutował w roku 1957, jako poeta. Właściwą mu formą wypowiedzi zdaje się być raczej proza, której okres terminatorstwa poetyckiego dobrze się przysłużył. Oryginalny, obiecujący talent.

Historia literatury

24. SZARAMA-SWOLKIENIOWA, Maria: *Maria Krysińska, poetka francuskiego symbolizmu*. Kraków, 1972, Uniw. Jagielloński, str. 132. (Zeszyty Naukowe Uniw. Jagiellońskiego, CCLXXXVII, Prace Historyczno-literackie, zes. 23).

Nazwisko Marii Krysińskiej-Bellenger, Polki, piszącej po francusku, związane jest z początkami wiersza tzw. „wolnego” (*vers libre*) powstałego na gruncie opozycji przeciw parnasistom. Debiutowała jako piosenkarka w „Chat Noir”, jako poetka w „La Libre Revue”. Uważała się za pionierkę (jeśli nie wynalazczynię) wiersza wolnego wbrew roszczeniom Gustawa Kahna, z którym ostro polemizowała. Osoba, twórczość i działalność artystyczna Krysińskiej, czynnej uczestniczki rewolucji poetyckiej lat 1900-ych, doczekała się w monografii M. Szarama-Swolkieniowej rzetelowego oświetlenia na podstawie sumiennego przebadania trudnodostępnych i rozproszonych materiałów i dobrej znajomości epoki.

Conradiana

25. BRAUN, Andrzej: *Conrad — dotknięcie Wschodu*. Wstęp, opracowanie i zdjęcia: Andrzej Braun. Opracowanie graficzne: Andrzej Strumiłło. Warszawa, 1970, Wyd. Artystyczno-Graficzne, ósemka podłużna-album, str. 272, ilustr., mapy.

Reportaż fotograficzny z Indonezji, mający na celu „ewokowanie conradowskiego obrazu świata”. Braun ukazuje w zręcznej mieszanke własne zdjęcia i stare fotografie z ostatniej ćwierci XIX wieku, tworząc z nich to do cytów z odpowiednich utworów Conrada i nielicznych realiów, takich jak fotografie „Otogo”, nagrobków Olmeyerów (= conradowskim Almayerom) czy podobizna A. P. Williamsa, prototypu Lorda Jima. W cytatach wyraźny nacisk na opisy przyrody, nasuwające *nota-bene* uderzające analogie z Żeromskim. Patos, którym są nasycone, jest słabością i siłą Conrada, odrzuca lub przyciąga czytelników. U Brauna występuje w potężnej dawce — podkreślony ponadto niemal młodopolskim słownictwem przekładów Anieli Zagórskiej. Takie spojrzenie na Conrada, jedno z wielu możliwych, jest jednak w pełni usprawiedliwione, a sam album jest pięknym sukcesem zarówno Brauna, jak i Strumiłły który znakomicie dał sobie radę z pewną monotonią krajobrazów, w których powracają stale dalekie zarysy ładu, oglądanego z pokładu statków. Książka ciekawa i odkrywcza.

26. CONRAD W ŻEGLARSKIEJ KURCIE. Wybór publicystyki morskiej Josepha Conrada. Przełożył, wstępem i komentarzami opatrzył Józef Mił-

będzki. Gdańsk, 1972, Wydawnictwo Morskie, str. 163, ilustr., podobizny rękopisów Conrada, diagr.

Książka przynosi więcej niż zapowiada tytuł, gdyż autor, kapitan marynarki, stara się o próbę odpowiedzi na pytanie: „Jakim Conrad był marynarzem”. Najwymowniejszym materiałem dowodowym są notatniki Conrada z Congo ogłoszone *in crudo* w miesięczniku angielskim *The Blue Peter*, w *The Yale Review* i w polskim kwartalniku *Nautologia* (1971). Zawierają one szczegółowe zapiski dzienne, dotyczące okresu związanego z powstaniem „Jądra ciemności” i ważne z tego chociażby względu. Poza notatkami Miłbędzki przytacza ciekawy tekst „Przesłuchania przed Komisją Min. Handlu w dn. 3. VII. 1894” w czasie którego Conrad dzielił się z członkami komisji uwagami o bezpieczeństwie statków; uwagi w związku z zatonięciem „Titanica” i późny, z roku 1919 pochodzący, memoriał dotyczący przystosowania żaglowców do celów doskonalenia praktyk oficerów marynarki handlowej. Książkę zamykają eseje Conrada: „Torrens — mój hołd dla okrętu”, „Boże Narodzenie na morzu” (1923), „Geografia a niekiedy odkrywczy” i nieukończony esej „Legendy”, nad którym pracował jeszcze w przeddzień nagłego zgonu.

Pisma zebrane

27. TRZEBIŃSKI, Andrzej: *Kwiaty z drzew zakazanych*. Proza. Słowo wstępne i opracowanie: Zdzisław Jastrzębski. Warszawa, 1972, Pax, str. 498 (2).

Książka spóźniona o co najmniej ćwierćwiecze, obejmująca dochowane i zidentyfikowane teksty prozą młodego poety Podziemia, rozstrzelanego 13 listopada 1943, gdy liczył lat dwadzieścia jeden. Jastrzębski (już nieżyjący!) opublikował poprzednio dramat Trzebińskiego (Stanisława Łomienia) pt. „Aby podnieść różę...”, a obecnie: „Pamiętnik”, artykuły i nieukończoną powieść („Kwiaty z drzew zakazanych”). Niemal wszystko, co — dosłownie — zdążył napisać.

28. WYKA, Kazimierz: *Wędrując po tematach*. T. I: Czasy, t. II: Puścizna, t. III: Muzy. Kraków, 1972, Wydawnictwo Literackie, str. 346+442+572.

Tytuł („Wędrując po tematach”) myli, nasuwając podejrzenie, że do trzech sążnystych tomów włączono odpadki z warsztatu pisarskiego prof. Wyki. W rzeczywistości można mówić o wyraźnym obliczu poszczególnych tomów — a o całości jako potężnym ładunku dobrej i zajmującej lektury. W tomie pierwszym akcentem dominującym jest obraz okupacji oglądanej z Krzeszowic, gdzie Wyka podczas wojny przebywał. Tom drugi, zamknięty znakomitą szkicem o tradycji jako „Węgłu mojego zawodu”, przynosi m.in. cenne eseje o Wyspiańskim, Staffie, Witkacym, Wilh. Machu i in. oraz odkrywczą „Wyspę na polskiej zatoce” Conrada. Tom ostatni (trzeci) świadczy, że Wyka, historyk literatury, jest także nie tylko miłośnikiem ale i znawcą malarstwa i filmu. Całość budzi jednak refleksję, że Wyka, podobnie jak prof. Pigoń, rozmienia się na drobne i w powodzi zobowiązań aktualnych nie może znaleźć czasu na podjęcie jakiegś wielkiej monografii — np. Żeromskiego, do czego zdaje się być w pełni powołany.

29. KRUCZKOWSKI, Leon: *Literatura i polityka*. Wstęp: Stanisław Witold Baliński. T. I: W klimacie dyktatury, 1927-1939. Wybór tekstów i opracowanie przypisów: Zenona Macuzanka. T. II: Wśród swoich i obcych, 1945-1962. Wybór tekstów: j.w., opracowanie przypisów: Zenona Macuzanka i Krystyna Schild. Warszawa, 1971, Państwowy Instytut Wydawniczy, t. I: str. 361; t. II: str. 540, front. portr.

T. I rozbity jest na działy: „W obronie sztuki tendencyjnej”, „Człowiek i powszedniość”, „Wzdłuż nie w poprzek dziejów”, „Dlaczego jestem socjalistą” i „List do prawnika”. Demagogiczny tytuł tomu: „W klimacie dyktatury” zbiega się, o dziwo, z okresem, o którym Balicki pisze we wstępie: „Od czasów 'Przedwieśnia' żadna z powieści nie wywołała tak namiętnego zainteresowania jak 'Kordian i cham'”. Przerwa 1939-1945 oznacza obóz jeniecki. Tom II obejmuje „Sprawy polskie”, „O sztukę naszych czasów”, „Pośród twórców i książek”, „Autokomentarze”, „Spotkania i konfrontacje”, „Dzisiejsze arsenały”.

„Wzorowe” teksty literackie (dla cudzoziemców)

30. GARNYSZ-KOZŁOWSKA, Teresa i RAPACKA, Joanna: *Wybór tekstów dla cudzoziemców*. Polska literatura współczesna, 1918-1968. Warszawa, 1971, Uniwersytet Warszawski, str. 277. (Studium Języka i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców).

Swego rodzaju majstersztyk. Nawet pisarze tej rangi co Żeromski czy Witkacy podporządkowani zostali wycytnym wyborowi, pokrywającym się najdokładniej z Marzeniem Wzorowego Cenzora o Wzorowej Literaturze PRLu. W wyborze znalazło się miejsce na fragmenty prozy Putramenta i Czeszki, brak natomiast Wierzyńskiego, Wittlina, Miłosa, Herlinga itd., itd. a „Czerwone wino” Lechonia przemknęło się ukradkiem dzięki tytułowi we właściwym kolorze. Komentarze w przypisach zastanawiające. Tak np. końcowe linijki wiersza Broniewskiego „Bagnet na broń”:

*A gdyby umierać przyszło,
Przypomniemy, co rzekł Cambronne,
i powiemy to samo nad Wisłą”*

— otrzymało wyjaśnienie: „Pierre Cambronne — gen. francuski, który w bitwie pod Waterloo (1815) miał odpowiedzieć Anglikom na propozycję poddania się, według jednej wersji 'gwardia umiera, ale się nie poddaje' a według drugiej 'gówno'”. Kompletuje to niezawodnie znajomość mowy Sarmatów u cudzoziemców. Trudno wyobrazić sobie normalnego studenta, który na podstawie „Wyboru” mógłby wytworzyć sobie obiektywny pogląd na współczesną literaturę polską.

Historia Polski

31. PRZEMIANY TRADYCJI BARSKIEJ. Studia. (Materiały Sesji Naukowej zorganizowanej przez Instytut Badań Literackich PAN w dn. 18-19. III. 1970 w Warszawie. Teksty przygotował Zespół Psychosocjologii Literatury Instytutu Badań Literackich pod kierownictwem Zofii Stefanowskiej). Kraków, 1972, Wydawnictwo Literackie, str. 254 (2).

Na książkę składa się cykl referatów wygłoszonych przez grono krajowych specjalistów na Sesji zorganizowanej w 200-ą rocznicę Konfederacji Barskiej. Dla ogółu jest ona pierwszym z powstań narodowych i tak właśnie ocenia ją Plater wznosząc w Rapperswilu kolumnę barską. Dziś mawia się o Konfederacji wyłącznie jako o „manifestacji szlacheckiego konserwatyzmu”, zapominając że była także wstępem do wycieczek „w głucho Sybiru puszcze”. Temat obrad Sesji nie przepadł do smaku historykom sowieckim — były ponoć oficjalne protesty. Referaty mają charakter naukowy, opierają się na gruntownych studiach i znajomości epoki ich autorów, uzupeł-

niają i aktualizują wyniki badań prof. Konopczyńskiego, poszerzając je o echa wydarzeń w literaturze współczesnej i XIX-wiecznej (Mickiewicz, Słowacki, Czajkowski), o pieśni krążące wśród ludu i do dziś cytowane prorocтва księdza Marka. O tym ostatnim pisze prof. Emanuel Rostworowski, poszerzając wyniki badań śp. prof. Pigonia. W referacie o pogłosach Konfederacji Lidia Ligeza dochodzi do konkluzji, iż „chociaż przywództwo wojskowe i polityczne ruchu znajdowało się z natury rzeczy w ręku szlachty, sam ruch odezwany był jako ogólnonarodowy — z udziałem chłopów i mieszczaństwa” i „dlatego zapewne tak mocno przetrwał w pamięci tych warstw społecznych”.

32. PACHOŃSKI, Jan: *Jeszcze Polska nie zginęła*. W 175-lecie powstania polskiego hymnu narodowego. Gdańsk, 1972, Gdańskie Towarzystwo Naukowe, str. 146, ilustr., mapy.

Prof. Jan Pachonński, autor drukującego się obecnie wielotomowego opracowania dziejów „Legionów Polskich, 1794-1807” w toku prac przygotowawczych prowadzonych przed rokiem 1939 zgromadził poważną ilość notat i wypisów z przypadłych w czasie II wojny światowej tzw. „Tek Dąbrowskiego”. W oparciu o te notatki, oraz obszerną literaturę przedmiotu (w tym wydane ostatnio prace J. Ekkerta, Juliusza Willaume'a i Romana Kalety) tudzież rezultaty poszukiwań w archiwach włoskich, powstało obecne opracowanie losów hymnu narodowego, kończące się konkluzją, iż „głosił on wiarę we własne siły i poświęcenie dla Ojczyzny, nie agresję, ale utrzymanie odwiecznych granic własnych”. „Premiera” hymnu odbyła się 20. VII. 1797 w Reggio w Caffé dei Luterani, po defiladzie i posadzeniu przez Dąbrowskiego drzewka wolności na Piazza Piccolo. Szczegółowe opisy uroczystości w Reggio odnaleziono ostatnio w pamiętnikach włoskich. Pachonński omawia różne wersje tekstu i krążące wśród wojska parodie.

Genealogia

33. DWORZACZEK, Włodzimierz: *Leliwici Tarnowscy*. Z dziejów moźnowładztwa małopolskiego, wiek XIV-XV. (Warszawa), 1971, Instytut Wydawniczy „Pax”, 349 (3), ilustr.

Wstęp uzasadnia ciekawie fakt wydania w PRL tej właśnie monografii: „W polskiej nauce historycznej ostatnio coraz częściej zwraca się uwagę na konieczność opracowania dziejów poszczególnych rodzin możnowładczych. Bez takich monografii omawiających ich genealogię, podstawy majątkowe, rolę polityczną i mecenat kulturalny nie da się w sposób precyzyjny wyjaśnić zjawiska, które potocznie określane bywa mianem rządów oligarchii magnackiej”. Pewnym zaskoczeniem jest finał przedmowy. Wynika z niego, iż „podjęcie badań nad dziejami Leliwitów zainicjował śp. hr. Adam Tarnowski”...

34. MAJCHROWSKI, Stefan: *Rodzina Hauke*. Warszawa, 1972, Czytelnik, str. 312, dwa drzewa genealogiczne.

Prababką ks. Filipa Edynburskiego była Julia z Hauków hr. Battenberg, morganatyczna żona Aleksandra hr. Heskiego, córka generała polskiego zastrzelonego przez powstańców w noc listopadową. Historia rodziny Hauków jest niezmiernie pouczającym przeglądem typowych polskich powikłań rodzinnych na przestrzeni dwu wieków. Jedno z dołączonych do książki drzew genealogicznych kończy się imionami angielskiego następcy tronu i jego rodzeństwa. Drugie — polskie — nazwiskami oficerów polskich z kampanii wrześniowej, Murnau i Armii Krajowej, ma przedstawiciela w Oświęcimiu

— i w zakonach Karmelitów Bosych i Dominikanów. Dziad pięknej Julii, lekarz napoleoński, spolszczony Francuz, dr F. I. Lafontaine wstawił się dziełem o kołtunie polskim (Plica Polonica), którego właściwości lecznicze dyskretnie zalecał. Ojciec, przed służbą carską, był dzielnym obrońcą Gdańska i Zamościa a napis ku jego chwale zdołał park w Puławach. Książkę Walii mógłby studiować dzieje Europy w oparciu o biografie kręgu rodziny Hauke!

Wspomnienia wojenne

35. ŁOZIŃSKI, Marian: *Przechodniu, powiedz Polsce...* Wspomnienia z lat 1941-1945, rozpoczęte w Ahwazie 150 km. od Zatoki Perskiej. Kraków (1971), Wydawnictwo Literackie, str. 454 (2), ilustr.

Olgierd Terlecki pisze we wstępie, iż „największym dramatem” żołnierzy polskich walczących we Włoszech” było odgięcie drogi bojowej z kierunku stamtąd jedynie właściwego, a prowadzącego przez Wiedeń i Bratysławę na Kraków, Katowice i Wrocław. Sprawcami byli polityczni oportuniści, ludzie pozbawieni poczucia rzeczywistości, ludzie niezdolni do zintegrowania instynktów — społecznego, narodowego i państwowego”. Wszystkie te cnoty a zwłaszcza „poczucie rzeczywistości” reprezentuje autor wstępu i, w mniejszym stopniu pamiętnikarz, uczestnik walk w masywie Monte Cassino i natarcia na „Linie Gotów”.

Książka najgorsza

36. KUBACKI, Waclaw: *Dziennik, 1944-1958*. Warszawa, 1971, Czytelnik, str. 461 + portret autora z psem.

W klasie dzienników pisarzy książka Kubackiego ma wszelkie szanse zajęcia pozycji analogicznej do „Trędowatej”: lektura łatwa, zajmująca — i niepokojąco przeładowana kliszami. Np.:

str. 102: „Na górze za zamkiem widnieją ślady starego grodziska”,

str. 103: „w ruszałczanych toniach” łagowskiego jeziora „do niedawna igrały srebrzyste sieje”,

str. 171: „Błędne powiewy nosiły po zboczach me ciało, jak wiotki puch” (w zestawieniu z podobizną autora brzmi to, niestety, mało prawdopodobnie).

Podczas 15-lecia objętego „Dziennikiem” profesor dr Kubacki przeobraził się w „mistrza” i porzucił katedrę, by poświęcić się wyłącznie literaturze pięknej. W „Dzienniku” zdobywa sobie dopiero pozycję, pokonując przeszkodę po przeszkodzie. Tak np. w roku 1958 dyr. Wydawnictwa Literackiego „po starannym przestudiowaniu 'Smutnej Wenecji' i po naradach ze swymi współpracownikami, wybitnymi krytykami krakowskimi doszedł do wniosku, że powieść nie nadaje się do druku”. Jakiż zawód! A kilka dni przed tym (str. 406) Kubacki „bisurmanił się” przy biurku a myśli jego „bująły swobodnie na kształt śniegowych płatków”. Próbował pisać a „po kąpieli dłonie pachniały mu mydłem Yardleya 'April Violets'” — a „w kuchni Danusia robiła pączki z konfiturą z róży”.

Proza poetyczna przechodzi miejscami w styl telegraficzny. Np.: „Stare Wilno mocno ucierpiał w czasie wojny. Hitlerowcy zniszczyli malowniczą dzielnicę żydowską. Obecnie powstało inne Wilno. Nowoczesna, rojna i gwar-na stolica Socjalistycznej Republiki Litewskiej” (str. 315).

Erratum do str. 184: listy Mickiewicza do Małgorzaty Fuller wydał Wellisz nie Wallis. Prof. K. nie dopilnował Mistrza K.

Nadeślane nowości wydawnicze

HOPPE (Jan). *Wspomnienia, przyczynki, refleksje*. Str. 395 i 1 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1972).

SZYGOWSKI (Juliusz). *Tak się zaczynało*. Str. 238 i 2 nlb. (Wydawnictwo Dzieł Pogodnych, Chicago (Lwów), 1972).

EMIL (Ewa). *Małe Łupki Wielkie*. Powieściowy cykl opowiadań. Str. 235 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

KAMIL (Maria). *Niż Ariadny*. Str. 153 i 7 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1972).

JANTA (Aleksander). *Po samo dno istnienia*. Wiersze. Str. 23 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, 1972).

KOREY-KRZECZKOWSKI (Jerzy). *Liryki nostalgiczne*. Wiersze. Str. 27 i 3 nlb. (Wyd. Sigma Press, Albany, N.Y., 1972).

MICEWSKI (Andrzej). *Roman Dmowski*. Str. 423 i 1 nlb. (Wyd. „Verum”, Warszawa, 1971; cena zł 56).

MANDEL (Ernest). *O biurokracji*. Samokształcenie polityczne nr 1. Str. 54. (Wyd. Société Internationale d'Éditions, Paryż, 1972).

BROMKE (Adam). *Polska diaspora*. Str. 29 i 3 nlb. (Wyd. Polish Alliance Press, Toronto, Ont., 1972).

SOTIROVITCH (D.-M.). *Trahison au sommet. Les maquis yougoslaves*. Str. 298 i 4 nlb. (Wyd. Nouvelles Editions Latines, Paryż, 1972).

KANFER (Irène). *Contes du milieu de la nuit*. Str. 80 i 2 nlb. (Wyd. Les Nouveaux Cahiers de Jeunesse, Bordeaux, 1972).

BETHELL (Nicholas). *The War Hitler Won. September 1939*. Str.

472 i 2 nlb. (Wyd. Allen Lane The Penguin Press, Londyn, 1972).

OBOLENSKY . (Alexander P.) *Food-Notes on Gogol*. Str. 180 i 4 nlb. *Series Readings in Slavic Literature* pod red. J. B. Rudnyckiego, Vol. 8. (Wyd. The University of Manitoba, Winnipeg, Canada, 1972).

RUDNYČKYJ (J. B.). *Slavic Geographical Names in Manitoba*. *Seria: Onomastica* No. 45. Str. 24. (Wyd. Canadian Institute of Onomastics Sciences and Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1973).

Slavica Canadiana A.D. 1970. *Seria: Slavistica* No. 72. Str. 80. (Wyd. Canadian Association of Slavists, Polish Canadian Research Institute and Ukrainian Free Academy of Sciences, Winnipeg, 1971).

FOSTUN (Swiatomyr M.). *Na krylach żyttia*. Etiudy. Str. 56. (Wyd. nakładem Autora, Londyn, 1972).

FOSTUN (Swiatomyr M. Dr). *50-riczczja ukrainskoji awtokefalnoji prawoslawnoji cerkwy*. Str. 48. (Wyd. Ukrainian Autocephalic Orthodox Church in Great Britain, Londyn, 1972).

FOSTUN (Swiatomyr M.). *Zwiduny stepowych kohort*. Powieść historyczna. Str. 184. (Wyd. Juliana Serediaka, Buenos-Aires, 1972).

Gespräche zwischen Gestern und Morgen. (Rozmowy m.in. z: Michałem Chmielowcem, Karłem Dedeciusem, Józefem Mackiewiczem, Tadeuszem Nowakowskim, Romanem Orwid-Buliczem i Januszem Rychlewskim). Str. 111 i 3 nlb. (Wyd. Verlag Ernst und Werner Giesecking, Bielefeld, 1970).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-10-72

W Warszawie na spotkaniu kierownictwa Związku Harcerstwa Polskiego z przedstawicielami wojska i MO omawiano rozszerzenie współdziałania harcerstwa z wojskiem i MO. Kilkudziesięciu oficerów milicji zostało udekorowanych przez naczelnika ZHP, Stanisława Bohdanowicza, krzyżami zasługi dla ZHP. ■ *Zołnierz Wolności* w Warszawie, w artykule poświęconym Polakom, budowniczym państwa sowieckiego, podaje, że w rewolucji październikowej brało udział z bronią w rękę około 100 tysięcy Polaków. ■ Znany pisarz Teodor Parnicki, rozpoczął wykłady na Uniwersytecie Warszawskim. Parnicki ma mówić przede wszystkim o własnej twórczości, a szczególnie o roli historii w jego powieściach. ■ Stefan Staniszewski został mianowany ambasadorem PRL w Szwecji. Ostatnio był dyrektorem departamentu w MSZ.

15-10-72

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Czechosłowacji, obchodził 25-lecie swego istnienia. Związek działa na terenie Śląska Cieszyńskiego, gdzie w dwóch powiatach: Karwina i Frydek-Mistek żyje 80 % wszystkich Polaków zamieszkających w Czechosłowacji. Związek zrzesza ponad 22 tysiące członków.

20-10-72

Zmarła w Warszawie popularna pisarka Magdalena Samozwaniec w wieku lat 73. ■ W Nowosybirsku zakończono program „Dni Techniki Polskiej”. Program obejmował cykl odczytów polskich uczonych oraz wystawę aparatury naukowej, oraz książek naukowych PAN. ■ Polskie biuro podróży „Orbis” w Warszawie podaje, że w bież. roku (do października) Polskę odwiedziło około 200 tysięcy turystów polonijnych. Przybyło 186 wycieczek polonijnych ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, NRF i Berlina Zachodniego, Francji oraz Australii. 56 samolotów charterowych zakontraktowanych zostało przez polonijne biura podróży w Australii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Inicjatorami wycieczek były organizacje polonijne jak np. Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie w USA, Centralny Komitet Obywatelski w USA, Związek Polek w Ameryce, Związek Polaków w Kanadzie i Związek Polaków „Zgoda” w NRF. Większość polonijnych turystów są to ludzie starsi. Udział młodzieży wynosił około 20 %. Zwraca uwagę w wycieczkach duża ilość duchownych. Zapowiedzianych jest szereg wycieczek polonijnych w okresie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku.

21-10-72

Została podpisana umowa między PRL a Rumunią o dostawę miedzi i wyrobów z miedzi z Polski do Rumunii oraz aluminium, półwyrobów i stopów z aluminium z Rumunii do Polski w latach 1974-85. ■ Jan Dębowski sekretarz KW PZPR w Łodzi w referacie wygłoszonym na niedawnym plenum, powiedział m.in.: „Wśród części załóg w zakładach pracy istnieją nastroje wyczekiwania na jakieś nowe decyzje władz centralnych, a tendencje konsumpcyjne w niektórych środowiskach, obserwowane już wcześniej, pogłębiły się. Zaangażowanie organizacji partyjnych, ażeby w sposób stanowczy przeciwstawiać się tym nastrojom i zmobilizować załogi, jest niedostateczne. Atmosfera w zakładach pracy „na wynos” jest dobra, ale przyglądając się uważnie odnosi się wrażenie, iż nie wszystko przebiega prawidłowo (*Poli-*

tyka). ■ Wacław Piątkowski został mianowany ambasadorem PRL w NRF. Od 1969 był szefem polskiego przedstawicielstwa handlowego w Kolonii. ■ Decyzją ministra Kultury i Sztuki PRL dom „Braci Jabłkowski” w Warszawie przy ul. Brackiej został uznany za zabytek nie podlegający rozbiórce. ■ Z PRL wysłano lotniczo do Haifongu w Wietnamie Północnym 50-osobową grupę marynarzy, która ma wymienić załogi zablokowanych tam statków polskich: „Józef Conrad” i „Moniuszko”. 9-osobową grupę marynarzy wysłano ponadto do Egiptu na Jezioro Gorkizie dla zabezpieczenia znajdujących się tam polskich statków. ■ Komitety narodowe UNESCO PRL i NRF zawarły porozumienie w sprawie zmian w podręcznikach szkolnych, sprzyjających normalizacji stosunków między obu krajami. M.in. ustalono 31 wspólnych tez wyjaśniających sporne kwestie historyczne. Porozumienie przewiduje wymianę informacji służących aktualizowaniu treści podręczników.

22-10-72

W Koszalinie odbył się uroczysty ingres ks. bpa Ignacego Jeża na urząd biskupi nowoutworzonej diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Uroczystość ta zamyka proces normalizacji polskiej organizacji kościelnej. ■ W województwie katowickim buduje się obecnie wielki kombinat metalurgiczny — hutę „Katowice”. Związek Sowiecki oprócz zaprojektowania dostarczył na jej budowę maszyny i urządzenia. ■ W grudniu 1971 roku w PRL było 1,8 milionów motocykli, 555 tysięcy samochodów osobowych, 274 tysiące ciężarówek i 36 tysięcy autobusów.

23-10-72

W Warszawie odbyła się jubileuszowa sesja naukowa PAN, poświęcona omówieniu dorobku 25-ciu lat polsko-sowieckiej współpracy naukowej w dziedzinie rolnictwa. Prof. Dr Bogdan Dobrzański, sekretarz Wydziału nauk rolniczych i leśnych, podkreślił ogromny wkład Związku Sowieckiego w „rozwoj polskich nauk rolniczych, w kształcenie kadr naukowych i specjalistów”. ■ Polska ma dostarczyć w latach 1971-74 Norwegii 32 jednostki morskie o łącznym tonażu pół miliona DVT. Stawia to Norwegię na drugim miejscu po Związku Sowieckim wśród odbiorców polskiego przemysłu okrętowego. ■ W Warszawie odbył się XI Krajowy Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego. Dyskutowano m.in. nad zmianami w systemie szkolnym, który w obecnej postaci nie gwarantuje upowszechnienia średniego wykształcenia. Prof. Jan Szczepański oświadczył na zjeździe, że raport o stanie oświaty w PRL będzie publicznie dyskutowany w pierwszym kwartale 1973 roku. Prezesem zarządu głównego ZNP wybrano dr. Bolesława Grzesia.

24-10-72

Zmarł w wieku 79 lat w Warszawie przewodniczący Państwowej Rady Górniczej, prof. dr Bolesław Krupiński. ■ 36-ciu obywateli sowieckich pochodzenia żydowskiego mogło wylecieć do Izraela bez uiszczenia ostatnio obowiązujących opłat za wykształcenie. Nic jednak nie pozwala przypuszczać, że system opłat zostanie zmieniony.

25-10-72

W. Sokorski, przewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji w Warszawie, przeszedł na emeryturę. Na jego miejsce został mianowany Maciej Szczepański, redaktor naczelny *Trybuny Robotniczej*. ■ Zawarto tymczasowe porozumienie między PRL i USA w sprawie spłaty obligacji tzw. pożyczki Dillonowskiej. Polska zobowiązuje się z dniem 1 lipca 1973 wznosić płatność procentów w wysokości 1,5 % rocznie a od 1 lipca 1974 — 2 %. W związku z tym obligacje, nieprzedstawiające właściwie wartości, zaczęły być ponownie notowane.

27-10-72

Sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej Związku Literatów Polskich został Zbigniew Żałuski.

30-10-72

W Bratysławie otwarto wystawę polskiej książki naukowej. Wystawiono 400 książek z zakresu historii, gospodarki, literatury oraz czasopisma naukowe. ■ W Tokio powstała polsko-japońska spółka „Agropol”, której zadaniem ma być dostarczanie produktów żywnościowych z Polski do Japonii. Dotyczy to przetworów owocowo-warzywnych, mrożonek, przetworów mięsnych itp. Do obsługi linii Gdynia - porty japońskie wprowadzono statki ekspresowe, wyposażone w komory chłodnicze. ■ Zielonogórskie Zakłady „Zastal” dostarczyły w tym miesiącu Związkowi Sowieckiemu 75-tysięczny wagon. „Zastal” uruchamia w bm. seryjną produkcję wagonów dla Związku Sowieckiego, przeznaczonych specjalnie dla transportów zboża. ■ Znany fizyk sowiecki Kronid Lubarskij został skazany przez sąd w Nugińsku na 5 lat obozów pracy o obstrzonym reżymie za publikowanie artykułów w *Kronice bieżących wydarzeń*. ■ W PRL produkuje się obecnie około miliarda stu tysięcy ton papieru. Produkcja ma być podwojona do roku 1980. Wiąże się to z zakończeniem budowy kombinatu w Świeciu, oraz powstaniem nowego kombinatu w Kwidzynie w woj. gdańskim. Ponadto istniejące fabryki papieru mają być zmodernizowane.

31-10-72

W PRL następują zmiany organizacyjne w wydawaniu i kolportowaniu prasy. RSW Prasa ma nastąpić zespolecie całego cyklu wydawania prasy, a więc redagowania, druku, kolportażu, prowadzonego dotąd przez „Ruch”, oraz wydawnictw książkowych z zakresu literatury społeczno-politycznej, wydawanych dotąd przez „Książkę i Wiedzę”. ■ Na skutek podpisanej umowy Jugosławia ma dostarczyć PRL 50 wagonów sypialnych i restauracyjnych, wyprodukowanych przez jugosłowiańskie przedsiębiorstwo „Gosza”. W przygotowaniu jest porozumienie o dostarczeniu dalszych 20-tu wagonów restauracyjnych. A jednocześnie PRL dostarcza wagony Związkowi Sowieckiemu!

1-11-72

Czeski minister Rolnictwa, Hucera, oświadczył, że Czechosłowacja i Polska dostarczają do Kijowa i Leningradu ogromne ilości kartofli, co jest spowodowane złym stanem urodzajów w Związku Sowieckim. Czechosłowacja dostarczyła już 110 tys. ton. ■ Sowieckie pismo *Wodny transport* pisze o ogromnych trudnościach związanych z transportem zakupionych 20 milionów ton zboża w Ameryce, które ma być wyładowane w portach bałtyckich, morza Czarnego i Pacyfiku. Porty są zablokowane, brak silosów oraz wagonów do transportu. Spowodowało to, że do tej pory Amerykanie mogli wysłać zaledwie 10% zakupionych zbóż. Jednocześnie FAO (organizacja ONZ dla spraw rolnictwa i wyżywienia) oblicza, że Związek Sowiecki będzie również musiał importować zboże w roku 1973/74, nawet jeśli warunki atmosferyczne w Związku Sowieckim będą pomyślne. ■ W bież. roku PRL wyeksportowała do Związku Sowieckiego 5 miliardów sztuk papierosów. Ostatnio zawarto umowę na dostawę do Związku Sowieckiego w latach 1974-75 ponad 11 tysięcy wagonów towarowych na sumę 700 milionów złotych dewizowych. ■ Konsulaty generalne Związku Sowieckiego i NRF zostały otwarte w Hamburgu i Leningradzie. Oba konsulaty zatrudniające do 35-ciu osób będą uprawnione do wydawania wiz. ■ Uchwałą Biura Politycznego KC PZPR oraz Prezydium Rządu przedłużono stabilizację cen podstawowych artykułów żywnościowych na rok 1973-ci. Dotyczy

to przede wszystkim cen mąki, chleba, kasz i innych przetworów zbożowych, mięsa i przetworów mięsnych, mleka i serów, tłuszczów spożywczych, cukru oraz soli. Ponadto Biuro Polityczne debatowało nad trudnościami związanymi z dostawami węgla do składów opałowych spowodowanymi szczytowym spiętrzeniem przewozów kolejowych. ■ Cenzura w PRL coraz bardziej się zaostrza. W Głównym Urzędzie Kontroli Prasy i Wydaw. urzęduje od niedawna dwóch „doradców” z Moskwy. Książkę Wojciechowskiego „Stosunki polsko-niemieckie 1938-1939” zwrócono autorowi do „gruntownego przepracowania”. Dwie inne pozycje Instytutu Zachodniego: Bartosika „Źródło siły roboczej w NRF” oraz Jaskowskiego „German Lobby w USA” zostały w ogóle wycofane.

4-11-72

Wiceminister Spraw Zagranicznych PRL został manowany Jan Wiszyga, ostatnio wicedyrektor departamentu studiów w MSZ. ■ Pisarz sowiecki, Jurij Galanskow, zmarł po operacji raka w łagrze Pot'ma. Galanskow był skazany na 7 lat łagru za protesty w czasie procesu Siniawskiego i Daniela i za redagowanie i kolportowanie pierwszego podziemnego pisma sowieckiego *Feniks*. Galanskow zmarł w wieku 33 lat. ■ W Warszawie został otwarty amerykański ośrodek informacji handlowej i technicznej. ■ Zmarł w Warszawie, w wieku 67 lat, Aleksander Mnieszek, b. urzędnik MSZ w okresie przedwojennym i wojennym.

5-11-72

Architekci sowieccy zostali laureatami konkursu na budowę 100-tysięcznej dzielnicy mieszkaniowej na Gocławiu w Warszawie. ■ W Moskwie zmarł, w wieku 68 lat, znany pisarz sowiecki Aleksandr Bek, autor „Szozy Wołkołamskiej”. Ostatnia jego książka „Nowoje naznaczenie”, wydana na Zachodzie, gdyż nie mogła ukazać się w Związku Sowieckim, wywołała duże poruszenie.

8-11-72

Zmarł w Krakowie, w wieku 83 lat, prof. Walery Goetel współtwórca Tatrzańskiego Parku Narodowego, uczony światowej sławy.

11-11-72

W Związku Sowieckim wprowadzono w życie dekret zakazujący używanie telefonu wszystkim osobom których działalność została uznana za sprzeczną z interesami państwa i utrzymaniem porządku publicznego. ■ Znana pi-sarka rosyjska, Wiera Imber, zmarła w Związku Sowieckim w wieku 82 lat. Zaznaczyła się m.in. tym, że w swoim czasie występowała bardzo odważnie w obronie B. Pasternaka.

13-11-72

W Warszawie rozpoczął się 7-my Kongres Związków Zawodowych. Kongres został otwarty przez E. Gierka, który podkreślił ścisły związek między PZPR a Związkami Zawodowymi i oświadczył, że partia nie dopuści by ten związek został osłabiony. Według E. Gierka zadaniem Związków Zawodowych jest obrona interesów robotniczych bez naruszania jednak interesów państwa. Konflikty między robotnikami i administracją nie powinny zakłócać rytmu pracy. E. Gierek dodał, że zamrożenie cen na produkty spożywcze kosztuje ok. 25 miliardów złotych rocznie i zapowiedział wreszcie zjazd PZPR na jesień 1973 roku. ■ Władze sowieckie zaostrzają walkę z rosnącymi nastrojami nacjonalistycznymi na Ukrainie. W ostatnich czasach odbyło się ok. 12-tu procesów i wyroki wynosiły od 3 do 15 lat więzienia lub obozów

przymusowej pracy o obostrzonym reżymie. ■ Propaganda kultury polskiej: Teatr im. Jaracza wyjeżdża do USA i Kanady z inscenizacją powieści H. Mniszkówny „Trędowata”.

ZACHÓD — EMIGRACJA

3-10-72

W Bostonie (USA) zmarł redaktor Karol Jaskólski, wydawca i redaktor tygodnika *Gazeta Polonii*.

15-10-72

W galerii sztuki Kunsthallen w Sodertalie, koło Sztokholmu, otworzono wystawę rzeźb Władysława Hasióra i Jerzego Beresa. Wystawa cieszy się dużym powodzeniem. ■ Prasa skandynawska pisze z oburzeniem o wdarcie się marynarzy sowieckich na duński kuter rybacki „Windy Luck”, znajdujący się na wodach międzynarodowych i uprowadzeniu siłą sowieckiego uciekiniera. W związku z tym pogwałceniem przez Sowietką Marynarkę Wojenną międzynarodowego prawa morskiego grupa intelektualistów, uchodźców z Europy Środkowo-Wschodniej, złożyła protest w Ambasadzie Sowieckiej w Kopenhadze. ■ Teatr miejski w Sztokholmie wystawił z dużym powodzeniem sztukę Sławomira Mrożka „Szczęśliwe wydarzenie”. ■ Dr Józef L. Lichten objął wykłady na rok akademicki 1972/73 na North American College w Rzymie. Wykłady będą dotyczyły: Społeczności żydowskiej w Stanach Zjednoczonych, oraz przeszłości, teraźniejszości i przyszłości stosunków chrześcijańsko-żydowskich. North American College jest katolickim seminarium duchownym utrzymywanym przez biskopost amerykański. ■ Msgr. John J. Karpiński został ponownie wybrany przewodniczącym Polish American Immigration and Relief Committee. W sprawozdaniu za rok 1971 podano, że PAIRC otrzymał 76.565 dolarów, a wydał 77.184 na pomoc dla polskich uchodźców. W ciągu 25-ciu lat swego istnienia komitet udzielił pomocy 55 tysiącom Polaków. ■ W Sztokholmie w galerii Soder odbyła się wystawa obrazów artysty malarza Lecha Rzewuskiego. ■ Index Translationum podaje dane za rok 1969-ty. W liczbie 16-tu krajów, które w skali światowej najwięcej tłumaczyły, Związek Sowiecki zajmuje pierwsze miejsce: 3.853 pozycje. Polska znajduje się na 15-tym miejscu z cyfrą 825. Wśród 16-tu języków, z których najwięcej tłumaczono w roku 1968, na pierwszym miejscu jest angielski — 13.689 pozycji. Na 6-tym miejscu są Czechy — 806. Polska jest na 11-tym miejscu — 459 pozycji. Index wymienia również autorów, których najwięcej tłumaczono w roku 1968. Na 38-miu pisarzy nie ma ani jednego nazwiska polskiego.

18-10-72

Zmarł w Liverpoolu w Anglii, w wieku 84 lat, gen. bryg. Teofil Karol Maresch, podporucznik I Brygady Legionów, b. Szef departamentu sprawiedliwości MSWojsk. i b. naczelny prokurator wojskowy.

20-10-72

W Kopenhadze, w czasie 3-ej sesji Międzynarodowej Komisji Badania Amerykańskich Zbrodni Wojennych w Indochinach, Wojciech Żukrowski, literat z PRL, autor książki gen. Moczara „Barwy walki”, oświadczył, „że zgromadzone podczas sesji dowody zbrodni, których obszerny rejestr ma być opublikowany w ciągu najbliższych tygodni, wystarczą by wysadzić w powietrze sumienie Stanów Zjednoczonych”.

21-10-72

Na XXVIII Światowym Kongresie Międzynarodowej Konferencji Stowarzyszeń autorów i kompozytorów, który się odbył w Meksyku, prezes ZAIKS'u, Karol Małcużyński, został wybrany do rady administracyjnej. ■ W Paryżu odbył się wernisaż prac M. Lurczyńskiego połączone ze stałą wystawą w nowej pracowni artysty (111, boulevard Magenta w Paryżu). ■ W Hadze odbyło się II polsko-holenderskie spotkanie okrągłego stołu poświęcone omówieniu stosunków polsko-holenderskich oraz problemów związanych z Europejską Konferencją Bezpieczeństwa. ■ W Birmingham, w Anglii, odbył się X walny zjazd Polskiego Stronnictwa Ludowego w Wielkiej Brytanii. Jest on związany z 25-leciem założenia PSL na emigracji.

22-10-72

W Getyndze (NRF) zakończyły się Dni Kultury Polskiej, zorganizowane przez zarząd miejski. Ze strony polskiej wzięli udział: Halina Czerny-Stefańska, Chór Stuligrosza, Teatr Różewicza, prof. Legowicz, Żygulski i inni.

25-10-72

Sukcesy PRL: na LXIII salonie produktów żywnościowych w Brukseli, Polska „Żubrówka” otrzymała złoty medal.

26-10-72

Zmarł w Londynie Wiktor Styburski, zastępca dyrektora Banku Polskiego w Warszawie przed wojną, a w czasie wojny delegat Rządu Polskiego w Teheranie. ■ Prasa światowa donosi, że Związek Sowiecki instaluje obecnie swoją bazę morską w Bengadesz w porcie Chittagong.

27-10-72

W Niagara Falls Art Gallery and Museum (Kanada) odbyła się wystawa malarska Michaela Kuczera.

28-10-72

The Ohio State University w Columbus, Ohio, zorganizował seminarium poświęcone literaturze krajów bałtyckich, w którym wzięli udział naukowcy i profesorowie uniwersytetów amerykańskich i kanadyjskich. Polskę reprezentował prof. Jerzy Krzyżanowski.

1-11-72

Nowym rektorem misji polskiej w Szwajcarii został mianowany na miejsce Prof. O. J. M. Bocheńskiego, O.P., ks. prałat Engelbert J. Frania. ■ Ks. Edward Szymeczko, O.M.I., został mianowany redaktorem miesięcznika *Niepokalana*, wydawanego przez księży Oblatów we Francji, a Ks. Leon Brzezina, O.M.I. — redaktorem dwutygodnika *Głos Katolicki*, wydawanego przez księży Oblatów i misję polską we Francji. ■ Na Międzynarodowym Konkursie Kompozytorskim w Paryżu, zorganizowanym przez Radio i Telewizję francuską II nagrodę (pierwszej w ogóle nie przyznano) otrzymał młody kompozytor z Łodzi, Stanisław Mroński. ■ Miesięcznik *Polska w Europie* podaje w ostatnim numerze, że mają być otwarte „Biura informacyjno-prasowe” PAX-u w Paryżu, Bonn i Rzymie. Kierować nimi mają: w Paryżu — Janusz Stefanowicz, obecny redaktor *Słowa Powszechnego*, a w Bonn — Czajkowski. ■ Rektorem Kolegium Europejskiego w Brugie (Belgia) został wybrany prof. Jerzy Łukaszewski, dotychczasowy dyrektor nauk w tej uczelni.

2-11-72

Zmarł w Wenecji, w wieku lat 67, znakomity poeta amerykański Ezra Pound.

3-11-72

Znany literat i dziennikarz, Janusz Kowalewski, został odznaczony w Londynie Złotym Krzyżem Zasługi.

6-11-72

W Darmstadt (NRF) miejscowe towarzystwo, Chopin Gesellschaft, zorganizowało polskie dni kulturalne i muzyczne.

7-11-72

W Nowym Jorku w Ligoa Duncan Gallery odbyła się wystawa obrazów Ireny Kwiat.

9-11-72

Niemiecki Czerwony Krzyż ogłosił, że 45 tysięcy obywateli sowieckich pochodzenia niemieckiego będzie mogło wyemigrować do Niemiec Zachodnich w ciągu najbliższych miesięcy. Podał on również, że od 1955 roku 394.067 obywateli polskich pochodzenia niemieckiego wyemigrowało do Niemiec Zachodnich. W chwili obecnej przeciętnie wyjeżdża miesięcznie z Polski 1.300 osób. ■ Według ocen ekspertów amerykańskich zapas złota w Związku Sowieckim jest nieco większy niż w Stanach Zjednoczonych i wynosi 10,5 miliardów dolarów przy obliczaniu 38 dolarów za uneję.

11-11-72

W Bibliotece Polskiej w Paryżu Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie zorganizowało z okazji obchodu 11 Listopada zebranie, na którym płk Mieczysław Jurkiewicz wygłosił odczyt pt. „Żołnierz kampanii wrześniowej”.

15-11-72

W bież. miesiącu *Głos Polski*, wychodzący w Buenos Aires, obchodzi swoje 50-lecie. Ma się ukazać specjalny numer jubileuszowy *Głosu*, w którym wezmą udział bez wyjątku wszyscy ci, którzy kiedykolwiek z *Głosem* współpracowali. ■ Na zaproszenie „Appeal of Conscience Foundation” (zajmującej się problemami stosunków między różnymi wyznaniem) przybyła do New Yorku delegacja siedmiu sowieckich duchownych pod przewodnictwem Metropolity Leningradu, Nikodema. W delegacji bierze udział naczelny rabin Moskwy, duchowny muzułmański, rzymsko-katolicki, baptysta i luteranin.

16-11-72

Zmarł nagle w Berlinie Zachodnim, w wieku 52 lat, Arnold Stucki, poeta i publicysta. Ważniejsze książki: *Dzwony nad Wisłą*, *Mity na wiosnę*, *Dolina dziwów*, *Eklogi i psalmodie*. W 1968 roku zmuszony do wyjechania z Polski przez kampanię antysemitką PZPR, przebywał najpierw w Izraelu, a ostatnie dwa lata w Niemczech Zachodnich.

KRONIKA KANADYJSKA

Wybory powszechne z dnia 30 października br. stanowią największe zaskoczenie i wytworzyły wysoce skomplikowaną sytuację. Partia Liberalna, pod przewodnictwem premiera Pierre Elliot Trudeau, straciła absolutną większość i do nowej Izby Gmin wchodzi jako najliczniejsze stronnictwo

z różnicą zaledwie jednego do dwóch głosów (w zależności od wyników przeliczenia w kilku okręgach). Los rządu uzależniony będzie od Nowej Partii Demokratycznej (socjaliści), która uzyskała 31 mandatów i może zapewnić z równym powodzeniem większość liberałom jak i konserwatystom. Przywódca partii, poseł David Lewis, zapowiedział, że poprzez premiera Trudeau w akcjach zmierzających do opanowania bezrobocia, zahamowania wzrostu cen, sprawiedliwego rozłożenia podatków, kontroli zagranicznych inwestycji itp. zaznaczył, iż „postępowe ustawodawstwo służące interesom społeczeństwa znajdzie poparcie jego partii”.



Znaczną większością głosów został ponownie wybrany do Parlamentu dr Stanley Haidasz, liberał, syn imigrantów, znany i czynny na terenie Polonii, wielokrotny sekretarz parlamentarny.

Z ramienia Nowej Partii Demokratycznej kandydował również w Toronto, ale w innym okręgu, Edward Chmielewski, podobnie jak Haidasz syn imigrantów, ale nie uzyskał mandatu.

W Toronto kandydowali dwaj powojenni imigranci czescy — obaj z ramienia konserwatystów: Lubor Zink, dziennikarz, ubiegał się o mandat w okręgu Parkdale, w którym zwyciężył Haidasz, a Otto Jellinek, b. mistrz świata w jeździe figurowej na łyżwach, zdobył mandat w okręgu High Park, odbierając go liberałowi Walterowi Deaconowi, synowi imigrantów ukraińskich.

Nie uzyskał mandatu Stephen Roman, znany finansista i prezes naczelnej organizacji Słowaków, który kandydował jako konserwatysta.



Prezesem Zarządu Głównego Kongresu Polonii Kanadyjskiej został wybrany na zjeździe w Thunder Bay większością głosów, po raz wtóry, adwokat Kazimierz Bielski.



Pod patronatem Kongresu Polonii Kanadyjskiej powołany został komitet obchodów 500-letniej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, na czele którego stanął dr inż. Zdzisław Przygoda, prezes Stowarzyszenia Techników Polskich. W skład Komitetu weszli najwybitniejsi kanadyjscy astronomowie, profesorowie wyższych uczelni oraz pracownicy nauki.



W drodze do Nowego Jorku na sesję Zgromadzenia ONZ zatrzymał się w Montrealu prof. A. Klafkowski z Poznania. Spotkał się tam z gronem znajomych i był podejmowany przez oddział kanadyjski Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce.



Przez dwa tygodnie (październik-listopad) bawił w Kanadzie na zaproszenie Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jerzy Turowicz, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*. W ramach Adam Mickiewicz Memorial Lectures, finansowanych przez Fundację im. A. Mickiewicza, wygłosił 27 października br. prelekcję w języku angielskim „Przemiany w katolicyzmie polskim”. Na Uniwersytecie Toronto przeprowadził (listopad) seminarium dla studentów i kilku absolwentów prof. Gordona Skillinga, kreśląc kierunki umysłowe w Polsce na tle historycznym, co doprowadziło do długiej i wyczerpującej

cej dyskusji. Tegoż dnia — 1 listopada br. — na zaproszenie Fundacji im. W. Reymonta red. Turowicz przemawiał w sali SPK, koncentrując się na sytuacji Kościoła w Polsce. Prelekcję dla Polonii wygłosił w Montrealu — na zaproszenie oddziału kanadyjskiego Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce — oraz w London, Ontario — na zaproszenie Polskiego Klubu Dyskusyjnego, którego przewodniczącym jest prof. Florian Śmieja.

Podczas pobytu w Kanadzie red. Turowicz spotkał się z szeregiem osób zarówno ze sfer kanadyjskich oficjalnych, jak i innych. Wszędzie też nawiązał kontakty z Polonią.

Zgodnie z uchwałami ostatniego walnego zjazdu delegatów Komitetu Ukraińców Kanady, prezesurę objął po ks. dr. Kuszniarze — na zasadach rotacji — dr P. A. Kondra z Winnipegu. Po 30-tu latach stanął więc na czele KUK przedstawiciel prawosławnych Ukraińców i nie imigrant. Uroczystość przekazania władzy odbyła się w Winnipegu we wrześniu.

W Toronto, w pierwszych dniach października br., odbył się 24-ty Walny Zjazd delegatów Ukraińskiego Zjednoczenia Narodowego — organizacji stojącej politycznie na platformie reprezentowanej przez płk. Melnyka. Przewodniczącym na następną kadencję wybrano ponownie lekarza, dr. M. Mycyka pochodzącego ze Lwowa.

Zjazd powołał i wyłonił Międzynarodowy Komitet Wolności. Jest to — jak się wydaje — próba zmobilizowania różnych czynników dla obrony praw i wolności Ukraińców w ZSSR.

Od 29 września do 1 października br. obradowała w Toronto konferencja Ukraińskiego Ruchu Narodowego pod przewodnictwem Olega Sztul-Żdanowicza z Paryża. Uczestniczyło w obradach 80-ciu przedstawicieli różnych organizacji ukraińskich z Europy, Australii, Ameryki Łacińskiej, USA i Kanady. Zajmowano się problemami ideologicznymi oraz taktycznymi. Ustalono zasady współpracy i koordynacji dla podejmowania różnych akcji na terenach zamieszkania oraz międzynarodowym na rzecz praw narodu ukraińskiego.

W Pleasantville, N.Y., zmarł przeżywszy 79 lat profesor Clarence Armstrong Manning, jeden z najwybitniejszych amerykańskich historyków literatury ukraińskiej. Był autorem m.in. Historii Literatury Ukraińskiej, monografii o Iwanie Franko, Iwanie Mazepie i kilku dzieł historycznych. Pod jego redakcją ukazały się w języku angielskim przekłady niektórych utworów Franka i Łesi Ukrainki.

W dniach od 5 do 19 listopada br. odbył się w Toronto Międzynarodowy Festiwal Teatralny. Jest to pierwsza impreza grup etnicznych tego miasta. Różne zespoły — amatorskie i częściowo zawodowe — przygotowały sztuki w językach narodowych, względnie w angielskim. Każda otrzymała do dyspozycji jeden wieczór — tylko dla „Krainy uśmiechu” Lehara zarezerwowano dwa wieczory. Zespół polski wystąpił 16 listopada prezentując w języku polskim „Wysoką ścianę” Jerzego Zawieyskiego oraz w języku angielskim Sławomira Mrożka „Czarowna noc”. Wykonawcami pierwszej sztuki byli

niemal wyłącznie zawodowi artyści: pp. Jasińska, Jellaczyk, Poznańska, Samolewicz i Olbrychski, podczas gdy drugiej — młodzież studencka zespołu „Arabeska”.

Równocześnie odbywa się wystawa artystów grup etnicznych. Ze względu na szczupłe pomieszczenie dopuszczono najwyżej dwie prace. Z polskich artystów wystawili: jedną rzeźbę w drzewie — H. Koniuszy, a obrazy — Mary Schneider, K. Głaz i H. Hoenigen.

Na wielkiej objazdowej wystawie Stowarzyszenia Rzeźbiarzy Kanadyjskich, „Rzeźby dla miasta”, znajdują się prace Edwarda Koniuszego, Mięczysława Podgrabińskiego i Julii Szablowskiej.

Wielkie rzeźby Koniuszego skupiają uwagę widzów. W prasie miejscowej ukazało się zdjęcie jego bodajże najbardziej reprezentacyjnej rzeźby — „Płot”.

W pracy dyplomowej Jarosława Jaworskiego pt. Newspapers and Periodicals of Slavic Groups in Canada during the Period of 1965-1969 przedstawionej wydziałowi humanistycznemu (*Faculty of Arts*) Uniwersytetu Ottawa w 1971 roku, czytamy na str. 11-ej: „Kilka słów należy powiedzieć o polskim miesięczniku *Kultura*, wydawanym w Paryżu, Francja, który jest szeroko rozpowszechniony w Kanadzie. Jest to jedna z najlepszych publikacji literacko-polityczno-społecznych wśród emigracyjnych pism słowiańskich. Jest fachowo redagowana przez grupę polskich intelektualistów we Francji i w Anglii. Zamieszcza od czasu do czasu artykuły kanadyjskich autorów o problemach kanadyjsko-polskich. Wpływ tego pisma na życie intelektualne na emigracji jest poważny. *Kultura* jest też czytana przez innych Słowian nie-Polaków”*

Ten ustęp nabiera dopiero znaczenia w zestawieniu z następującym po nim, który brzmi: „Jest jeszcze wiele innych polskich pism i czasopism wydawanych w USA, Wielkiej Brytanii i Francji, które rozchodzą się w Kanadzie. Jednakże ich wpływ jest marginesowy, a ich ciężar (*impact*) minimalny”.

30 października br., na Zjeździe Federacji Dziennikarzy Etnicznych Kanady, redaktor *Związkowca*, B. Heydenkorn, został wybrany wiceprezsem tej organizacji.

Władze rządowe wycofują podręcznik szkół elementarnych**, który powiada, że Rosja Sowiecka jest wyłącznie odpowiedzialna za wojny w Wietnamie, na Korei i na Środkowym Wschodzie.

* „A few words ought to be said about the Polish monthly *Kultura* (Culture), published in Paris, France, and widely circulated in Canada. It is one of the best literary-political-social publication among the Slavic emigré journals. It is competently edited by a group of Polish intellectuals in France and England. It occasionally offers articles written by Canadian authors concerning Canadian-Polish affairs. Its influence on Polish intellectual life in exile is considerable. *Kultura* (Culture) is also read by many non-Polish Slavs”.

** „Let's Visit Russia” był używany do nauk społecznych w szóstej klasie. Wydany został przez Longmans Canada Ltd. w Kanadzie, a w USA przez John Day Co. Autorami są John C. Caldwell i Julian Popescue, który „przeżył w Rumunii obie — niemiecką i sowiecką okupację”. Obecnie mieszka w Anglii.

Między innymi podręcznik zawiera twierdzenia, że:

- USA ocaliły całą Zachodnią Europę, Grecję i Turcję przed komunizmem.
- Rosjanie i Amerykanie są w stanie wojny od 1945.
- Rosja przedłuża wojnę wietnamską.
- Rosjanie rzadko dotrzymują przyrzeczeń.
- We wszystkich częściach świata Rosja stwarza kłopoty.

Glen Stendham, mąż nauczycielki szkoły w North Vancouver stwierdził, że napisał do ministra Nauki Eileen Daily o tej książce. On i jego żona sprzeciwiają się materiałowi antyrosyjskiemu w podręczniku.

Podręcznik został aprobowany przez Provincial Department of Education, ale Superintendent pomocy szkolnych tej instytucji — John Meredith, powiedział, że możliwe jest, iż komitet nie czytał ostatnich ustępów o sytuacji Rosji w nowoczesnym świecie.

POLACY UCZĄ MŁODZIEŻ KANADYJSKĄ TEATRU

W początkach lat trzydziestych Zdzisław Turzański oficjalnie studiuje prawo na Uniwersytecie Warszawskim, ale opanowany magią teatru uczęszcza przez pięć lat do prywatnego studium eksperymentalnego prof. St. Skotnickiego. Kończy klasę reżyserską, słuchając równocześnie przez dwa lata scenografii na warszawskiej ASP i uczęszczając do parnellowskiej szkoły baletu. Walczy w obronie Warszawy, jest robotnikiem w magazynie cukru we Lwowie, ucieka z obozu pracy pod Wiedniem i zabiera się znów do teatru w Ingolstadt k/Monachium. Przez pięć lat pokazuje DPisom nie tylko rewie i składanki, ale także „Warszawiankę”. Współpracuje też ze zrehabilitowaną grupą aktorów niemieckich, z którymi przez trzy lata wystawia modnych po wojnie Skandynawów, w szczególności Ibsena i Strindberga. Znalazł się wreszcie w Kanadzie, gdzie pracuje jako stolarz (podobno robił bardzo dobre stoły bilardowe), a wolny czas poświęca ukraińskiemu teatrowi (krew i język matki robią swoje), w którym obok sztuk Łesi Ukrainki, znajdujemy „Skowronka” Anouilha, a także „Moralność Pani Dulskiej”.

Próby stworzenia polskiego teatru w Toronto z różnych powodów spełży na niczym. Ale miejscowa krytyka kanadyjska zwróciła uwagę na ukraińskie sztuki Turzańskiego, jego nowoczesny, zrywający ze stylem Stanisławskiego, sposób reżyserii i krytyka ta doprowadziła do tego, że kilku kanadyjskich aktorów zwróciło się do Turzańskiego z propozycją założenia szkoły teatralnej w języku angielskim. Turzański rzuca stolarstwo i siedem lat temu otwiera trzyletnią „Academy of Theatre Arts”. Uczniowie Turzańskiego, Kanadyjczycy bardzo różnego pochodzenia (od szkockiego po włoskie, ukraińskie i polskie) wystawiają od trzech lat, po angielsku, sztuki O’Neilla, Strindberga, Shawa, a ostatnio Garcii Lorci. Kto zna repertuar „wielkich” teatrów torontońskich, gdzie króluje *musical* — rozumie czym jest repertuar Turzańskiego. Dla Europejczyka sztuki te są wprawdzie znane i należą do repertuaru tradycyjnego, ale p. Turzański zapowiada, że na jesieni tego roku otworzy sceną eksperymentalną dla nowoczesnego repertuaru.

Bardzo wydatnie pomaga Turzańskiemu inscenizator wszystkich jego sztuk — inny Polak — p. Eugeniusz Chruścicki.

Ostatniego ich przedstawienia „Domu Bernardy Alby” nie powstydziliby się niejedna renomowana europejska scena.

ZCZ

Humor krajowy

Nixon, Pompidou i Breżniew udali się do Pana Boga na interview.

- Kiedy Amerykanie będą mieli wszystko? — zapytał Nixon.
- Za lat pięć — odpowiedział Pan Bóg.
- To już nie za mojej kadencji — zmartwił się Nixon.
- Kiedy Francuzi będą mieli wszystko? — zapytał z kolei Pompidou.
- Za lat piętnaście — brzmiała odpowiedź.
- I nie za mojej — westchnął Pompidou.
- A kiedy Rosjanie osiągną pełny dobrobyt — padło pytanie Breżniewa.
- O, to już nie za mojej kadencji — rzekł Pan Bóg.

W Moskwie tłum nie wpuścił babuszki do autobusu. „U nas kultury niet” — krzyknęła babuszka ze złością. „Babuszka” — powiedział jakiś młody człowiek — „u nas kultury mnogo, no awtobusów nie chwatajet”.

Breżniew dyskutuje z Kosyginem na temat emigracji Żydów z ZSSR, i mówi: — Wypuścmy tych Żydów. Zrobili nam bardzo złą reklamę na świecie. Niech jądą do czorta, przestaniemy mieć przez nich kłopoty.

— Co ty mówisz — odparł Kosygin — przecież jak wyjadą, to zaraz Litwini zażądają, żeby ich też wypuścić...

- To wypuścimy. Po co trzymać ludzi siłą?
- Ale wtedy zgłoszą się Ukraińcy, Białorusini, Łotysze...
- To niech też emigrują.
- Bój się Boga, Leonidzie! A kto wtedy zostanie? Ty i ja?
- O, co to, to nie! Ja też wyjadę! — zawołał Breżniew.

ODPOWIEDZI RADIA ERYWAŃ:

- Czy można wyżyć z pensji?
- Nie wiemy, nie próbowaliśmy...

— Czy należy się bać Ministra Kultury?

- Nie. Nam wydaje się, że trzeba się bać jedynie kultury ministra.

NAJNOWSZE Z WARSZAWY:

Mówią, że kandydaci do partii muszą obecnie przedstawiać dwie fotografie Roetgena: jedną od pasa w górę, a drugą od pasa w dół. Pierwszą, aby można było sprawdzić czy nie mają Boga w sercu, a drugą, żeby stwierdzić czy nie mają partii w d...
◆

Pewien młody człowiek chciał ożenić się z urzędniczką ministerstwa, ale jej kolega odradzał mu mówiąc, że ona ma dziecko i że to jest dziecko całego ministerstwa.

Zmartwiony młodzieniec zapytał ojca co robić. Ojciec pomyślał i odpowiedział:

Zeń się chłopcze, jak ci się panna podoba. To nie może być dziecko ministerstwa. Stamtąd jeszcze nigdy nie wyszło nic co ma ręce i nogi; jak dotąd niczego nie załatwili w 9 miesięcy; i nigdy nic nie robią z miłości...

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Lens, 13 listopada 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do wiadomości o odczycie Olgierda Zagórowskiego w Domu Polskim w Melbourne na temat „Polscy artyści w Rzymie” można by dodać pewne szczegóły, które powinny zainteresować nie tylko historyków sztuki, właśnie na tle postaci polskiego malarza związanego z tym miastem, Tadeusza Konicza (a nie Kończyca jak błędnie podano). Konicz, współczesny Goyi, z którym pozostawał w bliskich stosunkach, przebywał po Włoszech przez dłuższy czas w Hiszpanii, gdzie zmienił nazwisko na Kuntze, ponieważ jego polskie nazwisko miało w języku hiszpańskich wydzwitek nieprzyzwoity, co narażało go na śmieszność.

We Włoszech Konicz był znany pod przezwiskiem „Taddeo Polacco”. Sprawa jego twórczości jest o tyle interesująca, że najprawdopodobniej to nie on wzorował się w swym malarstwie na Goyi, lecz na odwrót, Goya wzorował się na Koniczu. Zagórowski, który w Rzymie spędził około 6 lat czasu na gromadzeniu źródeł do swej monografii o twórczości Konicza, zmierza właśnie do wykazania tych związków między Goyą a Koniczem, które w razie udowodnienia tezy o wpływach polskiego malarza na Goyę byłyby rewelacją w historii malarstwa.

Zagórowski skompletował ogromną ilość reprodukcji obrazów Goyi i Konicza, wykazując na podstawie dat powstawania tych dzieł, że Goya zawsze po Koniczu tworzył obrazy o podobnych elementach. To jedna sprawa, która warta jest gruntownego zbadania iświetlenia.

Drugą jest sprawa narodowości Konicza. W Rzymie i w całych Włoszech znajduje się olbrzymia ilość dzieł „Taddeo Polacco” przeważnie w kościołach — włącznie z polskim kościołem św. Stanisława Biskupa przy Botteghe Oscure — a pałac biskupa w Albano wypełniony jest nie tylko jego obrazami, ale i meblami jego projektów. Otóż z powodu przyjęcia przez Konicza później nazwiska Kuntze, Niemcy przypisali sobie jego twórczość jako swojemu rodakowi i pod tym względem z uświadomieniem nawet samych Włochów nie jest najlepiej.

Gdy z Zagórowskim oglądaliśmy prace Konicza we włoskich kościołach, napotykalśmy przeważnie nie znoszące sprzeciwu twierdzenia włoskich proboszczów, że są to prace Niemca, Tadeusza Kuntzego, na dowód czego pokazywano nam opracowane pierwszorzędnie przez Niemców i wydawane przez nich po włosku broszurki informacyjne o tym malarzu, oczywiście niewiele mające wspólnego z prawdą historyczną, ale wywołujące u mas zagranicznych turystów niewzruszone przekonanie, że chodzi w tym przypadku rzeczywiście o Niemca. Szkoda wielka, że ze strony polskiej ani z kraju ani z emigracji, nie przeciwstawiano się dotychczas skutecznie tej kłamliwej propagandzie niemieckiej, a sam Zagórowski, który poświęcił długie lata pracy jako historyk sztuki na wyjaśnienie tej sprawy, napotykał w niej na

ogromne trudności. Skoro nie ukończył monografii o Koniczu w Rzymie, mimo, że nawet stamtąd jeździł do Warszawy po dalsze źródła, to wątpić można, czy ukończy ją w Australii.

Z wyrazami poważania,

Tadeusz BOROWICZ

Bruksela, 12 października 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W październikowym numerze *Kultury* p. Czesław Miłosz wspomina córkę prof. Szymona Askenazego Janinę przedstawiając ją jako typ chorobliwie nie zrównoważony z początkami „wręcz klinicznej schizofrenii”. Wstrząśnięta jestem tą oceną, gdyż uważam Janinę Askenazy za jedną z ciekawszych postaci młodego pokolenia z moich spotkań z okresu wojny. Jeśli odbiegała od przeciętnej normy to przede wszystkim tym, że miała przebogaty świat wewnętrzny, pełen poezji i głębokiej miłości ku ludziom.

Trudno w liście przedstawić jej sylwetkę, ale chcę skorzystać ze sposobności, by podać kilka faktów z jej życia. W przeddzień śmierci przysłała gryps z Pawiaka zawiadamiając, że rozpoznał ją na ulicy granatowy policjant, który pełnił przed wojną służbę przed domem profesorskim przy moście Kierbedzia. Wiedziała, że umrze, ale chciała jeszcze przed śmiercią rzucić hitlerowcom w twarz prawdę o nich. Następnego dnia została wyprowadzona wraz z kilkoma innymi Żydówkami z celi pod mur getta i tam rozstrzelana.

Spotykałam Jankę Askenazy często w ostatnim roku jej życia, kiedy nie była już powiązana z żadną organizacją konspiracyjną. Mówiła, że ma trudności w uczestniczeniu w pracy podziemnej, gdyż obawiano się, by swoim wyglądem semickim nie naprowadzała szpicli na lokal. Proponowano jej pracę w nasłuchu radiowym (znała kilka języków) pod warunkiem kompletnej izolacji. Odmówiła bojąc się, że nie dotrzyma warunków całkowitego dobrowolnego odosobnienia.

Zwracając uwagę przechodniów swoim dużym garbatym nosem biegła ulicami Warszawy bądź dla zarobkowania lekcjami angielskiego, bądź by odpowiedzieć przyjaciół — spragniona ludzkiego ciepła. Wielokrotnie opuszczała zajmowane mieszkanki by uwolnić swych gospodarzy od strachu i z trudem szukała nowego pokoju do wynajęcia. Rozumiała ludzki strach i nie miała do nikogo żalu, bo i sama bardzo chciała żyć. Proponowałam jej wyjazd do którejś z grup partyzanckich BCH w charakterze sanitariuszki, ale bała się trudności znalezienia wspólnego języka z młodzieżą wiejską, gdyż dotychczas chłopów widywała tylko z okna wagonu. Wiersz jej o Stalingradzie był zamieszczony w piśmie Ludowego Związku Kobiet *Żyvia*.

A oto kilka osobistych wspomnień Janiny Askenazy: Po powrocie ze Szwajcarii w jednym z warszawskich gimnazjów drwiła wraz z koleżankami z Żydów w chałatach. Nauczycielka ostro zgromiła całą grupę, a Jance w cztery oczy zrobiła specjalne wymówki. Janka z płaczem wróciła do domu prosząc ojca o wyjaśnienie swojego pochodzenia. Zawstydzona nie wróciła już do tej samej szkoły.

Studia miała burzliwe. Był to okres awantur o getto ławkowe dla Żydów na Uniwersytecie Warszawskim. Endeccy koledzy chcieli dla niej zrobić wyjątek, jako dla córki znanego profesora. Nie skorzystała z tego stojąc na znak protestu razem z Żydami. Na życzenie ojca wyjechała studiować biologię do Wiednia, ale wygnął ją stamtąd *Anschluss*.

W 1939 roku zgłosiła się jako sanitariuszka do Szpitala Ujazdowskiego. Wrażliwa jej natura była wstrząśnięta ciągłym stykaniem się z cierpieniem

i śmiercią. Uczestnicząc w przeżyciach religijnych ludzi umierających, postanowiła przyjąć chrzest i odtąd przejęta była swoją nową wiarą i realizowała ją w życiu codziennym jako religię miłości.

W 1940 roku matka jej postarała się o fałszywe papiery, by wraz z córką przedostać się na Zachód. Janka odmówiła wyjazdu uważając, że jej miejsce jest w Polsce, gdyż chciała walczyć z hitlerowcami razem z narodem polskim. W praktyce, zamiast walki, całą swoją niespożytą energię zużywała aby się utrzymać przy życiu. Matka jej postanowiła wyjechać sama, ale przed wyjazdem poddała się operacji wyrostka robaczkowego, po której zmarła.

Na życzenie Janki odwiedziłam w Krakowie wielkiego przyjaciela jej ojca ks. Arcybiskupa Michała Godlewskiego, profesora Historii Kościoła na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tłumaczył się on gorąco, że przez przypadek pójścia do toalety nie znalazł się w obozie razem z innymi profesorami UJ. Gdy zobaczył swoich kolegów prowadzonych przez żandarmów chciał dołączyć do nich, ale został odepchnięty. Ks. Arcybiskup mówił o prof. Szymonie Askenazym z nadzwyczajnym uznaniem jako o wielkim Polaku. Gdy prof. Askenazemu radzono przejście na katolicyzm, by ułatwić sobie współżycie ze społeczeństwem polskim, odrzucił tę propozycję zdecydowanie, mówiąc że jest ateistą i zbyt szanuje swoje i cudze poglądy, by podsywać się pod cudze, wbrew przekonaniu.

Arcybiskup Godlewski uczestniczył w pogrzebie profesora Askenazego, lecz odprowadził go tylko do bram kirkutu gdyż jak mówił: „z racji swej sukienki duchownej” nie mógł wejść dalej.

Te kilka słów wspomnień należy się Janinie Askenazy jako wyraz uczczenia jej pamięci.

Będę wdzięczna Panu Redaktorowi za ogłoszenie niniejszego listu.

Łączę wyrazy szacunku,

Hanna CHORAŻYNA

Rio de Janeiro, 1972.

Szanowny Panie Dyrektorze,

Pragnę w tym liście wysunąć pod adresem historiografii — zarówno polskiej jak i żydowskiej — wyzwanie, by ustaliła ściślej wkład chazarski do powstania polskiego żydostwa. Chyba nie ulega wątpliwości, że królestwo chazarskie (w VII czy IX wieku?) narzuciło swoim poddanym wiarę izraelską, choć to może legenda, że to nastąpiło po dyspacie religijnej z udziałem rabina, księdza katolickiego i duchownego ortodoksyjnego. I że po rozgromieniu tego państwa przez Bizancjum mieszkańcy jego wywędrowali w części do Polski. Ale w jakim stopniu przyczynili się do sformowania grupy polsko-żydowskiej? Kiedy zasymilowali się z etnicznie „prawdziwie żydowską” jej większością, która dotarła do nas z Zachodu? Czy wzięli czynny udział w późniejszych odchyleniach od ortodoksji Mozaizmu (Karaizmu czy może później Frankizmu)? Nie mam odpowiedzi na te niezmiernie ciekawe pytania. Niestety nie znam niedawnego studium poświęconego, jak się zdaje, temu zagadnieniu przez Ananiasza Zajączkowskiego. Mam wrażenie, że dziejopisarstwo polskie i żydowskie, choć z różnych przyczyn, na ogół zachowało w tym kierunku postawę „konspiracji milczenia”. Polskie, bo skłonne jest podkreślać wielkoduszne przyjęcie przez Polskę ofiar przesładowań religijnych w zachodniej i środkowej Europie. A żydowskie, ponieważ jest poniekąd zawstydzone influksem, tak niepożądanym w świetle ekskluzywnych zasad wiary izraelskiej, do „Narodu Wybranego”, elementów rasowo mu obcych.

W braku odnośnej dokumentacji historycznej wiele opiera się tu tylko na tradycji rodzinnej. Jako potomek jednej z rodzin chazarskich (pierwotne nazwisko: Fiszel) nie mogę się oprzeć pokusie naszkicowania z pamięci jej przeżyć, do których opisu przyczynili się zresztą Majer Bałaban, Ignacy Szyper (poalesyjonistyczny poseł na Sejm, który zginął tragicznie w Warszawie w powstaniu gettowym) i niemiecki *Archiv für Israelitische Familien-Forschung*. Miała dwa odgałęzienia, katolickie i żydowskie. W pierwszej był starosta krakowski Stefan Fiszel. W drugiej zajmowała stanowiska *Seniores Generales Judaeorum*, odgrywając poza tym pewną rolę na Zamku Wawelskim. Legendarna Esterka to była rzekomo żona nadwornego lekarza królewskiego, Mojżesza Fiszla (doktorat uzyskany na uniwersytecie padewskim), którą Długosz podobno sztucznie przetrzucił ku Kazimierzowi Wielkiemu (nie mogąc pisać o amarach współczesnego mu króla)... Fiszlowie próbowali nawrócić na wiarę mojżeszową dworzan. Skończyło się to spaleniem ich i konwertytów (m.in. mieszczki Weigel) na rynku krakowskim pod kierownictwem mnicha Capistrana (?). Wszystko to ostatecznie nieważne. Ale sądzę, że byłoby we wszech miar bardzo interesującą próbą wnikięcia przez naszych historyków, krajowych czy zagranicznych, w tak mało jeszcze wyświetlone zagadnienie udziału — ilościowego i jakościowego — elementu chazarskiego w powstaniu społeczeństwa żydowskiego w Polsce. Nowy snop światła na tę sprawę może nie byłby nawet pozbawiony pewnych refleksów na późniejsze ułożenie się wzajemnych stosunków polsko-żydowskich w całej ich rozciągłości? Ale czy nasza historiografia potrafi sprostać takiemu *challenge*?

Stanisław FISCHLOWITZ

Melbourne, 14 października 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z dużym zdziwieniem przeczytałem wywód Juliusza Mieroszewskiego (*Kultura*, nr 6/297), że: „Uroczą, śpiewną, pełną rusycyzmów polszczyzna „Pana Tadeusza” jest klasycznie wschodniacka”.

Śpiewna, przemiła gwara wileńska mogła tylko w uszach ludzi, nie rozumiejących ducha i genety tej gwary, robić wrażenie języka „rusyfikowanego”. Właśnie podziwiać należy, że pomimo stuletniej — celowej, wytrwałej i perfidnej ofensywy rusyfikatorskiej ze Wschodu, gwara wileńska przetrwała w całej swej dawnej krasie i że pozostała językiem, którym mówili Filareci. Na temat zresztą genety i osobliwości gwary wileńskiej istnieją poważne i wnikliwe rozprawy filologiczne, wywodzące w sposób naukowy, że gwara ta jest niemal zupełnie wolna od wpływów języka wielkorusyjskiego.

Są to słowa niedawno zmarłego literata polskiego, a zarazem dobrego znawcy języka i literatury rosyjskiej (wykładowca uniwersytetu amerykańskiego) oraz przyjaciela naszych wschodnich sąsiadów śp. Michała K. Pawlikowskiego z książeczki „Sumienie Polski”.

A więc nie wszystko co kresowe musi być od razu rosyjskie, ukraińskie, białoruskie czy litewskie.

Nawiasem mówiąc powtarzany przez p. Mieroszewskiego za Ukraincem Bohdanem Osadczukiem wyraz „wschodniacy”, brzmi w moich uszach tak, jakby ktoś powiedział: „Dworzec Wschodniacki w Warszawie”.

Jeśli mowa na tematy filologiczne, chciałbym zapytać się p. Józefa Łobodowskiego, czy ukraiński tytuł pracy Mychajła Hruszewskiego „Za ukraiński masłak” nie należałoby przetłumaczyć — „Kość z ukraińskiego kośćca”, a nie „Za ukraińską kość” czy „Kość z kości ukraińskiej”?

Natomiast na marginesie artykułu K. Zielonogórskiego „Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków” (*Kultura* nr 6/297) chciałbym dodać, że oprócz Mazurów, Kaszubów i Ślązaków wyjeżdżają w ramach repatriacji do Niemiec także i Polacy. Otóż w czerwcu br. wyjechała do NRF w ramach repatriacji moja ciotka z dwoma pełnoletnimi córkami, urodzonymi i wychowanymi w Polsce. Uzyskała zgodę na wyjazd tylko dlatego, że ma część rodziny (Niemców) w NRF. Jej córki, a moje kuzynki, przez długi czas o wyjeździe z Polski nie chciały nic słyszeć. A jeśli zgodziły się to tylko dlatego, aby poznać nie tyle Niemcy, co życie na Zachodzie. Po niemiecku w ogóle nie mówią i bardzo w to wątpię aby kiedykolwiek przestały uważać się za Polki.

Z poważaniem,

Marian KAŁUSKI

Edmonton, 20 października 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

W kronice kanadyjskiej wrześniowego numeru *Kultury* ukazała się króciutka notatka dotycząca Międzynarodowego Kongresu Geograficznego w Montrealu, której autorowi udało się popełnić zadziwiająco dużo błędów.

- 1) Kongres odbył się w sierpniu a nie w lipcu;
- 2) 40-osobowa grupa z Polski składała się nie tylko z profesorów ale z osób różnego wieku i rangi, łącznie z asystentami (bardzo istotna różnica!);
- 3) Nie było takiego stanowiska jak przewodniczący Kongresu a więc Dr Jost nie mógł go zajmować — nie był on także przewodniczącym komitetu organizacyjnego ani przewodniczącym Międzynarodowej Unii Geograficznej;
- 4) Przewodniczącym delegacji polskiej był Prof. S. Leszczyński a nie Dr Jahn i Leszczyński.

Warto natomiast może być dodać, że grupą polską bardzo ofiarnie zajęła się Polonia a zwłaszcza Prof. B. Zaborski, który zorganizował i poprowadził wycieczkę po wschodniej Kanadzie. Odbyło się także spotkanie z geografami z kraju i z polskimi geografami mieszkającymi za granicą, zorganizowane przez Kanadyjski Oddział Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Prof. Leszczyński był w okresie 1968-1972 Przewodniczącym Międzynarodowej Unii Geograficznej. W uznaniu jego aktywności i zasług otrzymał on złoty medal Kanadyjskiego Tow. Geogr. wybity po raz pierwszy w 1972 roku.

W nadziei że inne informacje zamieszczane w kronice są bardziej ściśle łączę wyrazy szacunku,

Dr Leszek A. KOSIŃSKI

Orlando, Fla., 1972.

Szanowny Panie Redaktorze!

Omówienie nagrodzonej przez „emigracyjny PAL” (nagroda *Wiadomości*) znakomitej „Ligi Ocalałych” Jadwigi Maurer, pióra Janiny Katz w Nrze 6/297 *Kultury*, jest bardzo przygnębiające.

Podstawą omówień powinna być znajomość tematu. Jednak wbrew wstępnemu stwierdzeniu „... Znam to miasto...”, p. Katz wydaje się nie mieć pojęcia ani o Monachium tamtej ery, ani o ludziach których opisała Jadwiga Maurer. Ludziach, ocalałych fizycznie dosłownie cudem, a jedno-

cznie śmiertelnie okaleczonych psychicznie; żyjących w cieniu zbrodniczego super-absurdu na ołtarzu którego miliony złożyły swe życia. Miliony, o których p. Katz również — wydaje się — nie słyszała.

Wprawdzie jej porównanie okupowanej Słowacji do kraju „operetkowego” wydaje się być mimowolnie celne, gdyż wszystko w świecie jest względne i uzależnione od stosowanej miary porównawczej. W zestawieniu z tym co było rzeczywistością odgradzoną murem i opaską z gwiazdą Dawida, wszystko inne co się wówczas w krajach okupowanych działo było istotnie „operetką”.

Smutne jest nie to, że „Liga Ocalałych” nie podoba się p. Katz, która zdaje się należeć do grona krytyków oceniających literaturę piękną z punktu widzenia utylitaryzmu i pozytywizmu społecznego, a nie jej abstrakcyjnej prawdy artystycznej. Smutne jest raczej, że p. Katz — na przekór własnemu zamiłowaniu do „pozytywizmu” — zbywa całą esencję „Ligi Ocalałych”, skoncentrowaną w ostatniej części zatytułowanej „Polska Idealna”, kilkoma niechętnymi, złośliwymi słowami, nie próbując nawet zrozumieć.

Jaka szkoda, że najnowsza emigracja przybywa do nas z walizą wyładowaną dogmatami, i pękającą od „nieodwracalnych prawd absolutnych”. Tak jakbyśmy się tylko od nich uczyć mogli, a oni od nas niczego. Jakże to smutne, że przyjeżdżają do nas krytyczni, cyniczni i twardzi (spodziewając się przy tym często „taryfy ulgowej” dla siebie samych). W ten sposób, niestety, rozproszeni w „zimnie” obywatele „Polski Idealnej” nie zrosną się w rzeczywistość która łączy „Jankielów, Kordianów i Chamów” w krainę wcielonych marzeń. Przeciwnie.

I to mnie właśnie przygnębiło. Bo przecież „żółtodzioby” emigracji raczej powinny nas „skostniałych” na „prowincjonalnych podwórkach” Zachodu staroów (bez względu na wiek, tylko ilość lat spędzonych na emigracji) zarząca swym świeżym, „młodzieńczym” entuzjazmem. Swą wiarą. A tymczasem jest wręcz odwrotnie. Czyżby najnowsza emigracja była przede wszystkim grupą krytycznych defetystów? Nie mogę w to uwierzyć!

Barbara SZUBSKA

Oakland, Cal., 14 października 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

Często czytuję *Kulturę* z dużym opóźnieniem, więc moje uwagi są nie na czasie. Czasem też czytam najpierw ostatni numer a potem dopiero zaległe. Wczoraj przeczytałem, a raczej skończyłem czytać nr 5/296, razem z listami od czytelników. Preczytałem też list z bardzo ujemną oceną twórczości Hłaski i Brychta, pisany przez p. Lachockiego. Nie chcę cicho siedzieć, podczas gdy ludzie mający zdanie przeciwne mojemu, wyrażają je głośno, bo to może wytworzyć w redakcji fałszywą ocenę reakcji czytelników na artykuły *Kultury*. A więc: Moja ocena twórczości Hłaski jest bardzo pozytywna. Czytam go z przyjemnością i uważam jego książki za wartościowe pod każdym względem. Opowiadanie Brychta pt. „Żywi” zrobiło na mnie duże wrażenie. Jest pisane przez człowieka z talentem i wybiło na mnie duże wrażenie. Jest pisane na wysokim poziomie artystycznym. „Rynsztkowego żargonu” nie zauważyłem, a gdy nawet, — przecież jest w świecie duża ilość wartościowych dzieł literackich pisanych żargonem.

Serdecznie pozdrawiam i załączam wyrazy szacunku,

Jan WAGNER

ODPOWIEDZI REDAKCJI

- J. H. P. Wellington, NZ.** Jest co najmniej przesadą atakować autora, znanego i wieloletniego profesora uniwersytetów amerykańskich, na podstawie zwykłego błędu drukarskiego.
- L. Trebusch, New York.** Pana list do Redakcji jest spóźniony w czasie i wysłany pod złym adresem. Należało go publikować w okresie mozarowym w jednym z wyspecjalizowanych w zoologicznym szowinizmie pismek, typu *Prawo i Życie* pp. Konkolów i Walichnowskich.

Indeks autorów i tematów rocznika "Kultury" za rok 1972

Spis autorów

A. S., A. Z. — BABIŃSKI Witold, BELMAN J., BERLINCZYK, BOCHENSKI I. M., O.P., BONIECKI Jerzy, BOROWICZ Tadeusz, BOBR-TYLINGO Stanisław, BRODZIŃSKI Bohdan, BRONSKI M., BRUS Włodzimierz, BRUKSELCZYK, BRYCHT Andrzej, BUCZYŃSKI Wojciech, BYRSKI Zbigniew. — CHABROWSKI Tadeusz, CHAŁKO Zbigniew, CHCIUK Andrzej, CHORAŻYNA Hanna, CHYLIŃSKA Kamila, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZECH Z., CZYMBURA Maria. — DANILEWICZOWA Maria, DREWNOWSKI Jan, DUBISKI S., DUPONT Marcel, DWORZACKA Jolanta. — GERSON L., GIDYŃSKI Józef, GŁOGOCZOWSKI Marek, GOMBROWICZ Witold, GRABOWSKA Alina. — FISCHLOWITZ St., — HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERSCH Jeanne, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HIRSZOWICZ Maria, HUSSOWSKI Jan. — IWAN-SKA Alicja. — JABŁOŃSKA-WOJAS Beata, JAROSZEWSKI Walter, JASIŃSKI Zbigniew. — KAFKA Franz, KAŁUGA Edward, KAŁUSKI Marian, KANIOWSKI Michał, KATELBACH Tadeusz, KATZ Janina, KLATOVSKY Karel, KORAB, KORIAN Tola, KORZEC Paweł, KOSIŃSKI Leszek A., KOWALSKA Zofia, KOWALSKI J., KOWALSKI Jerzy, KROTKOW Jurij, KRÓLIKOWSKI Roman, KRÓTKI Karol, KRUCZEK Adam, KUBIAK-ZYTOMIRSKA Maja, KWARC Seweryn. — LACHOCKI Franciszek, LANGROD Jerzy St., LAPTER Jan, LAZAR Dawid, LEWANDOWSKI Józef, LEWICKYJ Borys, LICHOLAI Mateusz, LIS-KOZŁOWSKI Stanisław. — ŁOBODOWSKI Józef, ŁYSEK Paweł. — MACKIEWICZ Józef, MANDELSZTAM Nadeżda, MARCINKOWSKI Stefan, MATEJKO Aleksander, MICHAŁOWSKI Zygmunt, MICHNIK Stefan, MIECZKOWSKI Bogdan, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław. — NASIELSKI Adam, NERUDA Pablo, NOWACKI Tadeusz, NOWAK Grażyna,

NOWAKOWSKI Tadeusz, NOWICKI Jan. — OSADCZUK Bohdan. — PARYŻANIN, PRUS-CHECIŃSKI, T.M., PRUSIŃSKA Eliza, PUACZ Edward. — RUDNICKA Milena, RYSAK Wojciech. — SACHAROW Andrej, SALSKI Jacek, SEWER Jan, SEYFERT Czesław, SOBIENIAK Janusz, SOJKA Wojciech, Ks., SOŁŻENICYN Aleksander, SOWIŃSKI Kazimierz, SRZEDNICKI Zygmunt, STACHIEWICZ Wacław, STALIŃSKI Tomasz, STEPMOWSKI Jerzy, SUKIENNICKI Wiktor, SZCZERBAK Jurij, SZPIKOWSKI Zbigniew, SZUBSKA Barbara, SZWEDOWICZ Karol. — ŚMIEJA Florian, ŚWIĘCICKI Tadeusz. — TAMOWICZ T., TARNAWSKI Wit, TERLECKI Tymon, TOPORSKA Barbara, TURYSTA I, TURYSTA II, TYMIŃSKI A. — URBANOWICZ Witold. — WACOWSKA Ewa, WAGNER Jan K., WAT Aleksander, WĄSIK Stanisław, WERNER Eric, WERSCHLER Iwo, WIERZYŃSKI Kazimierz, WIRPSZA Witold, WITTLIN Józef. — ZABRZESKI Aleksander, ZAŁUSKI Leszek, ZCZ, ZDZIECHOWSKI Paweł, ZIELONOGORSKI K. — ŻABA Norbert, ŻAGIELL E., ŻŁOBNICKI Jerzy.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BRUKSELCEZYK: *Widziane z Brukseli* (1/292-2/293, 3/294, 4/295, 5/296, 6/297, 7/298-8/299, 9/300, 10/301, 11/302, 12/303).
 BYRSKI Zbigniew: *O definicję amerykańskiej rewolucji* (4/295).
 CHYLIŃSKA Kamila: *Wyobraźnia w koszu* (3/294).
 DREWŃOWSKI Jan: *Jedyna droga* (3/294).
 DUPONT Marcel: *Natolina za grobem zwycięstwo* (7/298-8/299).
 GIDYŃSKI Józef: *„Socjalistyczne” prawo międzynarodowe* (11/302).
 GŁOGOCZOWSKI Marek: *Skrzynia* (4/295).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *De Custine wczoraj i dziś* (4/295).
 IWŃSKA Alicja: *Państwo wieloetniczne czy wielonarodowe* (4/295).
 KANIOWSKI Michał (tłumacz), ob. SOŁŻENICYN Aleksander. *Kronika kanadyjska* (9/300, 10/301, 12/303).
 LEWANDOWSKI Józef: *Nie wiedzą sąsiedzi...* (10/301).
List z Pragi (6/297).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Amerykańska „Ostpolitik” i wnioski* (7/298-8/299).
 — *Doktryny lojalności* (10/301).
 — *„Kulawe kaczkę” i „święte krowy”* (5/296).
 — *Magazyn radiowy* (1/292-2/293).
 — *M.B.F.R. plus C.S.C.E.* (9/300).
 — *O banałach i „cudach” w polityce* (4/295).
 — *O Żydach, kosmopolitach i wschodniakach* (6/297).
 — *Pasjans chiński* (11/302).
 — *Tematy do refleksji* (12/303).
 — *W zadumie nad scenariuszem* (3/294).

NOWACKI Tadeusz: *Możliwości wojenne Izraela* (1/292-2/293).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Między „Gartenlaube” a Tupamaros* (1/292-2/293).
 PARYŻANIN: *Edward Gierek we Francji* (11/302).
Polska w polityce zagranicznej USA (9/300).
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Niewygotowane przemówienie* (10/301), przeł. z rosyjskiego KANIOWSKI Michał.
 WACOWSKA Ewa: *Próba bilansu i horoskopy* (1/292-2/293).
 WIRPSZA Witold: *Kłopoty z nadzieją* (11/302).
Wydarzenia miesiąca (1/292-2/293, 3/294, 4/295, 5/296, 6/297, 7/298-8/299, 9/300, 10/301, 11/302, 12/303).
 ZABRZESKI Aleksander: *Patologia opozycji* (3/294).

Obserwatorium

BYRSKI Zbigniew: *Konflikt pakistańsko-indyjski* (1/292-2/293).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Polak jaki jest?* (11/302).
 — *Testament* (3/294).
 JASIŃSKI Zbigniew: *Zbrodniczemu światu* (11/302).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BROŃSKI M.: *„Druga Księga” Nadzieży Mandelsztam* (11/302).
 — *Muza Teodora Parnickiego* (4/295).
 CZAPSKI Józef: *Dwie prowokacje* (12/303).
 — *Na marginesie wystawy Cieślewicza* (5/296).
 DWORZECKA Jolanta: *O karierze, tęsknocie i kontrastach* (12/303).
 GOMBROWICZ Witold: *„Pisarz i pieniądze”* (7/298-8/299).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (1/292-2/293, 5/296, 7/298-8/299, 9/300, 10/301, 12/303).
 MIŁOŻ Czesław: *Aleksander Wat opowiada* (7/298-8/299).
 — *Nad miastami* (11/302).
 — *Pamiętnik naturalisty* (1/292-2/293).
 — *Wezwanie* (7/298-8/299).
 — *Zapisane wczesnym rankiem* (5/296, 6/297, 9/300).
 WAT Aleksander: *Ku końcowi lat dwudziestych. „Miesięcznik Literacki”* (7/298-8/299).
 — *Po 1918. Futuryści. Bruno Jasiński* (7/298-8/299).
 WIRPSZA Witold: *Stalinowska przygoda literatury polskiej* (4/295).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BRYCHT Andrzej: *Żywi* (1/292-2/293).
 HAUPT Zygmunt: *Z Lacczynny* (4/295).
 IWŃSKA Alicja: *Pod barykadą* (5/296).

- KAFKA Franz: *Kartka z przeszłości* (11/302), przeł. z czeskiego Karol SZWEDOWICZ.
 KORAB: *Bliźniak* (9/300, 10/301).
 KROTKOW Jurij: *Hipertonycy* (3/294), przeł. z rosyjskiego Józef ŁOBODOWSKI
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. KROTKOW Jurij, SZCZERBAK Jurij.
 KWARC Seweryn: *Przemoc* (6/297).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. KROTKOW Jurij, SZCZERBAK Jurij.
 NOWAK Grażyna: *W mieście wesele* (7/298-8/299).
 STALIŃSKI Tomasz: *Romans zimowy* (6/297).
 SZCZERBAK Jurij: *Czerwone maki na Monte Cassino* (1/292-2/293), przeł. z ukraińskiego Józef ŁOBODOWSKI.
 SZWEDOWICZ Karol (tłumacz) ob. KAFKA Franz.
 WIRPSZA Witold: *Przypowieść o stu sprawiedliwych* (4/295).
 WITTLIN Józef: *Zdrowa śmierć* (7/298-8/299).

Utwory poetyckie

- BRYCHT Andrzej: *Epitafium* (3/294).
 — *Pytania i odpowiedzi* (3/294).
 CHABROWSKI Tadeusz: *Mała apokalipsa z końmi* (5/296).
 — *Pacyfizm* (5/296).
 — *Realność* (5/296).
 NERUDA Pablo: *Dwadzieścia wierszy miłosnych* (4/295), przeł. z hiszpańskiego Florian SMIEJA.
 SMIEJA Florian: *Pablo Neruda* (4/295).
 — Tłumacz, ob. NERUDA Pablo.
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Próg Persefony* (7/298-8/299).

Sprawy krajowe

- A. Z.: *„Teatr eReF”* (5/296).
 BRODZIŃSKI Bohdan: *Gospodarka krajowa* (6/297, 7/298-8/299, 9/300, 11/302, 12/303).
 BRUS Włodzimierz: *Uwagi do wytycznych na VI Zjazd PZPR* (1/292-2/293).
 HERTZ Zofia: *Humor krajowy* (1/292-2/293, 3/294, 7/298-8/299, 9/300, 11/302, 12/303).
 HUSSOWSKI Jan: *Kontrasty krakowskie* (1/292-2/293).
 KAŁUGA Edward: *Nowy „Rocznik” w starym wydaniu* (5/296).
 LEWANDOWSKI Józef: *Żeby nie zapomnieć...* (12/303).
 MATEJKO Aleksander: *Rozważania o kraju i rodakach* (6/297).
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Rocznik Statystyczny 1971* (5/296).
 NOWICKI Jan: *Mówi Warszawa...* (9/300, 10/301).
Nowe władze PZPR (1/292-2/293).
 RYSAK Wojciech: *Inteligencja polska — rzeczywistość czy mit* (7/298-8/299).
 WACOWSKA Ewa: *Polska klasa robotnicza* (7/298-8/299).

- ZIELONOGÓRSKI K.: *Sprawa Mazurów, Kaszubów, Ślązaków* (6/297).
Z życia PZPR (5/296).
 ŻABA Norbert: *Góra urodziła mysz* (12/303).

Sąsiedzi

- BÓBR-TYLINGO Stanisław: *Kraj w dolinie Wisły* (6/297).
Imprezy litewskie w Polsce (3/294).
 KLATKOVSKY Karel: *Nowa emigracja czeska i słowacka* (4/295).
 KRUCZEK Adam: *W sowieckiej prasie* (3/294, 4/295, 5/296, 6/297, 7/298-8/299, 9/300, 10/301, 11/302, 12/303).
 LEWANDOWSKI Józef: *Do Gustava Husaka* (9/300).
 — (tłumacz) ob. SACHAROW Andrej.
 LEWYCKYJ Borys: *Kronika ukraińska* (11/302).
 — *Nowy szef ideologiczny w Kijowie* (12/303).
 — *Współczesna Ukraina* (9/300).
 MANDELSZTAM Nadieżda: *Strach* (7/298-8/299), przekład z rosyjskiego.
Memoriał katolików litewskich (6/297).
 MICHNIK Stefan: *Kronika czeska i słowacka* (7/298-8/299).
Polski grudzień w Moskwie (9/300).
 SACHAROW Andrej: *Memoriał do L. I. Breżniewa* (9/300), przeł. z rosyjskiego Józef LEWANDOWSKI.
 SEWER Jan: *Represje w Czechosłowacji* (3/294).
Słownik niemiecko-słowacki (5/296).
 SUKIENICKI Wiktor: *„Rara avis” czyli o Litwinach mówiących po polsku* (12/303).
 SZWEDOWICZ Karol: *Kronika czeska i słowacka* (11/302).
 — *Procesy czechosłowackie* (9/300).
Teatr „Za Bramą” (5/296).
Vasil Bilak w roli mentora (4/295).
W ostatniej chwili (6/297).
 ŻAGIELL E.: *Białorusini* (6/297).
 — *Litwini* (5/296, 9/300).
 — *Romas Kalanta* (7/298-8/299).

Sprawy i troski

- BABIŃSKI Witold: *Zagadnienia językowe w francuskiej Kana-dzie* (6/297).
 BRONSKI M. (tłumacz) ob. HERSCH Jeanne.
 BYRSKI Zbigniew: *Biuletyn Fundacji Kościuszkowskiej* (12/303).
 CHCIUK Andrzej: *Polacy w Południowej Australii* (6/297).
Czarna lista (11/302).
 GIDYŃSKI Józef: *Turyści zagraniczni w PRL a przestępstwa skarbowe* (5/296).
 HERSCH Jeanne: *Narkotyki contra społeczeństwo* (7/298-8/299), przeł. z francuskiego BRONSKI M.

- IWAŃSKA Alicja: *Pełnoletnie UNESCO* (7/298-8/299).
 KRÓLIKOWSKI Roman: *Emigracja do Afryki Południowej* (1/292-2/293).
 NASIELSKI Adam: *Australia* (4/295).
 „Nouvel Observateur” o cudzoziemcach we Francji (12/303).
 Ośrodek Studentów Polskich we Francji (12/303).
 P.O.S.K. (3/294).
 PUACZ Edward: *Uwagi o ofiarności Polonii Amerykańskiej* (11/302).
 SOJKA Wojciech, Ks.: *Uzupełnienie i uściślenie* (11/302).
 TERLECKI Tymon: *O „wieloletniczości”, zdumieniach i alarmach* (1/292-2/293).
 ZDZIECHOWSKI Paweł: *„Łódeczka Dal”* (6/297).

Najnowsza historia Polski

- DANILEWICZOWA Maria: *Polacy w Anglii w czasie I-szej wojny* (6/297).
 KRUCZEK Adam: *Uwagi czytelnika* (6/297).
 LIS-KOZŁOWSKI Stanisław: *Zbiory Krzemienieckie* (7/298-8/299).
 STACHIEWICZ Wacław: *Marszałek Smigły* (5/296).
 ŚWIĘCICKI Tadeusz: *Ostatni Marszałek Senatu* (6/297).

Dokumenty

- Deklaracja Praw Człowieka* (11/302).
Mijają lata... (12/303).
Likwidacja ostatniej Ambasady R.P. (12/303).

Dwudziestopięciolecie „Kultury”

- CZAPSKI Józef: *Dwadzieścia pięć lat* (7/298-8/299).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Nagroda „Kultury”* (7/298-8/299).
 REDAKTOR: *Sprawozdanie* (7/298-8/299).
Zniżkowa sprzedaż książek (7/298-8/299).

Kronika kulturalna

- BERLIŃCZYK: *Dwa razy „Operetka” Gombrowicza* (4/295).
 CZYMBURA Maria: *Introductory Polish* (6/297).
 DANILEWICZOWA Maria: *Scando-slavica* (4/295).
 KORIAN Tola: *„Olaś”* (12/303).
 KOWALSKI Jerzy: *O muzycznym wychowaniu* (5/296).
 — *Piętnaście „Jesieni”* (4/295).
 — *Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie* (3/294).

- LANGROD Jerzy St.: *In memoriam: Jean Bourilly* (1/292-2/293).
 OSADCZUK Bohdan: *Od Magadanu do Monachium* (4/295).
 STEMPOWSKI Jerzy: *List do Zygmunta Haupta* (4/295).
Stypendia Polonia Technica, Inc. (12/303).
 WITTLIN Józef: *Przemówienie* (3/294).
Wspomnienie o Janie Świdzie (4/295).
Wspomnienie o Leonie Holzerze (12/303).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- A.S.: *Rosyjska seria McMillana* (5/296).
 BRONSKI M.: *Dzisiejsze czasy* (7/298-8/299).
 — *Ideolo* (5/296).
 — *Nierealizm bez granic* (6/297).
 — *O tyranii* (12/303).
 — *Szkic węglem* (9/300).
 — *Wędrowiec i róże* (1/292-2/293).
 CZAPSKA Maria: *Dalsze tomy Mickiewiczowskiego Kalendarium* (4/295, 5/296).
 DANILEWICZOWA Maria: *Krajowe nowości wydawnicze* (3/294, 12/303).
 KATELBACH Tadeusz: *Metamorfozy i fantomy Kuncewiczowej* (6/297).
 KATZ Janina: *Jak być emigrantem* (3/294).
 — *Kronika straconych — Monachium* (6/297).
 — *Na wschód od dzisiaj* (11/302).
 — *Nikczemna smutna planeta* (10/301).
 — *W dwie strony* (4/295).
 KORZEC Paweł: *Uniwersytet Łódzki fałszuje własną historię* (1/292-2/293).
 KOWALSKA Zofia: *Ameryko, Ameryko* (6/297).
 KOWALSKI J.: *Szalom Asz* (12/303).
 KUBIAK-ŻYTOMIRSKA Maja: *Przedziwna antologia* (12/303).
 KRUCZEK Adam: *Uwagi czytelnika* (11/302, 12/303).
 LEWANDOWSKI Józef: *Przeżyte i przemyślane* (7/298-8/299).
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Gospodarka Europy Wschodniej* (5/296).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/292-2/293, 3/294, 4/295, 5/296, 6/297, 7/298-8/299, 9/300, 11/302, 12/303).
 SALSKI Jacek: *Słowo niepodległe* (9/300).
 SOWIŃSKI Kazimierz: *Rozmyślenia St. K. Gackiego* (5/296).
 WERNER Eric: *Rewolucja jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek* (6/297), przeł. z francuskiego Paweł ZDZIECHOWSKI.
 ZABRZESKI Aleksander: *Uwagi duńskiego ekonomisty* (10/301).
 ZDZIECHOWSKI Paweł (tłumacz) ob. WERNER Eric.

O religii bez namaszczenia

- ŁOBODOWSKI Józef: *Likwidatorzy Unii* (7/298-8/299).

Komunikaty

- Działalność Biblioteki Polskiej w Londynie w roku 1971 (5/296).
 Koncert Miłosza Magina (6/297).
 Polish Honors w Queens College (1/292-2/293).
 Polskie Liceum w St.-Jean (6/297).
 Stypendia „Polonia Technica” (4/295).
 Stypendium Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie (3/294).
 Subskrypcja na „Tekę Językową” dr. Stanisława Westfala (10/301).

Wolna trybuna

- OSADCZUK Bohdan: *Neodmowszczyzna Gierka* (3/294).
 PRUSIŃSKA Eliza: *O pracy organicznej* (6/297).

Tłumaczenia**Z języka czeskiego**

- KAFKA Franz: *Kartka z przeszłości* (11/302), przeł. Karol Szwedowicz.

Z języka francuskiego

- HERSCH Jeanne: *Narkotyki contra społeczeństwo* (7/298-8/299), przeł. M. Broński.
 WERNER Eric: *Rewolucja jest bardziej aktualna niż kiedykolwiek* (6/297), przeł. Paweł Zdziechowski.

Z języka hiszpańskiego

- NERUDA Pablo: *Dwadzieścia wierszy miłosnych* (4/295), przeł. Florian Śmieja.

Z języka rosyjskiego

- KROTKOW Jurij: *Hipertonycy* (3/294), przeł. Józef Łobodowski.
 MANDELSZTAM Nadieżda: *Strach* (7/298-8/299).
 SACHAROW Andrej: *Memoriał do L. I. Breżniewa* (9/300), przeł. Józef Lewandowski.
 SOŁŻENICYN Aleksander: *Niewygłoszone przemówienie* (10/301), przeł. Michał Kaniowski.

Z języka ukraińskiego

- SZCZERBAK Jurij: *Czerwone maki na Monte Cassino* (1/292-2/293), przeł. Józef Łobodowski.

Listy do Redakcji

- BELMAN J. (7/298-8/299), BOCHEŃSKI I. M., O.P. (7/298-8/299), BONIECKI Jerzy (1/292-2/293), BOROWICZ Tadeusz (12/303), BYRSKI Zbigniew (6/297), BUCZYŃSKI Wojciech (5/296), CHAŁKO Zbigniew (9/300), CHORAŻYNA Hanna (12/303), CZECH Z. (11/302), DUBISKI S. (11/302), GERSON L. (5/296), GRABOWSKA Alina (1/292-2/293), HIRSZOWICZ Maria (3/294), HEYDENKORN Benedykt (1/292-2/293), FISCHLOWITZ St. (12/303), JABŁOŃSKA-WOJAS Beata (3/294), JAROSZEWSKI Walter (9/300), KAŁUSKI Marian (3/294, 12/303), KOSIŃSKI Leszek A. (12/303), KRÓTKI Karol (3/294), LACHOCKI Franciszek (5/296), LAPTEK Jan (1/292-2/293), LAZAR Dawid (9/300), LICHOLAI Mateusz (5/296), ŁOBODOWSKI Józef (10/301), ŁYSEK Paweł (3/294), MACKIEWICZ Józef (3/294, 9/300), MARCINKOWSKI Stefan (9/300), MATEJKO Aleksander (3/294), MICHAŁOWSKI Zygmunt (z odpowiedziami Redaktora i J. Mieroszewskiego) (3/294), PRUS-CHĘCIŃSKI T. M. (9/300), RUDNICKA Milena (10/301), SEYFERT Czesław (1/292-2/293), SOBIENIAK Janusz (11/302), SOJKA Wojciech, Ks. (5/296, 10/301), SRZEDNICKI Zygmunt (3/294), SZPIKOWSKI Zbigniew (1/292-2/293), SZUBSKA Barbara (12/303), TAMOWICZ T. (7/298-8/299), TARNAWSKI Wit (1/298-2/299), TOPORSKA Barbara (6/297, 10/301), TURYSTA I (11/302), TURYSTA II (11/302), TYMIŃSKI A. (5/296), URBANOWICZ Witold (5/296), WAGNER Jan K. (12/303), WĄSIK Stanisław (3/294), WERSCHLER Iwo (5/296), ZAŁUSKI Leszek (9/300), ŻŁOBNICKI Jerzy (z odpowiedzią Redakcji) (3/294).

Odpowiedzi Redakcji

- A. K. (Colorado) (9/300), BAGRATION-IVANOFF Maria (6/297), BEREZOWSKI Czesław (1/292-2/293), BOSTOŃCZYK (6/297), EL. P. (6/297), FRIDMAN M. (1/292-2/293), GRANICA Henryk (5/296), GRUPA UCHODźCÓW Z GÖTEBORG A (1/292-2/293), HÖLZER Leon (1/292-2/293), J. H. P. (12/303), LUKSEMBURG K. (1/292-2/293), MORGENSTERN Adam (9/300), MROCKOWSKA Władysława (1/292-2/293), POMERANTZ Eliezer (10/301), PRAWDZIC Jan (5/296), SKOWYRA Fr. (1/292-2/293), SZARLAK Bogdan (9/300), „SZTOKHOLMIANIN” (1/292-2/293), W. (1/292-2/293), TREBUSCH L. (12/303).

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultura” za rok 1972* (12/303).

Noty biograficzne

- KATZ Janina (3/294).
 KOWALSKA Zofia (6/297).
 SOWIŃSKI Kazimierz (5/296).
 SZCZERBAK Jurij (1/292-2/293).
 WERNER Eric (6/297).
 WIRPSZA Witold (4/295).

Różne

- Komunikat Instytutu Historii im. gen. Sikorskiego (12/303).
 Komunikat o podwyżce prenumeraty „Kultury” (10/301, 11/302).
 Nowości Biblioteki „Kultury” — wklejka katalogowa (5/296).
 Sprostowanie Redakcji (3/294).
 Wpłata „Kultury” na P.O.S.K. (7/298-8/299).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/292-2/293, 3/294, 4/295, 5/296, 6/297, 7/298-8/299, 9/300, 10/301, 11/302, 12/303).

Wydawnictwa książkowe w roku 1972

Biblioteka « Kultury »

- Tom 214 — *Rewolta szczecińska i jej znaczenie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 38-my), str. 256.
 Tom 215 — Miłosz Czesław: *Prywatne obowiązki*, str. 256.
 Tom 216 — Mostwin Danuta: *Ja za wodą, ty za wodą...*, str. 304.
 Tom 217 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 21-szy), str. 240.
 Tom 218 — Gombrowicz Witold: *Opowiadania* (Tom IX „Dzieł Zebranych”), str. 208.
 Tom 219 — Chciuk Andrzej: *Wizyta w Izraelu*, str. 160.
 Tom 220 — Staliński Tomasz: *Romans zimowy*, str. 208.
 Tom 221 — *Sąd orzekł...* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 39-y), str. 320.
 Tom 222 — Sołżenicyn Aleksander: *Krąg pierwszy*. Wydanie drugie, dwa tomy razem str. 704.
 Tom 223 — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 22-gi), str. 240.
 Tom 224 — Kołakowski Leszek: *Obecność mitu*, str. 136.

Wznowienia fotograficzne

- (Tom 190) — Amalrik Andrej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?*, (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 31-szy), str. 96.
 (Tom 111) — Herling-Grudziński Gustaw: *Inny świat* (Seria „Archiwum Rewolucji”), str. 256.
 (Tom 128) — Hłasko Marek: *Piękni dwudziestolenni*, str. 216.
 (Tom 2) — Orwell George: *1984*, str. 256.
 (Tom 44) — Pasternak Borys: *Doktor Żiwago* (Wydanie czwarte), str. 512.

WZNOWIENIA

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że w związku z licznymi zapytaniami i prośbami zdecydowaliśmy się wydać w *niewielkiej ilości egzemplarzy*, systemem fotograficznym, niektóre nasze dawno wyczerpane książki.

Są to:

- George Orwell: „1984” — Cena F. 13,50 (\$ 3,25; £ 1.30)
 Borys Pasternak: „Doktor Żiwago” — Cena F. 26 (\$ 5,50; £ 2.20)
 Marek Hłasko: „Piękni Dwudziestolenni” — Cena F. 13,50 (\$ 3,25; £ 1.30)
 Gustaw Herling-Grudziński: „Inny świat” — Cena F. 13,50 (\$ 3,25; £ 1.30)
 Andrej Amalrik: „Czy Związek Sowiecki przetrwa do r. 1984?” — Cena F. 10,00 (\$ 2,25; £ 0,95)

Prosimy o nadsyłanie do Instytutu Literackiego zamówień wraz z czekami, wystawionymi o ile możliwości we Frankach francuskich, gdyż zmniejsza to bardzo koszty inkasa. Przy wpłatach za pośrednictwem poczty prosimy o przekazywanie należności *wprost na nasze konto pocztowe* (inaczej przy najmniejszej wpłacie poczta potrąca nam F. 2,00 czyli ok. 1/2 dolara):

INSTITUT LITTERAIRE

91, Avenue de Poissy
 Mesnil-le-Roi

78-MAISONS-LAFFITTE

C.C.P. PARIS 18228-38

Zwracamy uwagę na niewysokie — w porównaniu z nowymi wydawnictwami — ceny książek. Jest to eksperyment — jeżeli się uda, to znaczy jeżeli pokryjemy koszty — nie wykluczone, że wznowimy w ten sam sposób i inne wyczerpane pozycje.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 219 — ANDRZEJ CHCIUK

WIZYTA W IZRAELU

Wrażenia z niedawnej podróży Autora, który poprzez Drohobycz swojego dzieciństwa odkrywa współczesny Izrael.

Str. 160.

Cena F. 17,50 (dol. 4,25; £1.60)

TOM 220 — TOMASZ STALIŃSKI

ROMANS ZIMOWY

Trzecia powieść krajowego autora.

Str. 208.

Cena F. 24 (dol. 6,00; £2.00)

TOM 221 — SERIA „DOKUMENTY”
(ZESZYT 39-ty)

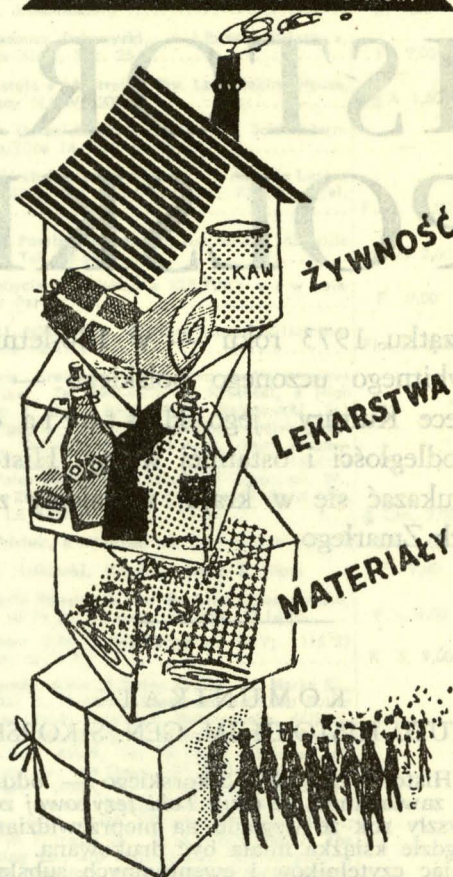
SĄD ORZEKŁ...

Tom zawiera autentyczne dokumenty dotyczące najgłośniejszych procesów politycznych w PRL: PROCES HANNY REWSKIEJ; DRUGI PROCES K. MODZELEWSKIEGO i J. KURONIA; PROCES „TATERNIKÓW”; PROCES ORGANIZACJI „RUCH” Z 1971 R.; POSTĘPOWANIE REWIZYJNE W SPRAWIE J. KARPIŃSKIEGO i M. SZPAKOWSKIEJ; PROCES PISKI O TRAKTAT RYSKI, jak również szereg opracowań i komentarzy.

Str. 320.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £2.50)

NAJWIEKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY



TAZAB

22 ROLAND GARDENS LONDON SW 7

Oddział w Stanach Zjednoczonych:

TAZAB OF LONDON

16 STUYVESANT ST., NEW YORK, N.Y. 10003

Telefon: ALgonquin 4-4160

ADAM KRZYŻANOWSKI

HISTORIA POLSKI

Na początku 1973 roku — w 100-letnią rocznicę urodzin wybitnego uczonego polskiego — ukaże się w „Bibliotece Kultury” jego Historia obejmująca okres Niepodległości i ostatniej wojny. Historię, która nie mogła ukazać się w kraju, wydajemy z papierów pośmiertnych Zmarłego.

KOMUNIKAT
INSTYTUTU HISTORII IM. GEN. SIKORSKIEGO

„Instytut Historii im. gen. Sikorskiego — oddział Szkocja z przykrością zawiadamia, że druk *Teki językowej* został przesunięty na przyszły rok ze względu na nieprzewidziane trudności w drukarni, gdzie książka miała być drukowana.

Przepraszając czytelników i ewentualnych subskrybentów za zawód, prosimy o cierpliwość; nowy apel wraz ze zmienionymi cenami i datami ogłosimy jak tylko ustalą się nowe możliwości”.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal: 4^e Trimestre 1972.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Roman Krolkowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 900,00
BRAZYLIA: Janina Pomian-Piatkowska, rua Gulara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA: Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str., St. Catherines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon: 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY: St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt-8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1601 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich. 48234; Polish Book Store, BOX 11410, Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik. 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053;	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA: P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WLOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY



Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704.

Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £. 5,25)



TOM 223 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY DRUGI

Zawiera m.in. P. Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią PRL*; E. Żagiell: *Dwadzieścia lat niepodległej Litwy*; P. Wandycz: *Sprawa Józefa Becka jako attaché wojskowego w Paryżu*; St. Kirko-ra: *Rozmowy polsko-sowieckie w 1944 roku*; K. Iranek-Osmecki: *Meldunek Specjalny 1/R. Nr 242. Pociski raketowe; Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Narodowej R.P. z dotychczasowego wyniku prac*; K. Skirmunt: *Instrukcja Ogólna dla Placówek; Wł. Gomułka na aktywie partyjnym Huty Warszawa (I)*; B. Miedziński *Sprostowania spoza grobu oraz bogate działy WSPOMNIENI, POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4,25; £. 1,50)



TOM 224 — LESZEK KOŁAKOWSKI

OBECNOŚĆ MITU

Praca zawiera następujące rozdziały: *Rozróżnienie wstępne. — Mit w pytaniu epistemologicznym. — Mit w świecie wartości. — Mit w logice. — Sens mityczny miłości. — Mit, istnienie, wolność. — Mit i przypadkowość natury. — Fenomen obojętności świata. — Mit w kulturze analogyków. — Trwałość i chwiejność mitu. — Wnioski.*

W przedmowie Autor pisze m.in.: „Pisałem tę rozprawkę od 1966 roku i na początku 1967 zwróciłem się do wydawnictwa „Czytelnik” w Warszawie z propozycją jej wydania. Zabiegi wydawnictwa o zezwolenie na publikację trwały lat pięć i pół i speszły na niczym”.

Str. 136.

Cena F. 14; \$ 3,25; £ 1,25